ROZMOWA BIAŁOCERKIEWSKA.

LISTOPAD, 1663.

(WYJĄTEK Z DZIEŁA: HISTORYA UNII RELIGIJNEJ W POLSCE).

..... Nareszcie stanęła zgoda z wojskiem związkowem, Świderski przeprosił króla w Lwowie (w połowie lipca) i Jan Kazimierz z Marją Ludwiką i ze wszystkim dworem wyjechał do wojska pod Biały Kamień i Gliniany, gdzie chorągwie zwijały się, a potem każdy w swoją drogę, gdzie kto chciał i mógł, rozjeżdżali się. Król z tej strony spokojny, myślał już o wyprawie na Ukrainę, kiedy nadeszła wiadomość do Lwowa, że umarł metropolita Dyonizy Bałaban (dyzunicki). Dla Rzpltej była to strata boleśna, metropolita albowiem należał do tych rzadkich ludzi, co to umieją rozeznać drogę swoją wśród ciemności i mają odwagę iść po niej, choćby się i narazić opinii. W najgorszym razie, już i to na pochwałę Bałabana wystarczy, że nie uciekał się nigdy do intrygi, a owszem zawsze był za Rzpltą: może zamało posiadał wpływu, ale zawsze pilnując powinności swej nie ozuchwalał buntu. Od Moskwy trzymał się ciągle odpornie, i chociaż metropolitą był, nigdy przecież nie zajrzał do Kijowa swojej stolicy, bo tam panowała Moskwa. Mieszkał przez cały czas swojego najwyższego w cerkwi rusko-schyzmatyckiej urzędowania w Kaniowie, i w Kaniowie czy w Korsuniu podobno umarł, przesiedziawszy świątobliwie na swoim tronie pięć lat sześć miesięcy *).

Śmierć ta była niezmiernie ważną w pośród ówczesnych okoliczności. Nowy hetman Paweł Tetera pokazywał dobre chęci; porozumienie Rzpltej z Rossyą w Hadziaczu zawarte, chwilowo wypadkami przerwane, mogło wrócić, — z Teterą kleiła się jedność narodowa na drodze politycznej, z nowym metropolitą mogła się skleić na duchownej, potrzeba tylko

*) Czas zgonu jego niepewny; Wieliczko mówi, że umarł we wrześniu (T. II str. 781), z Jerlicza sądząc, śmierć ta przypadła w lipcu (T. II str. 75 i 80), co więcej prawdopodobne jest zwłaszcza po tem co niżej podamy.

było powolnego i ostrożnego działania. Ówcześni biskupi schyzmatyccy jednak niezgodni byli pomiędzy sobą, każdy z nich prawie dla ambicyi na wszystkoby się naraził, a tego się głównie lękać należało. Spieszno im teraz było wszystkim na pogrzeb starego, na elekcyą nowego metropolity. Do króla ciągle bawiącego się jeszcze we Lwowie, aż trzech naraz zgłosiło się w tym celu o listy wolnego przejazdu na Ukrainę (czyli o paszport po naszemu), to jest Gedeon xiążę Czetwertyński biskup łucki, Antoni Winnicki przemyślski, i świeżo mianowany a nie poświęcony jeszcze biskup lwowski Adam Żeliborski. Wszystkim trzem dał król żądane listy pod jedną datą (ze Lwowa 20 sierpnia). Winnicki miał jeszcze sprawy różne po sądach; żeby więc jego nieobecność w Przemyślu, może i nieco przydługa (bo kto przyszłość mógł przewidzieć?) nie zaszkodziła co osobistym stosunkom, wyrobił sobie tak nazwaną *exempcyą*, to jest przywilej, że aż do jego powrotu strony żadnych przeciwko niemu wyroków podnosić nie mogły i żadne przedawnienie przeciwko niemu miejsca nie miało *).

Tymczasem Ukraina po śmierci metropolity trzęsła się od nowego buntu, na czele którego stanął pop nazwiskiem Chodorkowski. Poprzednio był Chodorkowski półkownikiem pawołockim, a chcąc sobie zrobić fortunę, że to już sam z popowicza dochrapał się pewnego znaczenia, zaczął działać na własną rękę, szlachtę znieważał i bijał a znosił się z wojewodą, który od cara moskiewskiego siedział na Kijowie. Tetera zawziął się na niego, pojmał i chciał dać na stracenie. Dopiero w prośby Chodorkowski do półkowników i setników, a widząc że to wszystko nic jeszcze nie pomaga, zmyślił pokorę i to do metropolity, to do czerńca Juraszki Chmielnickiego zaczął się modlić i obiecywał im, że zostanie popem, aby go tylko od haniebnej śmierci uwolnili. Młody to jeszcze był w leciech niecnota, więc go się ojciec metropolita użalił i wyprosił u hetmana, a Chodorkowski w istocie wziął na się świaszczeństwo. Ale taki był i pop z niego: nie wyszło pół roku, kiedy Bałaban zakończył życie a Chodorkowskiemu już się znudziło, — więc znowu udał się do Moskala w Kijowie i otrzymawszy od niego gramotę rzucił się do buntów, i Ukrainę całą powoływał pod carskie chorągwie. Poszedł zaraz ku Pawołoczy i tam wielką rzeź sprawił, a po drodze mordował szlachtę, która się już nawróciła do domów swoich. Hultajstwo chciwe łupieży, zewsząd zaczęło się do niego kupić, a Chodorkowski zapomniał już wtedy o carze i Ukrainie, ale szarpał, rozbijał po drogach, łupieżył po miasteczkach, a krwią zlewał łatwy

*) Exempcya ta również z daty dwudziestego sierpnia. Sygillaty w metryce kor. ks. 7 fol. 170.

swój pochód tryumfalny. Aż go starszyzna wierna królowi i Rzpltéj nagle oskoczyła w Pawołoczy, kiedy miał już koło siebie z górą tysiąc rozbójników. Na to hasło mieszczanie powstali, onego zdrajcę półkownika wydali, a hultajstwo, które darowano zdrowiem, uciekało na wsze strony. Sam Tetera ciągnął z niego śledztwo i potem śmiercią okrutną pokarał *).

Król puścił przed sobą na Ukrainę Sobieskiego i Jabłonowskiego, a sam później cokolwiek przez Kamieniec jechał do Baru do wojska. Skupiwszy wreszcie około siebie Zaporożców, stanął u Białej Cerkwi, gdzie odpoczął (w październiku). Późno na jesień już było i nikt nie myślał o wyprawie wojennej poza Dniepr, królowi się nudziło, więc zwiedzał po kolei miasteczka w okolicy, a do Białej Cerkwi ciągle powracał. Nie odstępował go ani na krok ksiądz Prażmowski, kanclerz koronny. Przyszło raz na myśl kanclerzowi, żeby na serio z Rossyą o wierze pogadać. Właśnie co zebrali się biskupi ruscy w Korsuniu, ale nie przystępując do elekcyi metropolity, (bo ich kilku zaledwie było), pochowali tylko ciało Bałabana i sami nie wiedzieli co mają dalej robić z sobą. Król był tak blisko w tej stronie, należało tedy pana odwiedzić, a może też i ksiądz kanclerz zapraszał ich do Białej Cerkwi. Bądź co bądź i ten i ów przyjechał do króla, jeden tylko władyka łucki trzymał się z dala od dworu, jako najmniej pomiędzy innymi ambitny. Tukalskiego władyki z Białej Rusi, jednego z najzaciętszych schyzmatyków, zdaje się, także nie było. Kiedy zjechali się, kanclerz musiał już tak ułożyć rzeczy z księdzem jezuitą Adrjanem Piekarskim, który jako kaznodzieja bawił też przy boku królewskim, że sama z siebie ni ztąd ni zowąd wywiązała się dysputa katolicyzmu ze schizmą w przedmiocie wiary. Kanclerz wezwał albowiem do siebie na ucztę wyższe duchowieństwo ruskie, obecne podówczas w Białej Cerkwi. Zeszli się do jego mieszkania albo raczej gospody: Juraszko Chmielnicki, niedawno jeszcze hetman, dziś ojciec Gedeon i czerniec, który przez pamięć ojca, chociaż niski stopniem duchownym, wysoki stopień w cerkwi zajmował. Wedle niego zasiadł za stołem Żeliborski nominat władyka lwowski i episkop przemyślski Winnicki, za tym zaś Iranniey Galatowski rektor kijowski. Widok to był zupełnie nowy w Rzpltej, taki rodzaj synodu mięszanego, duchownych katolickich i schyzmy. To też Rusi niezmiernie wiele się zwaliło do gospody kanclerza za władykami, a wszyscy niezmiernie byli ciekawi, o czem też kanclerz napocznie, bo naturalnie domyślali się tego, że nie bez przyczyny sproszono ich na ucztę. Katolicyzm stawał widocznie naprzeciw schizmy

*) W lipcu. Jerlicz. kroniczka.

i chciał się z nią porozumieć, dla tego nie zaproszono do kanclerza nikogo z biskupów unickich; prawda, że ich w okolicy nie było, ale też nieobecność ich dawała pozór przyjaznego porozumiewania się stron, odejmowała zebraniu charakter wyzywający: okoliczności same złożyły się tak, że wyniknęła ni ztąd ni z zowąd religijna dysputa. Księdza kanclerza równie liczny orszak otaczał. Zasiadł on przed stołem na pierwszem miejscu, obok niego zaraz znajdował się pan Wolf jenerał nad wojskiem niemieckiem, — cała izba księży, półkowników, rotmistrzów, kapitanów i różnego rycerstwa pełną była. Zdawało się, że sejm się zebrał i że obraduje w izbach połączonych: władykowie pierwszy raz zasiedli w takiem towarzystwie obok ministra i dostojników koronnych: zdawać im się sprawiedliwie mogło, że to był przedwstęp zaprosin duchowieństwa ruskiego do senatu, przywilej, o który Ruś od dawna się dobijała. Po tem wszystkiem wszedł do izby ksiądz Piekarski i siadł przed stołem prosto naprzeciw Galatowskiego, rzucił okiem po zgromadzeniu i rzekł: „Są wschodni ojcowie, niech będą i zachodni.“ Temi słowami zagaił wyraźnie posiedzenie i Galatowskiego wyzwał do ustnego uczonego sporu. Piekarski zasłużony na dworze obydwu synów Zygmunta III. dowcipu był wielkiego, nauki niepospolitej; w całem tem katolickiem gronie, które w tej chwili otaczało kanclerza, on jeden mógł dysputować ostro, bo znał się na piśmie świętem, na ojcach kościoła, jako człowiek wyłącznie naukom religijnym poświęcony. Z ruskiego też grona jeden tylko Galatowski, człowiek także niepospolitej nauki, ale mocno uplątany w błędzie, skłonny do fanatyzmn i uprzedzeń ale w szczerej wierze, literat, jeden ze świateł schyzmatyckiej Rusi z owych czasów, — Galatowski tylko, powiadamy, mógł stawić czoło Piekarskiemu. Dwaj tedy szermierze wyzywali się na bój, którego wszyscy obecni tylko świadkami być mieli. Ksiądz kanclerz ster trzymał rozpraw i był jako szala utrzymująca równowagę pomiędzy stronami, więc pilnował, żeby czasem nie zadaleko puszczano się w osobistości, co zamiast sprawę naprawić, jeszczeby ją pogorszyło może niepotrzebnem podrażnieniem namiętnych.

Kanclerz sam zresztą przystąpił do rzeczy: „nie macie teraz metropolity, mówił, któż będzie episkopa lwowskiego poświęcał?“ — A na to zaraz nie czekając odparł Galatowski: „mamy dwóch episkopów, łuckiego i przemyślskiego, oni we dwóch jednego poświęcą, bo pierwszy kanon apostolski o urzędzie episkopim powiada: episkop od dwóch, albo trzech biskupów święci się.“ Kiedy więc to pierwsze niezbyt fortunne pytanie kanclerskie nie pociągało za sobą dalszej rozmowy, trzeba było, jak to mówią, zacząć z innej beczki, więc kanclerz torując drogę księdzu Piekarskiemu pyta się znowu:

„Jaki też porządek kapłański w cerkwi waszej?“

A na to Galatowski:

„Taki jak i w kościele rzymskim: u waszych miłości opat, u nas archimandryta, dalej tu i tam biskup i metropolita, potem u waszych miłości papież, u nas patryarcha.“

Tutaj już nie wytrzymał ksiądz Piekarski i głośno krzyknął:

„A nie tak! Jeśli to równasz patryarchę do papieża, który patryarchów sądził, składał i wyklinał!“

Dysputa widocznie się wiązała i musiała się wiązać. Ksiądz Piekarski dobrze zmierzył, Galatowski do żywego tknięty rad nierad powinien był podjąć rękawicę. I oto wyciągnięto do szyku dwie zasady, jednę przeciwko drugiej, i kazano im się zetrzeć. Widocznie rzecz tutaj szła już o hierarchią, o pierwszeństwo ojca świętego w kościele powszechnym. Galatowski więc z flegmą zaczął na to odpowiadać:

„Jeżeli sądził papież patryarchę którego i składał i wyklinał, nie czynił tego sam jeden za własną powagą i wolą, despotice, ale czynił to synodalnie.“

Poczem, zarzutem na zarzut ciskając w oczy Piekarskiemu, dodał:

„I papieżów też synodalnie patryarchowie sądzili, składali i wyklinali.“ I cytował Galatowski przykłady: „Honorjusza papieża wyklęto na szóstym soborze powszechnym, byli tam i patryarchowie, czytaj waszmość Bellarmina jezuitę, znajdziesz tam tego więcej.“ I z tego rozumowania płynął naturalnie wniosek, którym zakończył rzecz swoją Galatowski z daleka zachodząc do celu: „zaczem, mówił, patryarcha jest każdy papieżowi równy.“

Ale o to właśnie chodziło teraz w gospodzie kanclerskiej czy tak jest; dla tego znowu Piekarski:

„Papieżowie pierwsze miejsce zasiadali na synodach, toć papież pierwszy jest nad patryarchów.“

Na to bardzo nędznie tłómaczył się Galatowski.

„Dla stolicy cesarskiej, która w Rzymie była, opowiadał, dano pierwsze miejsce w kościele biskupowi rzymskiemu, nie zaś dla większego znaczenia od patryarchów, a gdy z Rzymu do Konstantynopolu przeniesiono stolicę cesarską, natenczas takąż samą godnością cerkiew święta patryarchę konstantynopolskiego uczciła, czemu przyświadcza kanon trzeci drugiego synodu odbytego tamże w Carogrodzie, w którym napisane stoi: „biskup konstantynopolski niech ma pierwszą cześć po rzymskim biskupie, dla tego że jest nowym Rzymem Konstantynopol,“ a czwarty synod powszechny chalcedoński także orzekł: „postanawiamy, żeby tron konstantynopolski był w równej czci ze starego Rzymu tronem.“ „Otóż wielebności two-

jej, tak dalej ciągnął rektor kijowski, krótko odpowiadam, jako miała moc cerkiew św. dać pierwsze miejsce papieżowi rzymskiemu, tak ma moc wziąść od niego pierwsze miejsce i dać któremu patryarsze inszemu, ponieważ papieża nazywa patryarchą Platina kardynał rzymski o papieżach rzymskich pisząc."

Źle, jak powiedzieliśmy, dowodził rektor, bo do rzeczy świeckich, znikomych, przywiązywał to, co nie z tego było świata. Podług jego teoryi, cesarz jedynie znaczył w kościele, w stolicy albowiem cesarskiej był razem i pierwszy biskup kościoła, nie dla tego, że miał to prawo pierwszeństwa, ale dla tego że znajdował się obok cesarza. Galatowski władzę doczesną przenosił nad wieczną skoro chciał, żeby papież czy patryarcha brał swój blask od blasku korony i żeby głowę swoją przed cudzą, przed majestatem z tego świata uniżał. Cesarze co rok mogli przenosić stolicę swoją z miejsca na miejsce w państwie doczesnem, ale stolice kościołów dłużej stoją aniżeli świeckie i są niewzruszone jak opoki. Z cesarzem nie mogła się ciągle przenosić władza duchowna, boby straciła w tem mimowolnem błąkaniu się swój charakter święty; papież był wszędzie w kościele, gdziekolwiekby się znajdował, jako każdy biskup był wszędzie w swojej dyecezyi dopóki po niej jeździł, ale godność jego przywiązaną zawsze była do jednego miejsca. Toż i biskup rzymski dla tego był głową kościoła, że stolicę miał w Rzymie. Galatowski dalej na poparcie swoich założeń dwa przywiódł świadectwa, z tych pierwsze widocznie było za papieżem i tu się złapał, bo to jedno równoważyłoby i drugie, ale i to drugie świadectwo przywiódł nie całkowicie; w gruncie wyrażało ono to samo co i pierwsze: synod chalcedoński albowiem z uwagi, że w Konstantynopolu mieszka cesarz, że tam gromadzi się senat i że wreszcie miasto samo równych używa przywilejów co i Rzym stary, wynosił nową stolicę i pod względem religinym ponad insze katedry wschodnie i pierwsze naznaczał jej miejsce — ale po Rzymie to bardzo naturalnie: synod albowiem nie mógł i nie chciał obrażać Ojca świętego który na nim przez swoich legatów prezydował; synod owszem upraszał papieża Leona jako głównego sprawcę dobra wynikłego z uchwał zgromadzenia, żeby zatwierdził jego wyroki i one pierwszeństwo Konstantynopola ponad inne patryarchaty wschodnie, które widocznie nie ubliżało staremu Rzymowi. Legaci papiezcy opierali się tej nowości, która niezgodną była z dotychczasową karnością kościelną i przewidywali wtenczas niebezpieczeństwo jakie wyniknąć mogło dla chrześciaństwa, gdy najmłodsza z katedr patryarchalnych zabierała starszym przodek dla tego jedynie, iż wznosiła się obok

tronu cesarskiego. *). A teoria znowu Galatowskiego, że kościół może odebrać pierwsze miejsce papieżowi i dać je pierwszemu lepszemu patryarsze, nie ma żadnego znaczenia i rzucona była na wiatr po prostu, bo przypuściwszy, że kościół może to uczynić, odebrałże kiedy pierwszeństwo biskupowi starego Rzymu i dałże je komu innemu? Jeżeli tedy, jak powiadał Galatowski, miała moc cerkiew święta dać pierwsze miejsce papieżowi, mimowolnie tem przyznawał jemu władzę, bo nie mógł wskazać żadnego faktu, że władzę tę Rzymowi kiedykolwiek odbierano i przenoszono na innych biskupów. W schizmie dotąd nie ma jedynej władzy, jest ich kilka a wszystkie sobie równe, więc i jedności chrześciaństwa nie ma. Dla tego kościół nie ma prawa odbierać pierwszeństwa Ojcu św. jako następcy Piotra, gdy właśnie Chrystus Piotrowi i jego następcom zdał władzę w doczesnym swoim kościele. Rozumowanie wreszcie ostateczne Galatowskiego także na nic się nie zdało: nie idzie zatem że papież równy patryarsze, kiedy go Platina patryarchą nazywa, był on w istocie patryarchą jak inni na wschodzie, ale zawsze pierwszym z kolei; wszakże i dzisiaj papież w godności biskupiej równy jest innym biskupom a jednak ma nad nimi panowanie. Przed wiekami każdego biskupa nazywano ojcem,. papa, — nie idzie z tego, zeby zaraz każdy biskup był ojcem świętym. Przed wiekami każdy kanonik rzymski nazywał się kardynałem, a nie idzie z tego żeby zaraz miał i dzisiejszą dostojność kardynalską. Wyraz znaczenie swoje zmienia, ale instytucye w kościele są zawsze jedne i teżsame, tylko się rozwijają.

Ksiądz Piekarski zaraz też odpowiedział swojemu przeciwnikowi co należało, że nie dla cesarskiej stolicy, ale dla Piotrowej, zabierał pierwsze miejsce po soborach papież rzymski. Piotrowi nad apostołami dał Chrystus zwierzchność mówiąc do niego: „i ty niegdy nawróciwszy się utwierdzaj bracię twoją.“ Wniosek szedł oczywisty, że nie od kościoła, ale od samego Chrystusa przez Piotra świętego, biskup starego Rzymu miał władzę. Ale zapierał temu Galatowski. Mówił albowiem, że bynajmniej nie o zwierzchność tutaj chodziło, bo przez te słowa Chrystus Pan jedynie oznajmiał Piotrowi, że zaprzawszy się jego po trzykroć, miał się znowu nawrócić i pokutować, za to przyjętym być dla pokuty swojej na urząd apostolski i tą pokutą swoją miał wielu braci i ludzi wiernych utwierdzić w miłosierdziu Bożem, żeby wpadłszy w grzech

---

*) Galatowski opierał się co do świadectwa soboru chalcedońskiego na 28 kanonie tegoż soboru, a przecież kanon ten (patrz tłómaczenie łacińskie w Harduinie, T. II str. 614) wyraźnie mówi o katedrze Konstantynopolskiej jako drugiej, to jest następującej dopiero po Rzymie: secundam post illam existentem. Sobor chalcedoński odbywał się w r. 451.

jaki, nie rozpaczali o zbawieniu, i poparł to zdanie swoje Teofilaktem, który zupełnie tak owe słowa Chrystusa tłómaczy. Więc Piekarski przywiódł text drugi pisma i drugie słowa Chrystusowe zwrócone także do Piotra: „paś owce moje, paś baranki moje.“ Ale Galatowski i tu zwierzchności Piotra nad apostołami zaprzeczył mówiąc: że słowa pańskie odnosiły się tutaj do przywrócenia Piotrowi urzędu apostolskiego: zaparciem się dobrowolnem Piotr stracił prawa swoje, teraz je odzyskiwał a Chrystus trzy razy do niego odzywał się: „paś“ bo tem chciał dać uczuć Piotrowi, że trzykrotnie pana swego i nauczyciela się zapierał.

„Wnet tu mi będziesz w saku, na to Piekarski, kiedyć pokażę waszego św. doktora wschodniego Teofilakta, który ostatni kaput Ś. Jana Ewangelisty komentując, przypomina te słowa Chrystowe do Piotra: „paś owce moje“ i powiada, że dał pan tutaj „zwierzchność onemu nad wszystkiemi wiernemi, bo lubo Jakób stolicę w Jeruzalem otrzymał, ale Piotr wszystkiego świata.“ „To już nie możesz, kończył ks. Piekarski, apostoła Jakóba czynić równym apostołowi Piotrowi, ale musisz go mniejszym od Piotra nazwać i przyznać, że on pod władzą Piotrową zostawał; ponieważ on, Jakób, w jednem tylko mieście jerozolimskiem miał swoją stolicę i zwierzchność a Piotr św. nad wszystkiem światem przełożeństwo i wszystek świat Piotrowej stolicy hołdował.“

Ale Galatowskiego nie tak było łatwo zbić z terminu: „zda się ten był argument bardzo trudny (prawił) i mógłbyś waszmość jak siecią tym argumentem kogo ułowić, kto nie czyta św. ojców doktorów cerkiewnych.“ Ale tutaj wykręcił się tylko, zdobył się Galatowski na wykręt dowcipny, który jednakże mało przekonywał. Mówił, że trzech było apostołów i mieli Jakób na imię, syn Zebedeusza, syn Alfeja i trzeci Jakób biskup jerozolimski brat Chrystusów wedle ciała. Pierwsi dwaj byli z liczby dwunastu apostołów i uczniów Zbawiciela, więc Piotrowi równali się władzą i godnością, bo im też wszystek świat Chrystus poruczył, żeby ludzi nauczali, biskupów i kapłany stawili i kościołem rządzili. Trzeci zaś, biskup jerozolimski, był z liczby siedmdziesięciu apostołów, którzy naturalnie byli mniejsi od owych dwunastu, a o tym trzecim Jakóbie były słowa objaśnienia Teofilaktowe: Jużcić Piotr apostoł wyższym był nad owego biskupa w Jerozolimie. Tak rozumując, objaśniał tylko Galatowski stosunki trzeciego Jakóba do Piotra, o co mniejsza, ale nie odparł niczem wyraźnych słów Teofilaktowych o Piotrze: „dał zwierzchność onemu nad wszystkiemi wiernemi“ i drugich: „ale Piotr otrzymał stolicę wszystkiego świata.“ Może to i uważał ks. Piekarski, ale nie rozwodząc się nad tem szerzej przywiódł najważniejsze świa-

dectwo: „ty jesteś Piotr, na tej opoce zbuduję kościół mój.“ Galatowski odparł, że nie na Piotrze to, nie na człowieku, obiecał Chrystus pan cerkiew zbudować, ale na wierze Piotrowej, która była taka: „ty jesteś Chrystus Syn Boga żywego.“ Na tej wierze, powiadał, na Chrystusie, jako na opoce zbudowana cerkiew, to i sam Piotr mówił o Chrystusie: „a do którego przystąpiwszy kamienia żywego, acz od ludzi wzgardzonego, ale od Boga wybranego i uczczonego, i sami jako żywe kamienie, budujecie się w dom duchowy.„ Tu rektor przyzwał na świadectwo św. Augustyna, ale ks. Piekarski nie spierał się dalej o ten punkt i po kolei jedno za drugiem przytaczał różne miejsca z nowego zakonu, jakby chciał poznać wszystkie argumenta schizmatyckie. Więc przypomniał wtedy inne słowa Chrystusowe do Piotra: „tobie dam klucze królestwa niebieskiego, cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane w niebie.“ Piotr św. jest głową apostołów, bo on sam dostał klucze. Na to rektor dowodził, że klucze królestwa niebieskiego znaczą moc odpuszczania grzechów i zatrzymania ich, co wszystkim apostołom jest wspólne. Przyznawał dalej, że Chrystus obiecał tylko Piotrowi dać klucze, ale kiedy po zmartwychwstaniu swojem tchnąwszy na apostołów rzekł im: „przyjmijcie Ducha św. — komu odpuścicie grzechy, będą odpuszczonę, a komu zatrzymacie, będą zatrzymane,“ już tem samem klucze dał apostołom wszystkim. Galatowski mówił, że to miejsce rozumiał zupełnie tak jak i święty Teofilakt. Na tem przeciął się nagle rozbiór textów.

Wtedy ks. Piekarski widząc, że uporu nie przekona, uciekł się do faktów i napomknął o tem, że Piotr pierwszy mówił na synodzie Jerozolimskim, że pismo święte naprzód wszędzie wspomina Piotra przed innemi apostołami. Galatowski na to przytoczył miejsce pewne z listu Pawła św. do Galatów,*) w którem apostół Jakób był położony przed Piotrem. Niedowodziło to wprawdzie niczego, bo w liście swoim św. Paweł nie myślał o hierarchii, ale tam gdzie trzeba było mówić o władzy, dać uczuć władzę, tam na synodzie zawsze pierwszy mówił Piotr, pismo zawsze naprzód wspominało Piotra. Z naciskiem oparł się Galatowski na owem przez siebie przywiedzionem miejscu z Pawła św. w którem trzech apostołów słupami nazwano i z tego wnosił, że wszyscy trzej (był pomiędzy niemi i Piotr) są równi pomiędzy sobą. Zapewne, równi charakterem, ale nie władzą, a już widocznie bredzi Galatowski kiedy tłómaczy słowa apostoła Pawła do Koryntian:**) „każdy z was

*) Rozdz. II 9.

**) List 1 rozdz. 1.

mówi jam jest Pawłów, a ja Apollów, a ja Cephyn, a ja Chrystusów.“ Podług niego wypada, że Piekarski popełnił błąd logiczny podnosząc rzecz o pierwszeństwie Piotra z textów pisma, bo tutaj w słowach Pawła „według zdania waszej miłości, mówił zwracając się do przeciwnika, Paweł jest monarchą nad Cephasem albo Piotrem, nad Chrystusem, ponieważ wprzód siebie kładzie od Cephasa i od Chrystusa.“ Ale te właśnie ostatnie słowa Pawła do Koryntjan powinny były otworzyć oczy Galatowskiemu, że ani za pierwszą ani za drugą razą apostół nie myślał o hierarchicznych względach. Koryntjan, mówił dalej obrońca schizmy, gani apostół Paweł za rozerwania i poswarki, że jedni za głowę mieli Pawła, drudzy Apollosa i t. d.: dla tego wołał do nich: „ażaliż Paweł jest za was ukrzyżowany? albo w imie Pawłowe jesteście ochrzceni?“ A tutaj już z zaczepionego stawał się rektor wyzywającym, z oskarzonego oskarzającym i przemówił w następny sposób: „Tak czesny ojcze! Niepotrzebne to są nasze rozerwania, niepotrzebne poswarki. My Chrystusa jednego za głowę mamy i każdy z nas mówi: „ja jestem Chrystusów.“ Wasze miłości zaś papieża za głowę macie i każdy z waszych miłości mówi: „ja jestem papieżów.“ Oto apostoł Paweł do was mówi: „ażaż papież jest za was ukrzyżowany? albo w imie papiezkie jesteście ochrzceni?“ Jednak my pozwalamy, że Piotr święty pierwszy między apostołami, numero et ordine, liczbą i porządkiem, non potestate et dignitate, nie władzą i godnością, bo Cyprjan święty o jedności cerkwi mówi, „toż byli drudzy apostołowie, co i Piotr, równą czcią i władzą i godnością przyozdobieni.“

„Toż kościół będzie bez głowy, kiedy Piotra św. i papieża następcę jego, za głowę niemacie?“ wtrącił Piekarski widząc że rektor prawi od rzeczy. — „Sam Chrystus pan jest królem naszym i monarchą w cerkwi,“ mówił schizmatyk. Na to znowu Piekarski: „niewidzicie Chrystusa, jakże go za głowę macie widomą widomej cerkwi?“ A na to zapytanie puścił się Galatowski w erudycyą: dowodził jak się Chrystus wielu pobożnym dawniej pokazywał, jak im radził co i kiedy mają robić, jako się i teraz pokazuje i jako pokazywać się będzie aż do skończenia świata, jako będzie ratował w każdem utrapieniu cerkiew świętą i t. d. Wszystko to nie prowadziło prosto do celu, bo cudom i widzeniom pobożnych niezaprzeczał ks. Piekarski, tylko się pytał o głowę widomą cerkwi. Ale rektor wpadłszy już na trop erudycyi prawił o Chrystusie jak się pokazał czasu herezji arjańskiej w szacie na dwoje rozdartej św. Piotrowi męczennikowi patrjarsze alexandryjskiemu, który pytał: „panie, któż szatę rozdarł?“ A odpowiadając rzekł mu na to Jezus: „rozdarł Arjusz, że lud mój rozdzielił, który ja sobie krwią swoją kupiłem.“ Temi słowy nauczył Pan Piotra,

żeby widzenie swoje oznajmił cerkwi i kazał się ludowi chronić nauki arjańskiej. Plątał się rektor widocznie w swoich myślach. Miałże Chrystus pan nawiedzać każdego z biskupów tak jak nawiedzał patryarchę Piotra? Jeżeli tak, byłby ciągle widoczną głową cerkwi, a Syn Boży jednak spełnił już swoje boskie posłannictwo tutaj na ziemi i z tamtego już świata czuwał nad kościołem, pieczę doczesną o nim zdawszy na ludzi. A potem, cóż to za miecz w rękę dać szalonemu, pozwolić na to, żeby pierwszy lepszy ambicyą uniesiony biskup uznawał się za tłómacza woli Bożej i opowiadał widzenie Boskie, które sam może stworzył dla pewnych celów? Zresztą znajdą się potrzeby którym zaradzić potrzeba: „czyż do Chrystusa będziecie się udawać i Jego widzieć?“ pytał ksiądz kaznodzieja królewski. Byłto zwrot nadzwyczaj zręczny w dyspucie i cóż na to Galatowski? Odparł, że i papież umiera, że stolica jego może być pusta przez kilka niedziel, przez kilka miesięcy, a nawet i przez rok cały. Tak więc, napomykał rektor, nie zawsze macie swoją widomą głowę, a kiedy papieża nie macie, gdzież kościół rzymski udaje się o poradę? Naturalna odpowiedź sama się przedstawiała. Juścić widoma głowa kościoła była doczesna, zatem między rządami jednego a drugiego papieża musiały być przerwy, ale rząd kościoła, moc i władza wszystka zostawała przy kardynałach, pomiędzy któremi znajdował się oczywiście następca Piotra św. Grono książąt kościoła, to instytucya wieczna a doskonała; każdy kapłan co wchodzi do niego z natury rzeczy przejąć się musiał podaniami rządu, a jak je odebrał nieskazitelne od poprzedników, tak nieskazitelne i dalej oddawał swoim następcom. W kościele więc katolickim była rzeczywista władza i do tego ciągła, bo spoczywała w kapitule rządów doczesnych, ale na wschodzie nigdy ani widomej głowy ani władzy rzeczywistej żadnej nie było. Tak jak Chrystus był głową cerkwi wschodniej, tak samo był i głową kościoła katolickiego, ale pod nim myśmy mieli kardynałów i papieża przedstawiającego jedność, schizma miała tylko niezgodnych z sobą i równych sobie pięciu (podówczas) patryarchów i ani rządu ani jedności. Mówił Galatowski, że i cerkiew uciekała się w potrzebach swoich do namiestników Chrystusa patryarchów, a więc uznawał potrzebę głowy widomej, ale błądził kiedy utrzymywał że pięciu rządzi nie zaś jeden — „ci na miejscu Chrystusowem cerkwią świętą rządzą i onej ratunek dają i są miasto głowy nam widomej,“ — bo w cerkwi tyle zawsze będzie wiar, tyle religijnych systematów, ile oddzielnych niezawisłych władz: jeżeli kanonicznem prawem na wschodzie było mieć cztery patryarchaty, któż miał prawo nad kanony postanowić piąty patryarchat w Moskwie? A dzisiaj, każdy niemal odrębek dawnego państwa

greckiego, ojczyzny schizmy, czyż nie jest oddzielnym religijnym światem i o władzę czterech patryarchów się nie troszczy, niechcąc ulegać żadnemu.

Milczeli dotąd wszyscy i słuchali dwóch uczonych, jak się przekonywali nawzajem, nie mogąc ostatecznie się pobić. Ale teraz wtrącił się kanclerz do rozmowy i rzekł do schizmatyków:

„Wasi patryarchowie między Turkami, bisurmanami mieszkają, cóż wam do patryarchy?“

Podniósł słowo Galatowski ale mówił ladajako:

„Papieżowie rzymscy, prawił, mieszkali kiedyś między poganami, bałwochwalcami, między Gotami a Wandalami niewiernymi, a przecie nie mówiły ich owieczki: co nam do papieża. Tak i nasi patryarchowie, lubo w niewoli między poganami a bisurmanami mieszkają, nie daj tego Boże, aby z nas kto miał mówić: „co nam do patryarchy?“ Owszem ztąd poznawamy, mamy ich za prawdziwych pasterzów i cerkiew naszą wschodnią nazywamy prawdziwą, że się między mahometanami, poganami w niewoli znajduje, bo mówi Chrystus do prawowiernych ludzi: „oto ja was posyłam jako owce między wilki.“

Nie rozumiał widocznie Galatowski zarzutu kanclerskiego. Księdzu Prażmowskiemu chodziło o to, że patryarchowie wschodni podlegli jarzmu tureckiemu stracili w znacznej części rząd cerkwi, i że mimowolnie wpływom barbarzyńców, którzy patryarchów stanowili jak kiedy chcieli, podali głowę. Cerkiew wschodnia u Turków była w babilońskiej niewoli, niemiała stąd swobodnych ruchów, czystości dogmatu bronić nie mogła. Tymczasem na zachodzie przeciwny widok. Tam barbarzyńcy ulegli przed krzyżem i kościół uszanowali i z pomiędzy siebie świętych przysparzali niebu. Więc na nic się nie zdała dyalektyka uczonego rektora, kiedy porównywał mieszkanie patryarchów wśród bisurmanów do mieszkania papieżów pomiędzy Gotami i Wandalami. Ale najdziwniejszy był wniosek jaki zrobił z tego porównania: „zaczem, tak albowiem kończył Galatowski, jak nad apostołami, tak i nad patryarchami, owcami swemi, jeden Chrystus najwyższym pasterzem i monarchą i głową.“ Dla tego ks. Piekarski, puszczając mimo za się błąd logiki, o te ostatnie rektora twierdzenie się uczepił i rzekł:

„Czem to pokazujesz i dowodzisz?“

Na to bardzo coś niejasno bąknął Galatowski:

„Mówi apostoł Paweł do Efezów: „Tego dał głowę nad wszystką cerkwią, która jest ciałem jego.“ Z tych słów taki dowód czynię: Chrystus jest powszechnej cerkwi głową, tedy

jako powszechna cerkiew jedna jest, tak cerkwi powszechnej jedna głowa jest Chrystus.“

Na to Piekarski kategorycznie:

„Jest Chrystus głową cerkwi widomej i niewidomej, kóra jest ciałem Jego; ale że widoma cerkiew Chrystusa nie widzi (Galatowski owszem widywał Zbawiciela w sennych przywidzeniach i w poetycznych extazach, w których Zbawiciel dla tego się ludziom pokazywał, żeby wydawać pewne rozkazy dla rządu cerkwią), podał Chrystus cerkwi widomej głowę widomą św. Piotra, a po nim papieża rzymskiego.

„Jedno ciało, kiedy ma dwie głowy jest dziw, na to Galatowski, zaczem i cerkiew jeśliby miała dwie głowy, Chrystusa i papieża, byłaby dziw, czego się mówić niegodzi.“

„Wasza to wschodnia cerkiew jest dziw, odparł mierząc dobrze ks. Piekarski, bo ma cztery głowy, czterech patryarchów, a kościół zachodni nie jest dziwowisko, bo ma jedną głowę, jednego namiestnika Chrystusowego, papieża rzymskiego.“

Ksiądz Piekarski zapomniał o piątym niby patryarsze w Moskwie. Było więc pięć głów w cerkwi; a kiedy w brew urządzeniu cerkwi powstał ten piąty jako narost, któż zapewnić mógł, że nie będzie ich z czasem w schizmie więcej. Jakoż dzisiaj więcej jest takich głów widomych w cerkwi. Dziwna rzecz, schizmatycy oczywiście głowy widome cerkwi uznawali w patryarchach, i bili na jednę kiedy sami mieli głów pięcioro. A potém jakie to grube niepojęcie, nierozróżnienie doczesnej od wiecznej władzy twierdzić, że kościół rzymski miał dwie głowy, jakie niedołęztwo umysłowe parać Chrystusa syna Bożego z Ojcem św.? W pojęciach Galatowskiego zdaje się było, że podług nas, Zbawiciel podzielił się władzą z biskupem rzymskim. To też plótł dalej jak na mękach rektor kijowski, zawsze swoje powtarzając, że Chrystus jest cerkwi wschodniej głową, że apostołowie byli pomiędzy sobą wszyscy równi władzą, bo mówił do nich Chrystus: „jako posłał mię ojciec i ja posyłam was.“ Powtarzał nowy tekst Pawłów: „on dał jedne apostoły, drugie proroki, drugie ewangielisty, drugie pasterze i doktory ku dokonaniu świętych,“ twierdząc, że ci wszyscy i biskupi i pasterze jako namiestnicy Chrystusowi byli pomiędzy sobą równi. Niepotrzebnie słowa te Galatowski przypominał kościołowi rzymskiemu, który je dobrzo znał, dobrze rozumiał. Równi oni byli wszyscy jako namiestnicy Chrystusowi — ale przecież w cerkwi metropolita święcił episkopa i tylko w razie śmierci metropolity, święcili go inni władykowie, co zresztą rzadko się zdarzało. Równi oni byli wszyscy, a przecież i biskup, metropolita nawet grecki sam się nieobierał, tylko go mianował patryarcha władzą i powagą swoją, a jeżeli się zdarzało, że książe jaki panujący narzucił cerkwi

swojego intruzawładykę, czyż go nie uznawał przeto patryarcha, czyż tem uznawaniem nieprzydawał jego nieprawnej elekcyi tytułu kanonicznego? Czyż władykowie, niewchodząc w to zresztą jak byli obrani, wszyscy nie potrzebowali błogosławieństwa patryarchy, czyż z dawnej Rusi po święcenia do Carogrodu niejeździli? Więc Galatowski ciągle nie chciał czy nie umiał rozróżnić równości biskupów w nierówności hierarchicznej, która była od początku kościoła, bo być musiała. Ale oto jak doskonale Galatowski prowadził do dzisiejszego socjalizmu w rzeczach wiary rozwijając dalej ciemny swój systemat: „lubo cerkiew powszechna, mówił, na dwie części się dzieli, widomą na ziemi czyli wojującą i niewidomą w niebie czyli tryumfującą, jednak sam Chrystus jest głową cerkwi niewidomej i widomej, tryumfującej i wojującej. Cerkwią niewidomą, tryumfującą rządzi Sam przez Siebie Samego, zostając w niebie przytomnie. Sam rządzi i cerkwią widomą, wojującą na ziemi, przez namiestników swoich i z tych namiestników każdy głową jest widomą to jest starszym widomym w swojej eparchiej.“ Więc co głowa to rozum, niema jedności: droga do sekt i schizm wszelkiego rodzaju otwarta.

Na co było gadać ślepemu o kolorach? Galatowskiemu o rządzcy kościoła? Ale w cierpliwość uzbroił się ksiądz Piekarski i przypomniał raz jeszcze rektorowi, że biskupi są wprawdzie namiestnikami Chrystusowemi, ale ten urząd im służy względem przepowiadania a nie rządzenia, Piotr św. zaś sam jest, względem rządzenia, namiestnikiem Chrystusowym. Galatowski upornie znów utrzymywał, że wszyscy apostołowie razem rządzili, bo w dziejach ich napisano od apostołów wspólnie wziętych w liście do Antjochji: „posłaliśmy tedy Judę i Sylę“ a w innem miejscu mówią ciż sami nauczyciele zakonu: „albowiem zdało się też Duchowi św. i nam.“ Tu apostołowie nie mówią, objaśniał tak miejsce ono Galatowski: zdało się Piotrowi jednemu, ale nam wszystkim, zaczem wszyscy apostołowie cerkwią świętą rządzili. Ale któż z katolików mówił kiedykolwiek, że nie rządzili? i jakie tutaj błędy zbijał rektor? Rządzili, być może razem, póki byli jeszcze na świecie, póki żywem słowem Chrystusowem pomiędzy niemi krążącem i po śmierci doczesnej Zbawiciela cieszyć się mogli i oświecać; apostołowie wtedy stanowili wspólnie rodzaj senatu kościoła i trzymali razem rząd jego tak jak dzisiaj senat i rząd ten mieści się w gronie kardynałów, ale potém apostołowie pomarli i miałaż ich władza rządu rozrzucić się na tysiące dyecezyi? Każdy rząd za nadto rozdrobniony traci na sile, a władza wtedy przestaje być władzą. Nic też piękniejszego, nic więcej prostego jak odpowiedź na ten błahy zarzut naszego katolickiego kaznodziei.

„Rządzili wszyscy apostołowie kościołem, odparł, ale należąc do Piotra św. — a Piotr św. rządził doskonale, nienależąc do apostołów.“

A Galatowskiemu wtedy się zdało, że kapłan katolicki ogłasza naukę despotyzmu, jemu się zdało biednemu że nauka Rzymu starego niszczy wolność, bo wyrwały mu się z ust słowa, że Piotr wygląda jakby absolutus dominus i rząd jego sprawowany u nas despotice. Zwolennik cerkwi, która sama z ochotą popierała wszelką niewolę i dzisiaj jeszcze popiera, która jarzmo przyjęła od bisurmanów i która jako służebnica u nóg padyszachów przyległa, zwolennik tej cerkwi umiał mówić o despotyzmie kościoła rzymskiego. Szlachta w Polsce lękała się obsolutum dominium króla', Galatowski zaraził się widać od szlachty. Ale nie rządził despotice Piotr kościołem, kiedy jak mówił Galatowski strofował go w Antjochii apostół Paweł — „a niechno teraz kto waży się papieża strofować, pytał z tryumfującą miną rektor, czy ujdzie mu ta sztuka?“ Piotr św., mówił dalej, musiał się sprawować cerkwi Jerozolimskiej, gdy się na niego oburzyła, że się ważył wnijść do mężów nieobrzezanych i jadł z niemi, a gdy słuszny dał wywód uspokoili się „a czemuż się teraz papież nie chce i niema przed synodem sprawować?“ Galatowski duchem zaraził się od szlachty polskiej i jej oczami patrzał na rzeczy cerkwi, a czemuż oczami polskiemi nie patrzał na stosunki kraju? Wszakże i u nas majestat nieraz słyszał gorzką prawdę z ust zacnych; prymasi mieli prawo napominania króla, Zamojski raz pana swojego prawie sądził na sejmie krakowskim. Otóż i apostół Paweł mógł strofować Piotra w Antjochji i cerkiew jerozolimska mogła Piotra pociągać do odpowiedzialności, ale to strofowanie było w miłości, nie zaś nienawiści. Uszanowanie dla władzy ma swoje granice, bo nad tę powinność czci jest coś jeszcze większego, jest dogmat, najwyższa prawda i najwyższe dobro ludzkości. Obraża świętość wiary, kto postępowaniem swojem w rzeczach wiary i wiarę tę i siebie podajc w języki ludzkie siejąc zgorszenie. I oto Paweł strofując w miłości Piotra nieubliżał nic władzy jego, i oto cerkiew jerozolimska cofnęła się z podejrzeniami swojemi, kiedy dowiedziała się prawdy od świętego męża. Tak nieraz i te strofowania były więcej z napaści, jak z rzeczywistych przekonań. A nie trzeba było znowu znać historyi, żeby przeczyć jasnej prawdzie w oczy: nieraz i papieża strofowano w miłości i w miłości też ustąpił. Ale insza rzecz strofować kogoś, inna sądzić.

Ksiądz kanclerz, kiedy rozmowa tknęła się jego drażliwego przedmiotu, jasno sformułował sprawę:

„Jak to może synod papieża sądzić, pytał się rektora,

ponieważ papież jest głową synodu każdego? którym synodem po waszemu cerkiew, a po naszemu kościół bywa wyrażany.“

Galatowski jak gdyby nigdy nie słyszał o historyi zaczął wtedy przypominać kanclerzowi synody konstancieński i bazylejski, które rozkazywały biskupom i sądziły papieżów; i cytował z pamięci sławne postanowienia konstancieńskie ograniczające władzę papiezką, i dzieło Bartłomieja Carranza pod tytułem: Summa concilii constanciensis. Uwziął się bowiem dowieść kapłanowi katolickiemu, że zna lepiej historję owych zborów. Ale kanclerz puszczając już mimo za się te dziwne rektora kijowskiego pretensye, kiedy widział, że przeciwnikowi gwałtem się chce sądu na głowę kościoła, najzręczniej pobił go przykładem samej cerkwi wschodniej: „jeżeli papieża wasi patryarchowie za starszego nie mają, pytał się, któż waszego patryarchę będzie sądził, kiedy patryarcha co wystąpi?“ — „Każdy archierej najwyższy, papież, patryarcha, podlega sądowi synodalnemu cerkwi,“ odpowiadał Galatowski. I oto texta, któremi się popierał: Pierwszy, mówił Chrystus pan: „powiedz cerkwi, a jeżeli cerkwi nie posłucha, miej go sobie jako poganina i jawnogrzesznika.“ Drugi text: mówi święty Paweł w liście do Tymoteusza: „abyś wiedział, jakobyś się miał w domu Bożym sprawować, który dom jest cerkiew Boga żywego, słup i zmocnienie prawdy.“ Rzeczywiście jeden tylko tak zacięty w uprzedzeniu swojem rektor kijowski mógł w owych dwóch textach widzieć i sądy synodalne i miecz Damoklesowy po nad władzą. Czyż kościół rzymski wypierał się textów owych, czyż nie wyznawał razem z cerkwią, że dom Boży jest słupem i zmocnieniem prawdy? Czyż kościół rzymski nie miał za jawnogrzeszników i za pogan tych, co to nauki jego nie słuchali i za jego podaniami nie szli? O czemże owe texta mogły przekonywać kościół rzymski? Gdzież zresztą sąd był synodalny w cerkwi? Patryarcha, gdyby wolny był od świeckich wpływów, czyżby go na siebie dopuścił? Więc cesarze tylko wschodni składali sąd synodalny na patryarchów, których zgubić chcieli; a w dniach owego sądu, nie byłaż to niewola cerkwi? Kościół rzymski i dla tego samego święty, że władzy świeckich nad sobą nie uznaje: u nas w kościele są państwa i narody, w schizmie zaś cerkiew była w cesarstwie, to też kto chciał składał w cerkwi sądy synodalne i na kogo chciał, nawet na cerkiew samą. Systemat Galatowskiego prowadził prosto do świętych synodów, które pozabijały ducha a ciało na pastwę podały szatanowi. W kościele rzymskim nie było sądu na władzę, bo tylko jedno mogło być jej wykroczenie w zaparciu się całem czy cząstkowem nauki Zbawiciela; papież gdyby herezjarchą został, sam się wyzuwał z władzy,

i jużby nie jako ojciec kościoła, ale jako odszczepieniec mógł być sądzony przez kościół. Opatrzność Boża zaś w tem już była, że na tronie rzymskim nie zasiadał nigdy żaden herezjarcha, więc i sądu jakiego chciał Galatowski nie było potrzeba. A iluż to herezjarchów pokazywało się z kolei na tronach patrjarchalnych wschodu? Tych sądzić mógł kościół i Ojciec św. Na zachodzie synody ciskały wyroki swoje tylko na antypapów, a było i parę razy powstanie ambicyi i żądzy światowej przeciwko wiecznemu, było to zawsze powstanie i władza apostolska Rzymu tryumf też odniosła zawsze ponad namiętnościami, w których nie było Ducha świętego. W cerkwi wschodniej ileż krwawych buntów, w ślad jeden za drugim goniło, ileż razy bunt najzuchwalszy, najbezbożniejszy odnosił świetne zwycięztwo nad władzą? Tylko w cerkwi wschodniej mógł taki Focjusz obalać z patryarchalnego stolca takiego męża jakim był św. Ignacy. Nie miał zatem co wyrzucać Galatowski kościołowi rzymskiemu. Sądzę, mówił rektor dalej, że heretycy są to „bramy piekielne“ które według obietnicy Chrystusowej u św. Mateusza nigdy cerkwi świętej nie zwyciężą. Mówił, że według psalmografa „każdy człowiek kłamliwy,“ a więc domyśl się czytelniku, że mógł być kłamcą i papież. Ale na co te wszystkie wysiłki rozumu oplątanego w błędzie?

Skończywszy z kanclerzem, rektor zwrócił się na ucho do ks. Piekarskiego i przypomniał miejsce z apostoła Pawła w liście do Efezów: „zbudowani jesteście na fundamencie apostolskim i prorockim, na tym samym węgielnym kamieniu, Jezusie Chrystusie.“ „Tu chcę się nauczyć, mówił, Piotr św. czy pierwszym fundamentem, czy drugim? Jeżeli pierwszym, to jest równym Chrystusowi, który sam jeden kamień węgielny jest i pierwszy fundament; jeżeli zaś Piotr św. jest fundamentem drugim, to nie sam jeden ale i wszyscy apostołowie, ponieważ tu wszyscy apostołowie fundamentem się nazywają. Do tego Jan św. — dodawał rozumując Galatowski — widział w objawieniu dwanaście fundamentów, na których napisane były imiona dwunastu apostołów.“

Piekarski innemi wyrazami, kiedy chciał tego przeciwnik, naukę kościoła już raz przez siebie wyłożoną tłómaczył twierdząc, że Piotr św. jest fundamentem drugim ale dwojakim względem, to jest i dla ufundowania wiary i dla rządu cerkwi, inni zaś apostołowie są fundamentem drugim, dla jednego względu, to jest do ufundowania wiary, którą wszyscy opowiadali, a nie dla rządu, bo cerkwią jako Piotr nierządzili. Ale trudno było wyprowadzić uczonego rektora na prostą drogę z manowców, w których zabłądził; ciągle twierdził, że apostołowie razem rządzili cerkwią. Wynalazł jeszcze jeden text na poparcie swego. Św. Łukasz ewangelista opo-

wiada, jako się raz stał poswarek między apostołami, któryby z nich był większy (rozdz. 22), odpowiedział im na to Chrystus pan: „ja zrządzam wam, jako i mnie zrządził ojciec mój królestwo, abyście jedli i pili u stołu mego w królestwie mojem i żebyście siedzieli na stolicach, sądząc dwanaście pokolenia Izraelskie.“

„Tu widzimy, dowodził rektor, że Chrystus nie uczynił Piotra panem i monarchą nad apostołami, ale wszystkich obiecał ich w niebie królami uczynić, kiedy się oni o przełożeństwo swarzyli. Czemu się teraz papież, pytał się dalej, panem i monarchą nad cerkwią świętą czyni? Pozwalamy jednak, że papież rzymski jest głową w dyecezyi swojej, jakoteż patryarcha każdy konstantynopolski, alexandryjski i jerozolimski jest głową w eparchiej swojej, bo im wszystkim eparchie na synodach podzielono i niepowinien się papież w patryarszą a patryarcha w papiezką dyecezyą wtrącać i tam rządzić, — zaczem wszyscy równi sobie są, ponieważ każdy z nich jest partykularną głową partykularnej cerkwi, — sam jeden zaś Chrystus jest uniwersalną głową uniwersalnej cerkwi.“

Tu skończył Galatowski swój potok strumienistej wymowy.

Ale dziwnie, najdziwniej rozumował. Naprzód text jego oderwany ze św. Łukasza, inaczej wyglądał, kiedy się cały rozdział przywiedzionej ewangelji czytało. Było to na ostatniej wieczerzy; Zbawiciel przepowiadał uczniom swoim zdradę, a uczniowie poczęli się pytać pomiędzy sobą o kim to mowa i wtedy to „wszczął się spór, jak powiada św. Łukasz, pomiędzy apostołami, któryby się z nich zdał być większym. Samo z siebie ma się rozumieć, że każdy chciałby być najdalszy od zbrodni przeciw mistrzowi i otoż spór, któryby się z nich zdał być większym, to jest od zbrodni najdalszym, Zbawicielowi najwierniejszym. A Zbawiciel wtedy rzekł do nich: „królowie narodów panują nad niemi: a którzy nad niemi władzy używają, zowią je dobrodziejmi. Lecz wy nie tak: ale który jest między wami większy, niech będzie jako mniejszy: a przełożony jako ten co służy. Albowiem któż większy, tenli co siedzi u stołu, czy ten co służy? ażali nie ten co siedzi? a jam jest w pośrodku was, jako ten co służy. Lecz wy jesteście, którzyście wytrwali przy mnie w pokusach moich. A ja wam zrządzam królestwo“ i t. d. I skończywszy tę przemowę, Pan obrócił się zaraz do Piotra mówiąc mu: „Symonie, Symonie, oto szatan pożądał, aby was przesiał jako pszenicę, alem ja prosił za tobą, aby nie ustała wiara twoja, a ty niekiedy nawróciwszy się, potwierdzaj bracią twoję.“ Apostołowie zatem otrzymali naukę od Zbawiciela, którą im w pokorze chrześciańskiej pokazywał doskonałość. Chrystus pan karcił tutaj pogańską dumę, ale nie władzę. Nikt z ludzi nie ma się uwa-

żać za coś lepszego od innych, bo niczem więcej nie jest jak człowiekiem i dopiero kto się poniża podwyższony będzie. Człowiek władzy jak tutaj np. apostół każdy, nie był od innych ludzi bynajmniej wyższy sam sobą, przez wpływ natury, ale jedynie własną zasługą i łaską. I apostołowie byli nauczycielami ludzi, posiadali zatem władzę, a że na pogański sposób dumni z niej byli, karcił ich Chrystus. Ich władza była dla zbawienia, nie dla przewodzenia jako przewodzą monarchowie. A Piotr św. miał jeszcze więcej władzy jako inni apostołowie reprezentując jedność kościoła, i Galatowski chyba przepomniał że po owych słowach które z Łukasza zacytował, Zbawiciel obrócił się do Piotra, nie zaś do innych i do niego samego mówił: „Symonie, Symonie, oto szatan pożądał, — alem ja prosił za tobą, aby nie ustała wiara twoja, a ty niekiedy nawróciwszy się potwierdzaj bracię twoją...“ Ta opieka nad innemi apostołami i staranie o jedność kościoła wyłącznie włożona jest na Piotra. Nie szedł tam tedy swar o przełożeństwo, jako mówi Galatowski, ale ten swar szedł o prawo do zasługi i łaski, które wszyscy mieli równe. Zresztą nie mięszał się do tego swaru Piotr św., inni się pomiędzy sobą kłócili nie zaś Piotr, Zbawiciel ich też godził i kazał im się robić małemi, ażeby zaś władzcę im pokazał, do któregoby się zarazem odnosić mieli w nieporozumieniach swoich, mówił umyślnie do Piotra: „Symonie potwierdzaj bracię twoją.“ I Piotr św. doskonale zrozumiał naukę mistrza, bo i dotąd następcy jego w Rzymie nazywają się pokornie w obliczu świata całego nad którym dzierzą władzę: sługami sług Bożych, bo wiedzą, że władzę mają li tylko przez własną zasługę i łaskę. „A jam jest w pośrodku was jako ten co służy,“ mówił Zbawiciel (św. Łukasz rozdz. 22 wiersz 27.)

Oto zbicie zarzutu Galatowskiego, co do textu św. Łukasza. Co się zaś tyczy jego dowodzeń, że papież sobie, a patryarcha carogrodzki, jerozolimski i t. d. sobie, możnaby go się zapytać, dla czego kościół znał tylko pięć patryarchatów z rzymskim rachując, kiedy apostołów było dwunastu? Jezeli byli wszyscy równi dla czego pięć dyecezyi tylko w kościele? Więc siedmiu podług tej teoryi niższych było od pięciu? A potem każdy z tych pięciu patryarchów miał najwyższą władzę w swojej dyecezyi, każdy miał pod sobą metropolitów, arcybiskupów i biskupów, więc pięć było władz najwyższych, po cóż te pięć władz? Pięć być mogło, toć mogła być i jedna. Republikanizmem kościelnym wojował Galatowski, podług niego w synodzie a więc w zgromadzeniu ogólnem biskupów była władza, zatem u niego sejmy i rozdział obowiązków, prawodawcza władza osobno, wykonawcza w patryarchach osobno. Więc podług tego mogło być i panowanie większości

i patryarcha mógł nie iść za własnem przekonaniem. Ale pocóż tedy władzę wykonawczą na pięć głów rozdzielać? Toć z jedności kościoła robiono potwór wielogłowy. Zresztą głów w systemacie Galatowskiego nie potrzeba, dosyć synodu: logicznie rozbierając jego dowodzenie przyjdziem do wniosku, że patryarchaty są to narosty niepotrzebne w kościele, a więc znieść je lepiej. W synodzie jeneralnym czterech patryarchatów wschodnich będzie przynajmniej jedność cerkwi świętej, któinaczej niema. A kiedy Galatowski przyznaje byt kanoniczny tym narostom, już je tem samem usprawiedliwia i twierdzi że być musiały, że być muszą. Jakże więc pytamy możecie potępiać władzę jednego, kiedy władzę czterech co do urzędu nie co do przepowiadania, uznajecie? Zawsze to samo błędne kółko.

Piekarski w inną stronę znowu uderzył. Pytał się, kto może zwoływać synod jeneralny, jeżeli nie władza ogólna, powszechna, jedyna, najwyższa? I tem wskazywał konieczność żeby nad wszystkiemi świata biskupy był władzca jeden. Galatowski dowodził, że za czasów jedności kościoła, patryarchowie z papieżem przez posły i przez listy namawiali się wspólnie i zgromadzali synody za pozwoleniem cesarzów. Zawsze to plątanie władzy doczesnej do wiecznej; myślałbyś, że kościół stoi na świecie z łaski cesarzów. A gdyby się też nie zgodzili cesarz albo patryarcha który, jużby nie było synodu? Taki systemat otwierał drogę do ciągłych kłótni i kacerstw, jakiemi przepełnione są dzieje cerkwi wschodniej. Po rozerwaniu zaś jedności, mówił Galatowski, patryarchowie znosili się pomiędzy sobą o zwołanie synodu, na zachodzie zaś zwoływał go papież. Ale niechże pokaże Galatowski w historyi jaki przykład synodów, które tak przez poselstwa i listy już po rozerwaniu jedności zgromadzane były przez patryarchów? Na zachodzie długim jeszcze szeregiem wieków ciągną się Sobory, bo je zwoływała jedna władza, i tam był sobór, gdzie był papież, tam znowu było zborzyszcze gdzie nie było papieża. Gdzież synody powszechne na wschodzie? Z ustaniem jedności ustały, bo patryarchowie w równi z sobą zgodzić się nigdy na sobór nie mogli, pomimo życzeń Galatowskiego. I w czemże tedy był sąd na owych patryarchów, co występowali z zakonu? Cerkiew wschodnia straciwszy też podanie o prawdziwej władzy, uschła i nie rodziła owocu. Cudownie popiera poprzednie przed chwilą nasze rozumowanie nowa cytacya Galatowskiego, tą razą już z Bellarmina (o synodach roku 1. pytanie 1). Uczony ten powiada albowiem, że mogą kardynali i episkopowie sami zebrać synod, jeźli papież będzie heretyk albo schizmatyk, albo umrze, albo od rozumu odejdzie, albo niewolnikiem zostanie. Oczywiście, że mogą,

że powinni. Nad wszystkie powinności do władzy jest powinność strzeżenia świętości nauki Zbawicielowéj, a heretyk kościołowi przewodzić niemoże. Wytrąca się miecz z ręki szalonego. Nie kwadruje też nic, chociaż Galatowski przeciwnie twierdzi, do tego miejsca owa powieść o sędzim Samuelu, którego prosili Izraelitowie, żeby króla postanowił nad niemi. A kiedy król był obrany, rzekł Pan do proroka: „nie ciebie odrzucili ale mnie, żebym nie królował nad niemi.“

„Z tych słów możemy rozumieć, dowodził następnie niesprawiedliwie rektor, że jako gniewał się Bóg na Izraelitów, że oni odrzuciwszy Boga króla swego, człowieka sobie obrali za króla i za pana, tak i teraz gniewa się Bóg na Rzymianów, którzy odrzuciwszy Chrystusa Boga króla swego i pana, obrali sobie papieża, człowieka doczesnego, za pana i monarchę.“

Był i Saul z ramienia Bożego, co panował nad ludem wybranym, był i papież z ramienia Bożego, co rządził najwyżej w kościele na ziemi. Izraelici zbyli się Samuela proroka nie zaś Pana obierając sobie króla, jednak obrazili tem Pana, który im poprzednio sędziego do rządu ustanowił i stąd mówi Pan do proroka: „Mnie odrzucili.“ W kościele zaś rzymskim nie było nawet i tej obrazy Pana, który sam zbudował w Rzymie swoją opokę, tutaj nikt nieodrzucał Chrystusa za papieża, tylko rektorowi takie odrzucenie widzieć się mogło.

A kanclerz koronny znowu.

„Czy tak wierzycie wy, jako święty Bazyli wielki, Grzegorz teolog i Jan Złotousty wierzyli?“

„Wszystek świat wie o tem, odpowiedział kanclerzowi Galatowski zapalając się na zarzut, którego celu nie widział, że to są nasi doktorowie wschodni, których nauką wiarę swoję cerkiew nasza wschodnia wspiera i broni; nacóż komu na świecie wątpić, jeżeli my w cerkwi wschodniej zostając, tak wierzymy jako ci doktorowie wschodni wierzyli? Tak wierzymy jako oni, tak, tak, nie inaczej.“

„To nie daleko od siebie chodzimy, rzekł na to kanclerz, jeżeli tak wierzycie, — i my tak wierzymy.“

„Jeśli Piotr śty jest głową cerkwi powszechnej, dowodził rektor dalej, to patryarcha antjocheński, następca śgo Piotra, jest głową cerkwi powszechnej, bo sam śty Piotr w Antjochiej naprzód miał stolicę, zaczem patryarcha antjocheński równy jest papieżowi, bo jak ten, tak i ten, po św. Piotrze nastąpili, a Piotr św. nie był większy w Rzymie, a mniejszy w Antjochiej.

Nowy dziecinny zarzut, bo Piotr założył tak biskupstwo w Antjochiej jak je mógł w dziesięciu miejscach innych zało-

żyć. Ojciec zaś nie opuszcza dzieci swych, dla tego oddawszy Antjochię następcy, udał się do Rzymu gdzie swoję najwyższą postawił stolicę po nad nowym światem Bożym, ale mimo to Piotr tak samo w Antjochji jak i w Rzymie był u siebie, był w kościele. W Rzymie pozostał do końca dni swoich, tam osobiście przewodniczył wiernym Chrystusowym i tam poniósł męczeństwo za kościół. Jest podanie o dwudziestopięcioletniem jego biskupstwie w mieście wiekuistem. Apostolską to było władzą stanowić biskupie kościoły. To też nie w jednej Antjochji ale i w Jerozolimie, zapomniał o tem chyba Galatowski, Piotr więcej aniżeli inni apostołowie przyłożył się do założenia pierwszego kościoła chrześciańskiego. Opowiadał ewangelią w Poncie, w Kapadocyi, w Galacyi, w Koryncie, w Azyi i Europie, na wielu miejscach i wszędzie za sobą prowadził nowych wyznawców i utrwalał stowarzyszenie chrześciańskie. Więc z tego wypada, że Piotr wszędzie zakładał patriarchaty? Toć patryarchatów takich, jeżeli jeszcze policzym w to katedry założone przez innych apostołów, byłoby kilkadziesiąt w kościele, a byłaż i są?

Piekarski nie umiał czy nie chciał korzystać z obrotu ówczesnego dysputy i rzekł:

„Nie macie za głowę papieża rzymskiego, to już laika mieć musicie za głowę.“

„O! daj go Bogu! jak zacna konsekwencya! zawołał na to Galatowski. Nie mamy za głowę papieża rzymskiego, ergo laika za głowę mamy! Już em to nieraz mówił i teraz mówię że Chrystus, Chrystus, Chrystus (powtarzał z naciskiem Zbawiciela imię), jest głową cerkwi świętej, nie kto inszy.“

Niech jak chce ciska się Galatowski, laik w istocie był zawsze i jest głową kościoła wschodniego, dawniej był nim cesarz byzantyński, dzisiaj zaś pośrednio sułtan, a bezpośrednio car moskiewski i patryarchowie wschodni, chociaż ich czterech niczem są przed carem a wszyscy modląc się do niego wyciągają ręce ku Moskwie.

„Apostolska stolica jest w Rzymie, więc papież głową cerkwi i starszy nad patryarchami waszemi,“ niepotrzebnie już po raz dziesiąty powtarzał ks. Piekarski.

„Nietylko w Rzymie, ale i w Konstantynopolu i w Alexandryi i w Antjochji i w Jeruzalem jest stolica apostolska, bo w Konstantynopolu, prawił Galatowski jak gdyby tych faktów w kościele słuchacze jego katoliccy nie znali, patryarchą był pierwszym apostół Andrzej, w Alexandryi patryarchą był apostół i ewangelista Marek, w Antjochji patryarchą był apostół Piotr, który potem patryarchą był w Rzymie, w Jeruzalem patryarchą był apostoł Jakób; zaczem patryarchowie równi są papieżowi ratione regiminis ecclesiastici, względem

rządzenia cerkiewnego, ponieważ wszyscy na stolicach apostolskich siedzą."

To co kościół wie o pierwotnych swoich dziełach przytoczył Galatowski w odpowiedzi swej, ale kościół wie jednak bardzo mało o pracach apostolskich, w których najgłośniej tylko o Piotrze i Pawle. Nauczyciele nowego zakonu mało dbali o przekazanie swych zasług potomności, a starali się o to jedynie, żeby wiara w Chrystusa żywego rozeszła się jak najdalej i najszerzej po świecie. Skądże wie Galatowski, że tylko pierwotnie było te pięć patryarchatów, które wyliczył? Wszakże każdy apostoł uczył do śmierci, każdy miał około siebie wiernych, każdy rządził swoim kościołem i był w swoim zakątku biskupem. Jeżeli patryarchatami były stolice biskupie apostołów, jeżeli patryarchaty wszystkie podnosić głowy mogły ponad inne kościoły chrześciaństwa, najmniej, powtarzamy, takich dwanaście niepodległych, a najwyższą każdę w swojej stolicy, dyecezyi, musiałby przyjąć. Bo jakimże prawem ustały tamte, które zginęły? Powinienby je był wprzódy Galatowski skrzętnie wyszukać, stopień im przyzwoity powrócić i dopiero wtedy mówić o stolicach apostolskich. Ale zgasły tamte, bo niczem innem nie były jak prostemi biskupstwami, zupełnie tak jak owe cztery kościoły wschodnie, które się do dziś dnia mniemanemi rządy dzielą w chrześciańskiej turecczyznie. Zwą się te kościoły patryarchalnemi, ale nie nazwisko tu co znaczy, jedynie rzeczy istota. Patriarchat jest biskupstwo. Kościół rzymski do dziś dnia ma swoje patryarchaty w Wenecyi i Lisbonie; ma też poza granicami Europy chaldejski patryarchat w Babilonie, a ormiański w Cylicyi; w Antjochji aż trzy odrębne patryarchaty, oprócz czwartego wschodniego in partibus: zachodnie Indye kościół zwierzył też osobnemu patryarsze. Jest to tylko tytuł urzędowy biskupa, który się tutaj nazywa po łacinie episcopus, a tam archiepiscopus i metropolitą, gdzieindziej wreszcie patryarcha. Tak samo i proboszcz parafii, zwie się plebanem, a po łacinie præpositus, plebanus, curatus; czasowy rządca parafii zwie się administrator lub commendarius, a wszystkie te wyrazy oddają jedną myśl, jedno znaczenie, kapłanom jedno nadają prawo. Tak i owe cztery patryarchaty wschodnie, które do dziś dnia przetrwały, są to biskupstwa jednego kościoła, pierwsze przed innemi, ale wszystkie władzą niższe od Rzymu.

Dalej ciągnąc rozmowę rzekł Piekarski do Galatowskiego.

„Przypomniałeś tu rząd cerkiewny; powiedz mi wieloraki jest rząd?"

„Trojaki, odparł uczony rektor, monarchii, arystokracyi i demokracyi."

„Co jest monarchia? co arystokracya? co demokracya?“ ciągnął examen swój Piekarski.

„Monarchia jest tam, posłuszny ks. jezuicie rozpoczął rektor, gdzie jeden człowiek rządzi; arystokracya jest tam gdzie wielu ludzi władną i panują; demokracya tam jest, gdzie wszystko pospólstwo rządzi.“

„Powiedz-że mi teraz, jakowy jest rząd w cerkwi? zapytał się Piekarski.“

„Monarchii rząd jest w cerkwi.“

„Już się teraz nie wykręcisz, już musisz przyznać, że papież rzymski jest głową i monarchą cerkwi widomej, ponieważ rząd monarchiczny w cerkwi być przyznawasz.“

„Mówiłem ja już nieraz, kto jest monarchą w cerkwi świętej, odparł Galatowski, teraz pytam w psalmie drugim, kto mówił te słowa: „ja postawion jestem królem od niego nad Syonem, górą świętą jego,“ to jest: nad cerkwią świętą jego, objawiał rektor, czy Chrystus? czy Piotr? czy papież?“

„Nie Piotr śty i nie papież, ale Chrystus to mówi, odparł Piekarski.“

„Dobrześ tak wasza miłość powiedział, już musisz przyznać że sam Chrystus jest królem i monarchą i głową cerkwi świętej, nie Piotr, ani papież.“

Na pięknej drodze prowadzącej prosto do celu był Piekarski kiedy się Galatowskiego pytał, jaki jest rząd w kościele? i nie umiał go złapać na kłamstwie i na nielogiczności. Mówił rektor, że urząd w cerkwi jest monarchiczny, a przecież było pięciu patryarchów moskiewskiego licząc, toć rząd chyba oligarchiczny, a przecież ponad patryarchami wznosił Galatowski sąd synodalny cerkwi, którego nigdy nie było jak wskazaliśmy, więc rząd był zupełnie reprezentacyjny, parlamentarny angielski. Zapomniał Galatowski o tem co wprzód wywodził. Ale mu potrzeba było, żeby Ojca Ś. ugiąć pod sąd, więc tam porzucił monarchię, a tutaj żeby się znowu nie złapał, ogłaszał że rząd monarchiczny był zasadą cerkwi. I w istocie wykręcił się sianem, chociaż go miał w matni ksiądz kaznodzieja, prawdziwie sianem, kiedy psalmu użył na swoją obronę. Co albowiem mówią przeciwko doczesnej władzy Ojca świętego owe słowa Chrystusowe w psalmie: ja postawion jestem królem od niego nad Syonem?

Kanclerz widząc, że nic nie wskóra z upornym schizmatykiem, odwołał się wtedy do przyszłości, mówiąc, że musi być przecie kiedyś jedność święta i że Ruś jak i Grecya i wschód cały kiedyś uzna jedną władzę w kościele w osobie Ojca św. bo i napisano jest: „będzie jedna owczarnia i jeden pasterz.“

Ale Galatowski gotów był nawet w zaciętości swojej i błogą

przyszłość czernić i Chrystusowi nie wierzyć, bo mówił schyzmą nadęty:

„Czytać trzeba Jana św. rozdział dziesiąty, napisano tam że Chrystus siebie samego pasterzem najwyższym nazywa, mówiąc: „ja jestem pasterz dobry,“ obiecuje tam dwa narody różne, żydowski i pogański, nawrócić do jednej wiary i nazywa te dwa narody owcami różnemi, z których jednę owczarnią, cerkiew świętą, miał uczynić, dla tego rzekł: „będzie jedna owczarnia i jeden pasterz.“ Czemuż wasze miłości papieżowi to przypisujecie, pytał, co Pan Chrystus o sobie samym powiedział.“

Ale czyż, wielebny Ojcze Galatowski, miłości te które cię słuchały, przypisywały papieżowi słowa Chrystusa Pana? Toć gdyby jedność kościoła nastała i wszyscy wierni władzę namiestnika Piotrowego uznali, oddalaliżby się wtedy od Chrystusa? Czyżby ten namiestnik Piotra nie do Boga, ale do cara ziemskiego jako wasi patryarchowie wszystkich wiernych prowadził? Kto uznał jedność kościoła, już tem samem uczcił Chrystusa, kto się od jedności odrywa, plecie tylko jak na mękach że ma Zbawiciela za głowę kościoła, owszem najuroczyściej w obliczu świata całego, Pana się swojego zapiera. A nie zaparcie się to Piotrowe, po którem na winnego większe się zlało błogosławieństwo boskie, ale to tchnienie ducha rokoszu, to schizma. Kościół rzymski, dzisiaj przed wiekami jeszcze cieszy się tą jednością, która nastąpi, schizma się brzydzi tą jednością.

A kanclerz wtedy już najprościej szedł do celu dysputy, która widocznie końca mieć nie mogła.

„Na Florenckim soborze, mówił, wasz metropolita kijowski był unią z kościołem rzymskim przyjął, spodziewam się ja, że ta jedność między cerkwią ruską i kościołem rzymskim za mej pieczęci będzie.“ I na tem uciął nagle rozmowę. W istocie byłoby to bardzo ważne zeznanie biskupa katolickiego i ministra gdybyśmy mogli wiedzieć, jak daleko król myślał posunąć się na tej drodze pogodzenia kościołów. Jeżeli to było ze strony biskupa groźbą, przyznamy, że zrobił ją wcale nie w miejscu. Przemocą niczego z uporną Rossyą dokazać nie było można, a wszystko łagodnością i perswazyą, jak o tem następne wypadki dopiero przekonały. Zresztą kanclerz niechcący obrażał cały kościół: unija już była w znacznej części Rzpltej i za pieczęci jego stawać nie potrzebowała. Prażmowski mógł się tylko spodziewać, mógł tylko sobie życzyć, żeby ta schizma, która schroniła się na Ukrainę a ostatkami już goniła będąc podsycaną do życia tylko od Doroszeńków i namiętnych kilku episkopów, żeby ta schizma broń fałszu złożyła przed prawdą.

Galatowski brzęczał jeszcze jak ostatni ton muzyki ginącej w oddaleniu. Upierał się, że chociaż Izydor przyjął unię we Florencyi, Ruś jej nie przyjęła i pozostała przy czystości dawnej wiary, uznając nad sobą władzę patryarchy konstantynopolskiego. Ale już nikt go z katolików nie słuchał i wszyscy z miejsc swoich ruszyli. Widno, że kanclerz pożegnać chciał już swoich gości. Dwaj władykowie ruscy wstawszy, poczęli dziękować księdzu Prażmowskiemu za chęć oświadczoną, a robili to szczerze, bo kanclerz jako minister miał ich w ręku i pieczętował im przywileje na władyctwa i metropolje. Potem się wszyscy rozeszli a rozmowa takim sposobem skończyła się o drugiej godzinie w nocy.

Tak więc porozumienia się w Białej cerkwi nie było, zepsuł wszystko Galatowski swoim uporem. On tam jeden błędów schizmatyckich bronił, bo władykowie jakby zaklęci milczeli. Czyby dla tego, że nieumni byli w piśmie? czy może nie chcieli się narazić żadnej stronie? czy może w duchu potępiali upór rektora, przeciw któremu jednakże powstawać nie wypadało? Rozprawy jednak, nie można tego zaprzeczeć, toczyły się poważnie, nie było tam osobistości lub zakłócia. Obadwaj przeciwnicy Piekarski i Galatowski nie umieli dobrze walczyć; bądź co bądź Piekarski w rozumowaniach zawsze szedł górą, ale zwykle nie domawiał całej swojej myśli. Prawda, że text owej rozprawy mamy z jednej tylko strony t. j. z ręki Galatowskiego, który zaraz ją spisał powróciwszy od kanclerza do siebie i potem drukiem całą po polsku ogłosił; *) mógł też dodać co erudycyi na swoją stronę, mógł myśli Piekarskiego źle ująć, źle zredagować, wreszcie osłabić. Widać to wszędzie z textu drukowanej już rozmowy: przy dowodach Galatowskiego są np. cytacye z pisma św. rozdział i wiersz wyrażony, toż rozumieć i o cytacyach z Ojców kościoła, u Piekarskiego zaś ani jednej, więc rektor przynajmniej, nikt tego za-

---

*) *Rozmowa Biało-cerkiewska* wielebnego O. Joanicjusza G. Ordinis S. Basilii Magni, Rectora kij, z wielebnym ks. Hadrianem Piekarskim Soc. Jesu kaznodzieją JKMci. De Hierarchia Ecclesiae, u najwyższego kanclerza kor. w gospodzie miana i od niektórych z rycerstwa katolickiej wiary z pilnością tam słuchana i notowana, potem zaś porządnie przepisana i wydrukowana w 4ce str. 18 druk gocki, (bez miejsca i roku, ale w Kijowie). U Jochera jest ta książka pod Nro. 4066 T. 2gi str. 333, — przedrukowana w T. 2gim „Lietopisi Samoiła Wieliczka" pochodzącej z początku XVIII w. w Kijowie 1851 T. 2 str. 42—76. Galatowski tę „Rozmowę" wydał jeszcze drugi raz osobno w dziele swojem „Skarbnica" dnia 23 sierpnia 1676 wydrukowanem w Nowogrodzie Siewierskim, jak to widać z Wieliczki str. 41. — *Refutacyi*, która była pisana przeciw tej rozmowie nie znamy, ale przeciw Refutacyi jest broszura którą Galatowski sam podobno napisał pod tytułem: Rycerz prawosławny katolickiej cerkwi wschodniej rycerzowi kościoła rzym. na jego Refutacyą napisaną przeciw Rozmowie Białocer. O. Joanicj. Gala. z ks. Hadr. P. de Hierarchia ecclesiæ mianej odpowiada. Tę broszurę czytał Maciejowski w Dzikowie, patrz, Piśmiennictwo pol. T. 3 str. 180.

przeczać nie może, sprawdzał cytacye i może potem dopełniał swoich rozumowań. Widać to zresztą z polemiki, która się zawiązała z powodu ogłoszenia drukiem tej rozmowy. Wyszła przeciw niej refutacya, a na refutacyą tę powstawał nowy jakiś obrońca schizmy, podobno sam Galatowski. Spór cały toczył się w Białej Cerkwi jedynie około władzy papiezkiej, niedotykał wcale dogmatu: aż słusznie zniecierpliwili się wszyscy. Władykowie ruscy wyszli zwarzeni, bo wezwano ich na ucztę a usiłowano ich nawrócić.

Rozmowa ta miała miejsce w Białej Cerkwi dnia 8 listopada 1663 roku.

Król opuścił Białą Cerkiew pod koniec listopada i ominąwszy Kijow przeprawił się na drugą stronę Dniepru z wojskiem naprzeciw Woronkowa. Odparłszy zagony Kozaków Brzuchowieckiego, którzy się aż w te strony zaganiali, udał się do Ostrza nad Dziesną, a już dobrze mrozy dojmowały. Było to miasteczko pułku kijowskiego, w którem król postanowił przepędzić zimę. I tutaj jeszcze w Ostrzu zajmował się ustaleniem losów Cerkwi schizmatyckiej, osieroconej po śmierci swojego metropolity. Że elekcya nie przyszła do skutku a nikt nie mógł nawet przewidzieć, kiedy i jak dojdzie w przyszłości, przeto król z ramienia swego administratorów tymczasowych do ruskich dyecezyi wyznaczać musiał, zapobiegając zawczasu intruzom, którzyby łatwo korzystać mogli z okoliczności. Mógł w prawdzie król mianować metropolitę i władyków jak mianował prymasa i biskupów łacińskich, ale czy nie wiedział kogo ma obrać, czy też chciał wprzódy wybadać myśl schizmatyckiej Rusi, utrzymywał tymczasowość. Dla tego w Ostrzu zlecił zarząd metropolii kijowskiej niepołączonej z Rzymem nominatowi władyce lwowskiemu Atanazemu Żeliborskiemu; i niewiemy dla czego Winnickiemu, który już był władyką przemyślskim, oddał też zarząd eparchii przemyślskiej. Obadwa przywileje wydano jednego dnia z kancelaryi (26 grudnia 1663). Winnicki miał niezmierną ochotę zostać metropolitą i król mu tę stolicę obiecał, bo w przywileju zlecającym mu administracyą władyctwa zastrzegł, że to trwać będzie dopóty, dopóki nie zostanie metropolitą. Ale była i druga ambicya Żeliborskiego do uspokojenia, tej mało było posiadać już przywilej na władyctwo lwowskie, więc otrzymała i administracyą metropolii aż do czasu, póki król stanowczo coś w tym względzie nie postanowi *). Widzieliśmy jak obadwaj władykowie kłaniali się królowi w Białej Cerkwi i jak się skromnie zachowywali u kanclerza. Obadwaj już sami niewiedzieli w co mają wierzyć i mimowoli ulegali wpływowi unii. Tymczasem, kiedy

*) Obadwa te przywileje w Sygillatach, w metryce kor. ks. 7 str. 211.

mimo obrony Galatowskiego, dwaj naczelni władykowie Przeddnieprza zwijają chorągiewkę, a jeden Czetwertyński episkop łucki zdala się trzyma, na Zadnieprzu znalazł się nowy ambitny schizmatyk, który władzę metropoliczą postanowił zdobyć. Był to władyka mścisławski i orszański, przyjaciel Doroszeńków, duch niespokojny wielce, Józef Nielubowicz Tukalski.

POETA W GÓRACH.

(Wyjątek z wiersza pod tymże tytułem).

Na tobież to stanąłem, przewyższam te chmury —
Niebotyczny granicie, olbrzymie natury!
Tyż mię to dźwigasz Tatrom królująca skało?
Jak myśl moja zmężniała, jak serce zawrzało,
Jak dusza wielkim świata porwana obrazem
Z wszystkich więzów tej ziemi wydarła się razem.
Witajcie dumiejące gmachy przyrodzenia,
Pycho tej ziemi — świadki pierwszych dni stworzenia; —
I wy w rozlicznych kształtach ogromy wspaniałe,
Wieże — szańce — posągi — twierdze — miasta całe, —
Zawieszone — sterczące strzaskane opoki;
I wy w czarnych przepaściach ryczące potoki,
Orły po tych odwiecznych puszczach królujące,
I wy tu osiwiałych już wieków tysiące —
Poważne syny czasu, wy coście widziały
Jak po tych wzniosłych górach góry wód się lały,
Witajcie zdumionemu w pośród was poecie!
Witaj i ty nakoniec nieprzejrzany świecie,
O jakież — nieobjęty Wszechmocnego tworze —
Niezmierzoności twojej oblało mnie morze. —
Jak ów ptaszek w niebiosów tonący lazurze,
Jak ów żeglarz przez ciężkie skołatany burze,
Wdarłszy się na szczyt masztu, ziemskich brzegów wzywa
A same tylko morza i morza odkrywa, —
Tak i ja drobny pyłek, proszek przyrodzenia,
Tonę wśród tej bezkresnej otchłani stworzenia,
Jak gdyby już wiszący nad wieczności progiem
Między niebem i ziemią, naturą i Bogiem!

Góry! potężne kopce narodów granicy,
Sam Bóg wszechmocą swojej sypał was prawicy;
O wasz grzbiet się to ciężka rozdzierając chmura
Mniej gniewnie gromi ziemię; — z was to, z was natura
Jak z piersi macierzyńskich wylewa obficie
Te rzeki roznoszące nowe światu życie,
Te tysiące dróg płynnych, co ciągłą koleją
Jak wieczność niezmierzone oceany leją,
I niosąc w zamian ludom prac ich plon bogaty
Łączą żaglem przemysłu narody i światy.

Wyście arką bogactwa porzuconą światu,
Z was on kamień, ozdobę czoła majestatu,
Z was te głazy zdobywa, z których dłoń rzeźbiarza
Trwożące nas Pelidy, same bogi stwarza, —
Te posągi, co w wiekach uroku i chwały
W łonie własnych swych twórców miłość zapalały,
I wzajem serc ich silnem przebudzane biciem
Nad rodzącem się w sobie zdumiewały życiem. —
Cóż to za niezmierzony otwór się roztacza?
Patrz! jak w tę czarną otchłań cały lud się wtłacza,
Wstępuje z całym składem Wulkana zbrojowni,
Do tajemniczej wieków wdziera się pracowni,
I z pieczar, w których głębi wieczna noc przebywa,
Ów kruszec, płód skalistych wnętrzności, wyrywa —
Co raniąc młodej ziemi nietknięte płaszczyzny
W zakroju pierwszej skiby podał myśl ojczyzny;
Ten kruszec, co potężne dwóch światów przestwory
Bracącemi ród ludzki poprzestrzelał tory,
I znów srogą koleją w grom śmierci zmieniony
Całemi ludy pola zaściela Bellony,
Głosi tryumf morderczy z grzmiących paszcz tysiąca
I dumą swych posągów o szczyt niebios trąca;
Aż nakoniec ciężkiemi ozwawszy się jęki,
Smętnemi z świątyń Pańskich naucza nas dźwięki,
Że jak one brzmią, giną, tak wszystko co słynie,
Z niknącym wieków lotem przemija i ginie.

Góry! dumo — uroku — poezyo ziemi!
Wy światu królujecie, — wy echy waszemi
Dotąd mi ów głos Stwórcy: *Stań się!* powtarzacie.
Wy w pierwotnej, dziewiczej zieleniąc się szacie,
W tych samych kształtach, w których świat was ujrzał młody,
Stoicie dotąd silnie — silniej niż narody....

Dzielniej was dłoń wszechmocna w jeden ogrom zwarła,
I nie ma tej potęgi coby was rozdarła,
Ściągnęła z bark królewskich płaszcz wasz odwiekowy,
I monarszą koronę strąciła wam z głowy. —

Martwe, nieme ogromy! — na waszym to szczycie
Pierwsze się może świata rozwijało życie.
Tu bliższej Boga swego oddając się pieczy,
W pierwotnych się szałasach gnieździł ród człowieczy;
Tu może skamieniałe wiekami starości,
Pierwszych ojców narodów spoczywają kości;
Tu dzieci, usypiane brzękiem ich orężów,
Z granitowych kołysek w twardych rosły mężów;
I nim zeszła w doliny ludzkość już zmiękczała,
Tu na tronie skalistym *Dzielność* królowała... —

Was wzniosłą jak wy myślą rozważa nauka,
Straconej księgi dziejów w waszych tajniach szuka,
Tysiące lat nieznanych z waszych warstw wywodzi,
Jakby po szczeblach czasu w ciemną przeszłość schodzi,
Szuka wielkiego słowa odwiecznej zagadki,
Naoczne przedpotopu wywołuje świadki,
Błąka się — marzy — stawa — porównywa — pyta,
Tonącą w nocy czasów prawdę ściga, chwyta,
I gdy się coraz głębiej spuszcza gwiazdą myśli
Aż u świata podwalin starość jego kryśli.

Góry! jakiż mi z szczytów waszych blask jaśnieje!
Was urokiem swym święte namaściły dzieje,
Na was to Religia korną dłonią wiary
Pierwsze Panu nad Pany paliła ofiary,
I wznosząc posąg dymu niedosiężny okiem
Niebo z ziemią tym wonnym spajała obłokiem.
Sam Bóg nawet, gdy lud swój od zbrodni odwodził
Jak gdyby z tronu nieba na tron ziemi schodził,
Zstąpił na szczyt Synai — i jak drugą górą
Bóstwo swe tajemniczą osłoniwszy chmurą,
W całym blasku wszechmocy, grozie majestatu,
Wolą swoję na twardych głazach wyrył światu.

Słyną dotąd — przesłyną wszystkie wieki, chwały,
Zdroje nauk co z góry Oliwnej się lały,
I z urny odmłodzonej wiary wytryśniętem
Całą tę ziemię słowem opłynęły świętem.
Wstał zmartwych świat zamarły, jakby twórcze słowo
Z czarnego go zamętu wywiodło na nowo.

Rozkwitło drzewo życia — i hojnie, szeroce,
Na nowy pokarm święte rozsiało owoce.
Jakby skrzydłem Aniołów przywiany miłośnie
Błogi pokój po rajskiej rozpłynął się wiośnie;
Zstąpiła z niebios miłość, cicha i powolna,
Cieszyć tylko, przebaczać i ukochać zdolna,
W słodkie jarzmo braterstwa cały świat się wprzęgał,
A wiarą i nadzieją w nieśmiertelność sięgał.
Weszła gwiazda Jakóba i z niebios sklepienia
Jaśniała zwiastująca wielki dzień Zbawienia.

Lecz gdzież mistrz tej nauki, co te zdziałał cudy?
Czołem przed Nim zapewne wszystkie biją ludy,
Wielbią hymny świętemi — i tron Mu nad trony
Z wszystkich serc, wszystkich ofiar, z wszystkich gór spiętrzony,
Stawiają na tej ziemi...... Spójrz na szczyt Golgoty, —
Zbójczemi Go do krzyża przybijają młoty,
Na odgłos bitych gwoździ skały upadają,
Drzy ziemia — słońce gaśnie — zmarli z grobów wstają,
Na cuda nawet wściekłe nie bledną oprawce,
Lud wybrany zabija wszystkich ludów Zbawcę;
Leje się krew najświętsza, a wielkość ofiary
Nad dumę Cimborasso, pychę Delawary,
Wywyższa górę męki, do niebios ją zbliża,
I znów Boga z człowiekiem łączy węzłem krzyża!

Lecz słuchaj! — cóż to za głos ciężki i ponury
Nagle za dalekiemi odezwał się góry?
I znowu się odzywa..... i znów głośniej jeszcze.....
Do mnie! celni malarze, do mnie wielcy wieszcze!
Burza, burza nadchodzi, patrzcie — już przybywa,
Jak świat ten niezmierzona, jak wieczność straszliwa,
Czarna jak noc zamętu, jak głąb piekieł wrząca,
Ciągnie, ciągnie wśród wichrów i gromów tysiąca.
Niebo się w szatę swojej przybrało potęgi,
Płaszcz swój wiatrom rozpuszcza, złote wstrząsa wstęgi,
Warzą się górne lawy w podniebnem ognisku,
Po czarnem tle nawały snują węże błysku,
Ciężki grzmot się w bezkresnym rozlega przestworze,
I całe nad padołem zawiesza się morze.
Jakiż postrach po całej przebiega naturze,
Jakaż cisza na dole — huk i łoskot w górze!
Tuli się zwierz drapieżny, w ciemne kryje nory,
Czarny kruk spiesznym lotem w ciche dąży bory,
Sam orzeł z trwogą wraca z pod niebios błękitu
I potężnym się szponem chwyta dębów szczytu.

Burzo! o jakżeś w twoim groźna majestacie,
Jakżeś piękna w tej czarnej, uroczystej szacie!
Patrząc na cię w milczeniu, cześci i zachwycie —
Zda się całe natury zatrzymywać życie.
Burzo! czemuż tę ciemność ociągasz grobową?
I cóż tą grzmiącą niebios powiadasz mi mową?
Dusza moja wraz z tobą po tem rośnie niebie,
Wznosi się, tętni, szerzy i przelewa w ciebie,
W samem źródle szczytności zatapia się, nurzy,
Otrząsa z pyłu ziemi i wyczyszcza w burzy!

Ale już szumi puszcza, już potok zczerniały
W dzikszym gniewie o twarde roztrąca się skały,
Tłoczy się czarny orkan w straszny las granitów,
Z jakim rykiem o tyle rozdziera się szczytów! —
Huczy, wyje wściekłemi pomiatany wiatry,
Grzmi Krępak zaciemniony, całe ryczą Tatry,
Srożą się wzniosłe gmachy piorunami bite,
Ledwie ogniem oblane już nocą okryte; —
Szum — szelest — błyski — gromy — burza wrząca, wściekła...
I znów cisza grobowa... znów cały war piekła.
Przebóg! cóż to za rozgłos, jaki huk głęboki,
Wszystkie echa zagrzmiały, wszystkie drżą opoki;
Zdaje się że z straszliwym oddarta łoskotem
Cała góra z okropnym zwaliła się grzmotem,
I że jakieś wszechmocne porwawszy ją ramie
Ciska nią po tych gmachach, całe lasy łamie.
Jakaż wrzawa piorunów, jakie gromów bicia!
Po jarach, po przepaściach huki, łoskot, wycia;
Wszystkie góry rykami kłócą się swojemi,
Ziemia niebu a niebo odpowiada ziemi,
I tym szczytnym zamętem tętniąc okrąg cały
Śle Bogu na hymn cześci wielki głos nawały.

F. M.

PIERWSZE W ANGLII WRAŻENIA.

Rok 1832 zamykał się w Europie jednym z tych wojennych dramatów, których długość, koleje i rozwiązanie łatwo naprzód obrachować, kto zwycięży, kto będzie musiał ustąpić, skąd nawiną się trudności, jacy na czas zjawią się rozjemcy, a które dla tego tylko się toczą, aby się stało zadość zobowiązaniom z jednej, a honorowi z drugiej strony.

Na początku grudnia armia francuzka podsunęła się pod Antwerpię. Choć mogła wejść do miasta, gdyż to było w posiadaniu Belgijczyków, którym przybywała na pomoc, wszystka się jednak rozłożyła po za murami. Nawet wódz jej naczelny i przytomni książęta, Orleans i Nemours, stali kwaterą w lichych domkach na przedmieściu.

Ku czemuż był skierowany cały ten ogrom i pompa wojny? Oto mała cytadelka, obejmująca tylko kilka budynków i parę tysięcy Holendrów, nie chciała się poddać, i od kilku miesięcy groziła wciąż miastu bombardowaniem, a nawet groźbę raz czy dwa razy w czyn zamieniła, czego wszędzie widać było znaki po rozbitych lub okopconych domach, osobliwie w zbliżonej do jej murów części miasta, gdzie dom Rubensa stoi. Wielki też był popłoch między mieszkańcami. Okna pozabijano deskami, na dachach stały wory piaskiem napełnione, po kościołach pozdejmowano najszacowniejsze obrazy i ukryto w podziemia. Ale słabe to były środki ochrony, bo dachy prawie wszystkie szpiczaste, ulice ciasne, a cytadela tak blisko, iż z wałów miasta łatwo-by można było z jej garnizonem rozmawiać. Tyle kosztownych zbiorów, tyle bogatych muzeów, tyle pysznych gmachów, owe najcudniejsze zabytki architektury flamandzkiej, jak ratusz i katedra z swoją koronkową wieżycą, wszystko to mogło w oka mgnieniu stać się pastwą płomieni.

Cytadella leży nad samą rzeką. Choć więc oddalona od swoich, miała wciąż dowóz żywności i amunicyi, i ciągłe z Holandyą stosunki. Ale główna jej siła była w nieugiętym charakterze jej komendanta, Jenerała Chassè. Stary ten wojownik, o jednej nodze, kazał sobie zwykle stawiać stołek w pośrodku szczupłego swej warowni placu, i zapaliwszy krótką fajeczkę, siadał tam po całych godzinach spoglądając z uśmiechem na miasto, które w gruzy obrócić mogło jedno jego skinienie. O żadnych warunkach kapitulacyi słyszeć nie chciał. Za lada ruchem w mieście groził nową kanonadą. Spokojnie też statki, niosące mu pomoc, przepływały

codzień rzeką, do której Antwerpia całą jedną stronę dotyka. Wiedział on dobrze, że w końcu będzie się musiał poddać albo zagrzebać w gruzach cytadelli, zwłaszcza gdy Francuzi pójdą do szturmu, ale chodziło o ocalenie honoru, o naprawienie sławy, którą Hollendrzy byli postradali zbyt łatwem ustąpieniem przed szeregami powstańców podczas rewolucyi wrześniowej w Brukselli.

Raz zacząwszy regularne oblężenie, Francuzi szybko posuwali swe przekopy. Los cytadelli był wiadomym,—dzień naznaczony na jej wzięcie. Nikt nie wątpił że zapowiedź spełni się na godzinę. Wielu zatem i wojskowych i cywilnych przybywało z całej Europy jakby na jakie teatralne widowisko. Oficerów polskich znajdowało się kilkunastu. Z tych jedna część była już poprzednio weszła do służby belgijskiej. Obelżyli się, — jak później mawiał Wincenty Tyszkiewicz, gdy mu dano w Belgii naturalizacyą. Było przytem kilku przyłączonych na ten raz do sztabu, jak Władysław Zamojski, Bernard Potocki, i już nie pomnę kto więcej. Inni po cywilnemu przypatrywali się tej scenie. I mnie wzięła chętka regularne oblężenie obaczyć. Przybyłem pod sam koniec. Zwiedzaliśmy często przekopy, bo wstążeczka krzyża polskiego otwierała nam drogę wszędzie. Czasem deszcz padał i trzeba było brnąć w wodzie po kolana nim się doszło do ostatniej równoległej. Nie była ta zabawka zawsze bezpieczną. Niekiedy kula zawarczała nad głowami. Pamiętam jak jeden z naszych jakiegoś ciekawego i natarczywie domagającego się cudzoziemca, by go po przekopach oprowadził, tak zgrabnie wywiódł na kule hollenderskie, że nieszczęśliwy amator przyrzekł sobie iż drugi raz już tak ciekawym nie będzie. Najmniej udziału w tem oblężeniu mieli Belgijczycy. Wyglądali oni jak spłoszone dzieci, za których się starsi biją. Wystawili wprawdzie jakby na igraszkę karykaturę moździerza (mortier monstre), który po kilku wystrzałach pękł, i służył potem tylko za dziwowisko chłopom okolicznym.

Na dzień i godzinę, jak przepowiedziano, cytadella się poddała. Skoro droga kryta została ukończoną i wyłom w murach dokonany, Jenerał Chassè z rozkazu swego rządu kapitulował. Garnizon ze wszystkiemi honorami wsiadł na statki i odpłynął. Publiczność rzuciła się do odwiedzania tak groźnej co dopiero warowni. Cały plac był zryty kulami. Jeden dół zdawał się głębszym od innych. Belgijczycy z dumą mu się przypatrywali, zapewniając iż to kula z ich monstrualnego moździerza tę dziurę wyżłobiła, a tak wszystkich duma i honor zostały zaspokojone, i pomału wszyscy z widowiska się rozjechali.

Jam miał już dość przez ostatnie dwa lata grzmotu kul i wrzawy wojennej, i w kraju i na bruku paryzkim, i oto w tej zabawce pod Antwerpią. Postanowiłem więc dla odmiany udać się tam, gdzie od dwóch blisko wieków pokój tronuje ubezpieczony równie na trwałych i dobroczynnych instytucyach, jak na niezłomnym charakterze narodowym. Wybrałem się przeto do Anglii.

Tak się wydarzyło, żem w Ostendzie wsiadł na parowiec w nocy, która przedzielała rok nowy od starego. Morze było dość spokojne, ale ciemność tak wielka, żem niczego nie widział. Wszyscy poszli spać do

kajuty, jam tylko jeden został na pokładzie. Ta cisza i mrok, to podemną morze, zaledwie lekkiem kołysaniem statku zdradzające się, a przecież tak tajemniczo straszne dla wędrowca po raz pierwszy z niem poznającego się, ta uroczysta doba, w której jeden rok konał a drugi się rodził, wszystko to napełniało mą duszę nieopisanym smętkiem. Zostawiałem za sobą kraj, rodzinę, rodaków, których dotąd wszędzie napotykałem, — rozłączałem się raz pierwszy z drogim mi bratem, którego Bóg w inną prowadził stronę, — gnałem sam jeden, z pamiątkami tylko świeżych nieszczęść, w świat zupełnie mi nieznany, — i jakżeż serce nie miało się ścisnąć najboleśniej, jakżeż mej wyobraźni nie miało się wydawać, że przechodzę gdzieś w świat pozaziemski? Tak byłem odurzony, że gdyby był statek rozstąpił się podemną, nie byłbym się ani zdziwił, ani zatrwożył.

Dopiero też, gdy dnieć zaczęło, ocknąłem się z tego ciężkiego snu na jawie, i zszedłem do kajuty na spoczynek. Nic nie straciłem z pięknych morza widoków, gdyż mgła rozpościerała się tak gęsto, że mię sternik zapewnił, iż nawet wpłynąwszy na Tamizę, brzegów nie ujrzemy. Gdym wyszedł znowu na pokład, byliśmy już na wysokości Gravesendu, a przecież nic jeszcze rozróżnić nie mogłem. Tylko czasem jaki okręt z rozpiętemi żaglami przemknął się koło nas, jakby duch mieszkaniec tej krainy pomroku. Dopiero Woolwich i Greenwich mignęły przez mgłę nakształt wielkich gór wapiennych. W kilka chwil potem stanęliśmy wśród lasu masztów, i powiedziano nam że to Londyn.

Wziął mię pod opiekę jakiś usłużny marynarz, zaprowadził do komory celnej, a następnie do położonej w bliskości taverny. Znalazłem się w dość obszernej sali jadalnej, rzęsisto gazem oświeconej, choć jeszcze ostatki dnia szarego przedzierały się przez szerokie okno. Na żelaznym, kratą obwiedzionym kominku pałały kamienne węgle, miłe i oku i uchu syczącym płomieniem czyniąc powitanie. Skorom wszedł, natychmiast kilku mężczyzn siedzących koło ognia rozsunęło się by dać miejsce krzesłu, które dla mnie służący przysunął. Ledwiem siadł, aliści zjawia się chłopiec, który wprost do mnie bieży, i niepytany nieproszony zdejmuje mi obuwie i ciepłe wkłada pantofle. Zapłoniłem się, ale spojrzawszy na innych nogi, widzę że każdego podróżnego ten sam zaszczyt już spotkał. Przypomniał mi się Wschód, i czekałem rychło wniosą kawę i fajkę, aż tu wnoszą nie turecki lekki traktament ale ogromną ćwierć wołu i na silnym bocznym stole stawiają. Dopiero wtedy spostrzegłem, że sala miała z jednej i z drugiej strony po kilka przegród, w każdej z nich był podłużny stolik i dwie ławki, na których po dwie osoby naprzeciw siebie wygodnie usiąść mogły. Drewniane, świetnie wypolitúrowane ściany, tylko tak wysokie aby siedzący mógł się wygodnie plecami o nie oprzeć, stanowiły przepierzenia tych przegród. Gdy wniesiono ową monstrualną pieczeń zaraz wszyscy mężczyźni odskoczyli od ognia, ale każdy z nich w osobnym usiadł przedziale. To mi pozwoliło od razu zrozumieć znaczenie tych przegród. Anglik przedewszystkiem lubi odosobnienie, wszędzie pragnie znaleźć swoje *at home*, zwłaszcza przy jedzeniu lub piciu. Służący zaprosił mię do jeszcze niezajętej przegrody i w rękę jakiś mi dziennik wsunął. Nader

była stosowną ta ostatnia grzeczność, bom musiał czekać dobry kwadrans, nim sztuka wołu, wędrująca po kolei z przegrody do przegrody, nareszcie do mnie się dostała. Przystawiono mi zarazem dwie jarzyny. Zaledwiem sobie ukroił maluczki kawałek mięsa, już pieczeń powędrowała dalej. Gdy widzę po dość długim przestanku że mi nic nie dają, wołam o coś więcej. Zjawia się znowu na mym stole już mi znajoma sztuka. Z nieśmiałości, jaką każdy czuje przybywając raz pierwszy do obcego kraju, nie protestuję, ale znowu wyłom drobniutki czynię w dobrze już poszarpanej twierdzy. Upływa znowu pół-godziny. Czekam, nic nie przynoszą. Odważam się nareszcie dać znak służącemu, że jeszcze spodziewam się czegoś więcej. Ale, o zgrozo, co widzę? po raz trzeci biegnie do mnie na połyskującej cynowej misie nieszczęśliwa twierdza, już prawie zgruchotana w kawałki. Wstałem rozgniewany i odeszłem do komina. Służący ani zwrócił na to uwagi. Niema rady, trzeba było się zgodzić z przeznaczeniem, i głodem okupić wiadomość, że Anglicy tyłko jedno mięso i jeden sos mają. Nieraz sobie później ten pierwszy zawód w Anglii przypominałem, zwłaszcza gdym poznał podróżującego Włocha, który zwykł był z oburzeniem mawiać, że we Włoszech jest sto sosów a jedna religia, w Anglii zaś jeden sos a sto religii.

W sali zupełna panowała cisza. Pościągano obrusy ze stolików. Każdy gość siedział jednak na miejscu jak przykuty to nad niedokończoną przy obiedzie butelką wina, to nad pękatym kielichem groku. I wszyscy ponuro dumali spoglądając najczęściej na kominek, a żem ja jeden siedział przy ogniu, zdało mi się że wszystkie te błyszczące oczy na mnie spoczywały, i jakby się dopominały bym zgadywał ich myśli. Cóżby też za dziwny obraz można było nakreślić, gdyby się każdego rojenia odgadło. Ten może układał plany na zdobycie kolossalnej fortuny, tamten marzył o świetnem ożenieniu, jeden cieszył się już naprzód tryumfem mowy, którą miał w parlamencie powiedzieć, lub książki która była na ogłoszeniu, drugi radował się przyjęciem żony i dzieci, z któremi może jutro po długiej nieobecności miał się gdzie o kilkadziesiąt mil za Londynem połączyć. Ja tylko jeden pośrodku nich, z ściśniętem sercem i zbolałą duszą, o niczem nie marzyłem, bom się niczego nie spodziewał, nikogo nie wyglądałem i nikt mię nie czekał. Powoli poczęli się po cichutku rozchodzić do swych sypialnych pokojów. Zostały się tylko po nich płaszcze i surduty zawieszone rzędem na ścianie koło drzwi, jakby powłoki śmiertelne tych duchów, które tak cicho przesunęły sie koło mnie i znikły. Wkrótce nadszedł służący, podał mi świecę i zaprowadził gdzieś aż na trzecie piętro do ciasnego pokoiku, nieopalonego, a zajętego prawie przez połowę ogromnem łożem. Rzuciłem się w ten odmęt bielizny i puchu, i wnet zasnąłem. Taki był mój dzień pierwszy w Londynie.

Obudziłem się skoro zajaśniał brzask i poskoczyłem do okna. Okno to górowało nad wszystkiemi okolicznemi dachy. Rozciągał się więc przedemną niezmierzony obszar dziwnie połamanych szczytów, sterczących na rozliczne kształty kominów, gdzieniegdzie nieco wyżej wybiegała w górę gotycka wieżyczka, w jednem miejscu szaro rysowała się na tle horyzontu

jakaś kula na wysokiej kolumnie, a nad tem wszystkiem panował olbrzymi gmach z okazałą kopułą, w których to dwóch ostatnich, mając pamięci przytomne opisy Londynu, poznałem pomnik wzniesiony na pamiątkę strasznego przed dwoma wiekami pożaru, i wspaniały kościół Śgo Pawła. Tu i owdzie przyświecała Tamiza z kilkoma mostami i mnogą rzeszą uwijających się już statków i łódek. Gdyby nie to, myślałbym że leżą przedemną zwaliska jakiegoś miasta, które granic nie miało. Złudzenie w tej mierze wzrastało tem bardziej, że z tylu wież i wieżyczek ani jeden się dzwon nie odzywał. Jakżeż to inaczej o tej godzinie byłoby w kraju katolickim. Żadnego przeto wyobrażenia o Londynie nie mogłem sobie utworzyć z tego podniebnego wizerunku, który mi się wydawał tak zimny i nieprzenikniony jak twarze wczorajszych mych towarzyszów. Ale w tem godzina jakaś bić poczęła, i rozległ się po wszystkich wieżach gwar taki zegarów, że nikt nie zdołałby porachować uderzeń i dowiedzieć się która właściwie była godzina. Gwar wszędzie ustał od razu. Co za porządek, jaka ścisła zgodność zegarów, ani na minutę jeden od drugiego się nie różnił, i stanął przedemną obraz regularności, z jaką puls życia w tem mieście tętnić musi. Ubrałem się co żywo i nie pytając o śniadanie, kazałem się stojącemu u bramy chłopakowi prowadzić na West-end, w której to części Londynu spodziewałem się znaleźć znajomych rodaków.

Biegliśmy spiesznie, bo chłodny był poranek. Ulice ciasne, złożone z szarych i jednostajnych domów, nie przedstawiały żadnej ciekawości. Nieco tylko mię zajęła stara bursa i bank naprzeciw niéj leżący. I nie doznałem silniejszego wrażenia aż dopiero gdy niespodzianie na jednym zakręcie ukazał mi się Kościół Śgo Pawła z kopułą, na którą właśnie padały pierwsze promienie słońca. Trudno sobie wystawić coś bardziej przerażającego ogromem, zwłaszcza gdy się niewidziało Śgo Piotra w Rzymie. Ogrom ten, że tak powiem, tem większą trwogą duszę przejmuje, że go dla nader ścieśnionych przy nim ulic nigdzie z należnej dalekości objąć nie można, ale chcąc mu się przypatrzeć, trzeba stanąć tuż pod jego murami, i głowę na wznak przechylić by dostrzedz wierzchołka kopuły. Pospieszyłem dalej. Ulice już się ożywiać poczynały. Ciągnęły niemi stosy rozmaitych warzyw i żywności, to znów piramidy niezmiernych beczek, poruszane końmi mniejszemi chyba od słoniów, a taki wydawały łoskot jak gdyby najcięższa artylerya szła po bruku. Chodniki były jeszcze puste. Czasem tylko rączy nasz bieg tamowała albo ziewająca kobieta, która płyty kamienne przed swym domem zmywała gąbką na długim osadzoną kiju, albo chłopiec niosący pliki gazet, albo wreście wracający do siebie z sążnistym kosturem stróż nocny, tak zakapturzony że go prędzej za niedźwiedzia jak za człowieka wziąść było można. Przeszła blisko godzina, zanim z City przez bramę oddzielającą tę część stolicy od Westminsteru wynurzyliśmy się. Zaraz szersze spostrzegłem przed sobą ulice. Już téż sklepy otwierać się poczynały. W obszernych jak całe piętro, często z jednego szkła oknach, rozstawiano towary. Nie zajmujący to dla przechodnia widok. Co też więcej mię zastanawiało, to niesłychane mnóstwo napisów, które od samego dołu, po wszystkich piętrach, gdzie tylko

kawałek muru był wolny, rozpościerały się, i aż na dach i kominy wdzierały. Ale jeszcze więcej zdziwiłem się, gdym co kilka domów spostrzegł w oknach sklepowych wielkie arkusze jak prześcieradła, zwiastujące najrozmaitszym drukiem co do wymiaru i koloru, i najrozliczniejszemi zaleceniami, wyprzedaż natychmiastową. Byłoż to rzeczywistem, trafiłżem na ogólne bankructwo kramarzy londyńskich? Ten ogłasza iż się wyprzedaje dla zmiany lokalu, tamten z powodu iż się wspólnika chce pozbyć, jeden kładzie za przyczynę swe owdowienie, drugi wyjazd za granicę lub przenosiny w inną stronę miasta, inny jeszcze pragnie przebudować, rozszerzyć i ozdobić swój magazyn, a zatem musiałby wszystkie towary wyrzucić na ulicę, ale ma nadzieję, iż się zmiłują nad nim panowie i panie, i biorąc je za bezcen uwolnią go od kłopotu. Czytając te ogłoszenia, niechybnie sądziłbyś że każdy z takich sklepów na to tylko otwiera swe podwoje aby zrujnować właściciela a wzbogacić kupujących. Tu jakiś Kurcyusz zaręcza, iż się rzuca w otchłań bankructwa, jedynie przez miłość publiczności, któréj odstępuje wszystko co ma ze stratą 50 na 100. Tam naprzeciwko Spartańczyk, by się niedać w wspaniałomyślności Rzymianinowi wyprzedzić, chce zginąć dla ojczyzny byle tylko dla już opłakujących jego zgon żony i dzieci mógł to uzyskać, że rodacy rozkupią jego artykuły za trzecią część tego, co go kosztowały. Dalej jeszcze, jakiś bławatnik już miał się powiesić na swych wstążkach ale rozmyślił się i swój towar ze stratą 90 na 100 ofiaruje łaskawym członkom stowarzyszenia zawiązanego ku ratowaniu bliźnich od samobójstwa. Gdym przeszedł cały Strand, jużem się nie potrzebował pytać co znaczy angielski *puff* i *humbug*.

Tak idąc coraz szerszemi i piękniejszemi ulicami, które nareście przemieniły się w szeregi samych wspaniałych gmachów i pałaców, dotarłem do placu, czyli jak w Anglii zowią, kwadratu Ŝgo Jakóba, w którego okolicy, wedle danego mi w Belgii adressu, spodziewałem się znaleźć rodaków. Niedługo szukałem. Wnet wskazano mi ulicę i dom, o które się dopytywałem. Ledwiem do drzwi tej kamienicy zapukał, wyszedł odźwierny w postaci młodziutkiéj i uśmiechniętéj dziewczyny, która od razu po mojéj powierzchowności poznawszy kim byłem i po co przyszedłem, zaprowadziła mię na pierwsze piętro i do jakiejś wielkiej sali wpuściła. Tu znalazłem kilku mężczyzn grzejących się koło szerokiego kominka i żwawo rozmawiających. Skoro mię spostrzegli, zaraz wszyscy z radością rzucili się ku mnie. Nieraz porównywano spotkanie się wygnańców do rozbitków odnajdujących się na odludnéj wyspie. Nigdym głębiej nie uczuł prawdziwości tego porównania jak w owej chwili. Miarkując po serdeczności powitań, stojący z boku cudzoziemiec nie mógłby sądzić tylko że każdy z obecnych przyciskał we mnie do piersi brata, którego już miał za niepowrotnie straconego. A przecież ze zgromadzonych tu jeno dwóch znałem osobiście. Gdy wzajemne uściśnienia i wypytywania się skończyły, łatwo spostrzegłem że oprócz przyjemności z przybycia nowego towarzysza, inna jeszcze radość rozpromieniała wszystkie oblicza. Tem mocniej mnie to uderzało, żem mniemał, iż zastanę Ziomków w Anglii jeszcze posępniejszych jak gdzieindziej, bo z smutkiem po-

dwojonym ponurością właściwą wszystkiemu w tym kraju. Zadziwiłem się znajdując inaczéj, alem nie miał czasu dochodzić powodu mej pomyłki, bo zaraz jeden z rodaków zaczął mi opowiadać jak wielkie zewsząd odkrywają się nadzieje dla ojczyzny, — drugi wskazywał mi z dumą na salę, w której byliśmy, uwiadamiając mię że ona była miejscem posiedzeń nowo zawiązanego dla popierania sprawy naszej, a z samych znakomitości angielskich złożonego Towarzystwa, — trzeci wtykał mi w rękę pismo wyłącznie Polsce poświęcone p. t. Polonia, — inny jeszcze wyliczał wielkie imiona magnatów, statystów, autorów, którzy tu się łączyli by wyjednać sprawiedliwość dla nas, — wszyscy prześcigali się z uręczeniami, że czego oręż nasz własny nie dokonał, to teraz niezadługo wyjedna ujęta na naszą stronę i niczem nigdy niezwalczona potęga W. Brytanii. O niewyczerpany zasobie nadziei w duszach polskich! jakże się łatwo ożywiasz, samą nawet wzmagasz klęską, mieniąc każdy upadek zawiązkiem nowych coraz bezpieczniejszych rękojmi zwycięztwa, biorąc każdą choćby najlżejszą oznakę życzliwości cudzoziemców za pewność trwałego, niezłomnego sojuszu! Tak wtedy myślałem na pół smucąc się, pół dziwiąc się tyle razy oszukanej łatwowierności rodaków, alem wkrótce sam uległ tej wspólnej nam wszystkim, nie wiem czy wadzie czy zalecie.

W istocie, Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski rokowało podówczas świetną dla powziętych zamiarów przyszłość. Szczupłe z razu jego grono pomnażało się codzień członkami najwyższej arystokracyi, parlamentu, sądownictwa, osobami przewodniczącemi w literaturze, sztukach pięknych, handlu i przemyśle. Nawet moda mu sprzyjała. Kobiety i eleganci jakąś różaną atmosferę nad niem roztoczyli. Na jego czele, tak odpowiednio przedsięwzięciu, stanął śpiewak Nadziei, Tomasz Campbell. Zbierano się nietylko na ranne narady ale i na wieczorne pogadanki, tak zwane *Conversazione*, w których i damy brały udział. Ogłaszano bardzo znakomicie pod względem i wewnętrznym i zewnętrznym wydawane pismo perjodyczne. Poezye, sztuki dramatyczne, utwory muzyczne, malowidła z przedmiotów polskich górowały nad innemi. Każda gazeta, każdy przegląd czy miesięczny czy kwartalny jak najchętniej przyjmował artykuły o Polsce. Na wzór stołecznego zawięzywały się liczne towarzystwa na prowincyi. Nie było większego miasta w trzech królestwach, któreby nie krzątało się w téj mierze. Bito medale dla połączenia wszystkich jednym węzłem i jedną oznaką. Hull założyło tygodnik pod tytułem: The Hull Polish Record. Zgoła ruch był wielki i w umysłach i w pismach, który miał się jeszcze wzmódz zbliżającem się otwarciem parlamentu, gdyż wiele osób gotowało się do przedstawienia izbom naglących za Polską wniosków.

Tegoż samego wieczora przypadało *Conversazione*. Rodacy przekładali mi iż muszę być na niem koniecznie. Jeden z nich ofiarował się iż znajdzie mi zaraz stancyą w pobliżu, drugi że mię w lot przewiezie z dalekiego krańca City, trzeci że mię zaznajomi z wszystkiemi znakomitszemi członkami Towarzystwa. Jakoż we trzy lub cztery godziny już się wygodnie osiedliłem w skromnym domku i w ciasnym jakimś zaułku, ale niemal w podle tej głównej kwatery Polaków. Tak miałem nabitą głowę tem

wszystkiem co mi nagadano, iż jadąc do City i wracając ztamtąd do nowo obranego mięszkania zdało mi się, iż cały jakby szalony ruch ludzi i pojazdów po ulicach pochodził z zapału dla Polski. W oknach migały mi się same kolory polskie, w przechodzących widziałem samych wielkich ludzi rozmyślajacych o naszej sprawie, w księgarniach wystawione afisze przemawiały do mnie tylko o ojczyźnie, nawet owi kramarze rujnujący się z miłości dla bliźnich wydawali mi się jakby to czynili na rzecz tego olbrzymiego przedsięwzięcia, które zaprzątało wszystkie umysły i serca.

Około 9tej wieczorem zaprowadzono mię na owo zebranie. Salę zastałem prawie pełną. Jakiś Anglik czytał naprzód rozprawę o rozbiorach Polski. Następnie, ktoś inny deklamował poezyą, przerywaną rzęsistemi oklaskami. W końcu skrzypek Maciejowski odegrał kilka melodyi ojczystych. Gdy to przeszło, potworzyły się kółka żwawo rozprawiających o przedmiotach tyczących się celu zgromadzenia. Jedni się spierali o jakieś wypadki historyczne, inni podawali projekta, wszystkich ożywiała jedna myśl i cel jeden.. Dam było kilkanaście. Z tych jedną tylko pamiętam. Była to niska i pękata ale dość jeszcze młoda osoba. Powiedziano mi że to sławna autorka Pani Gore, która się właśnie zajmowała pisaniem powieści polskich. Podobno były w tem zgromadzeniu i Lady Morgan i Panna Porter, autorka słynnego romansu *Tadeusz z Warszawy*, ale te wyszły zanim zacząłem się o przytomne osoby rozpytywać. Najwięcej chodziło mi o poznanie Campbella. Zaprowadzono mię przed niego, gdy już się zebranie przerzedzać poczęło. Rozmawiał właśnie z Niemcewiczem, a że ten znał mię i był zawsze na mnie łaskaw, skwapliwie i uprzejmie przedstawił mię angielskiemu poecie. Wyznaję iż tylekroć już widziana postać Niemcewicza daleko mię więcej zajęła, niż nowa dla mnie a z taką ciekawością upatrywana przezemnie figura Campbella. Smętne a tak miłe oblicze naszego czcigodnego i sędziwego ziomka, okolone białemi ślicznie na ramiona spadającemi włosami, powaga w postawie, skromność w ubiorze, dziwnie odbijały przy bladej choć nabrzmiałej twarzy, kruczej i wysoko wypiętrzonej fryzurze, jasno niebieskim fraku z błyszczącemi guzami, świetnej żółtej kamizelce, elegancko zawiązanej białej krawacie, niespokojnych ruchach i jakby głównie sobą zajętej osoby Campbella. Miałem do niego list polecający. Gdy się o tem dowiedział, prosił mię abym go zaraz nazajutrz rano odwiedził, naznaczając mi dość rychłą na Londyn godzinę.

Całą noc spać nie mogłem, tyle mi się roiło po głowie. Doznane wrażenia w ciągu dnia poprzedniego, równie jak przemyśliwanie o czem wypadnie mi z tak wielkim jak Campbell poetą mówić, kołatały mną nieustannie. Stawiłem się u niego na czas oznaczony. Czekał mię ze śniadaniem. Ale jakżem się zdziwił, gdym go tak rano znalazł już ubranego w tym samym jasno niebieskim fraku, w tej samej żółtawej kamizelce, wymuskanego jakby na bal, z fryzurą kunsztownie w tysiące drobnych loczków ułożoną, w której teraz za dnia łatwo było rozpoznać obcy materjał i sztukę. Zaraz mi wtedy stanęła przed oczy owa scena u Lady Holland, gdy podobnież wystrojonego Campbella przywitał Byron słowami: „Winszuję, widać, że ci nowy mundur przysłał Apollo.“ Lekko dotknięty

Campbell nie omieszkał się wkrótce pomścić, bo gdy przyniesiono jakieś świeżo wynalezione kadzidło, rzekł: „Pokażcie Byronowi, on, przyzwyczajony do kadzideł, pozna się na tem najlepiej.“ Ubiór, zwłaszcza przy pierwszem spotkaniu, zawsze czyni wrażenie i pobudza do domysłów o wewnętrznych usposobieniach człowieka. Byłoby jednak źle i niesłusznie, narażałoby to na częste pomyłki, gdybyśmy czyją wartość osobistą z ubioru przesądzali. Wielu z najznakomitszych ludzi nie było w tym względzie bez próżności, bez dziwnych częstokroć wymysłów. Arystoteles lubił obciążać swe palce mnóstwem błyszczących pierścionków. Cezar z największą ostrożnością dotykał swych włosów, by zręcznie niemi zamaskowanéj łysiny nie odkryć. Petrarka ranił sobie nogi i kulał od ciasnego obuwia. Któż nie słyszał o armeńskim ubiorze Russa lub o szkarłatnym suto złotemi haftami wyszywanym fraku Woltera? A cóż dopiero, gdyby tego rodzaju szczególności poszukiwać między rodakami Campbella. Chatham, jak on, układał sobie najtroskliwiej perukę, zwłaszcza kiedy miał występować z mową w parlamencie. Erskine wdziewał jasne glansowane rękawiczki ilekroć poczynał mowę przed sądem. Raleigh obciążał swe trzewiki drogiemi kamieniami tak że ledwie mógł chodzić. Palmerston przesadzoną wykwitnością ubioru zyskał imie Kupidyna. Peel gdy mówił w izbie zakładał ręce w tył i odsłaniał przednią część surduta tak aby w całéj okazałości sutą i od krochmalu błyszczącą zawsze białą kamizelkę wystawić. Lord Brougham od lat dwudziestu nie nosi innych spodni tylko szkockie szare kraciaste, choć szydzące wciąż zeń karykatury powinny go już były od tego zniechęcić. Samegoż Byrona czyż inaczej sobie wystawiamy jak z wyłożonym gdyby u studenta kołnierzykiem? Można więc łatwo wybaczyć Campbellowi, że wdziawszy za młodości tę, jak zwano, liberyą Apolla, już jéj do śmierci nie porzucił, i czy w złej czy w dobrej doli, czy w świeżym czy w wytartym ale zawsze w jasno-niebieskim fraku chodził.

Miały czas te wszystkie spostrzeżenia i przypomnienia przesuwać mi się przez głowę, bo poeta podawszy mi filiżankę herbaty i obstawiwszy mię rozmaitego gatunku przysmakami, sam się usunął do bocznego stolika wymawiając się iż musi kończyć listy które zaczął. Gdy wszystkie popisał, westchnął głęboko i rzekł: „Nie uwierzysz Pan ile ja mam kłopotów i pracy z tem Towarzystwem, oto codzień muszę kilkadziesiąt listów wysyłać, a jeszcze chcieliby więcej, jeszcze o więcej mię nagli ten wiecznie gderający i płaczliwy Niemcewicz, ta tragedia chodząca.“ Dotknęło mię to wyrażenie lekceważące naszym ukochanym wieszczem. Ochłonąłem też od razu z mych ognistych marzeń i nadziei. Spostrzegłem, żem wczoraj był na galowem przedstawieniu, a tu znajduję się za kulisami i widzę sznury i sprężyny, które całe dzieło w ruch wprawiają. Nie chcąc dalej dochodzić by się zupełnie nie odczarować, starałem się zwrócić rozmowę na literaturę a osobliwie na poezyą. Campbell widocznie tych przedmiotów unikał. Natomiast wypytywał mi się jakiemu zawodowi zamyślam się poświęcić, radził praktyczne zajęcie, polecał mi przedewszystkiem by się strzedz literatury, bo ta chleba nie daje. Mówił rozsądnie ale tak zi-

mno jakby jaki kupiec za swym rachunkowym stołem. Uderzyło mię wtedy jak prawdziwą była uwaga, że zasadą charakteru angielskiego we wszystkich odcieniach jest rzeczywistość i praktyczność. Cechę tę nosi ich poezya nawet w najlotniejszych utworach. Nie przyjmuje za swój żywioł niczego co jest nieujętnem, oderwanem. Niezna zadumy. Szuka wszędzie rzeczywistości, faktu, bezpośrednich wrażeń, mocnych wzruszeń serca i duszy, potężnego wstrząśnienia zmysłów. Poeta angielski kocha naturę ale daleko jeszcze więcéj kocha sielskość. Nie zajmują go obszary przyrodzenia przechodzące w nieskończoność i w bezmiar wieczności. Odrzuca wszelkie mistyczne natury pojęcia. On wszystkiemu musi nadać miejscową siedzibę i nazwisko — a local habitation and a name, jak mówi Szekspir. Dla tego właśnie lubuje i sławi wieś, bo ona przynosi doraźne, pewne, pojętne wszystkim uciechy, roskosze duchowe ale łacno przelewające się w zmysły. Ztąd ten wszędzie przepych dobitnych obrazów, wrażenia silne, przenikające, dreszcze i lubości, zgoła wzruszenia jakie tylko piękna natura wywrzeć może na człowieku potężnie uorganizowanym. Najfantastyczniejsze utwory poezyi angielskiej mają coś ziemsko-rzeczywistego. Wieszczki i elfy Szekspira, to nie istoty nadprzyrodzone, ale raczej niewidzialne, utajone ziemskie stworzenia. W Szekspirze nie znać nigdzie człowieka oderwanego od świata i zmysłów, uduchownionego, transfigurowanego przez nadprzyrodzone światło nauki Chrystusowej, znać tylko moralność chrześciańską. W tem też leży rozwiązanie pytania, dla czego Anglicy w dramatyczności tak daleko inne wyprzedzili narody. Imaginacyą posiadają oni żywą, bogatą, nieprzebraną, ale ona trzyma się zawsze brzegów widzialnego, dotykalnego świata, obrazuje wedle konturów rzeczywistości, oblewając je złotem ale przyjmując wszystkie ich kształty. Poeta uniesiony w obłoki stąpa pewnym krokiem po słonecznych drogach jakby po murze z djamentów. Byron w swych udręczeniach mawiał, że potrzebuje skały by roztrzaskać swą duszę na niej. To skupienie, ta stanowczość, wyrazistość, wydatność, sprawiają że dzieła pisane dla królów i książąt poruszają zarówno dusze i wpijają się w pamięć motłochu. Poezya w Anglii ma zawsze oznaczony cel, szuka bezpośredniego wpływu, stara się o pożytek. Jest ona jakoby rozsądek w natchnieniu, rzeczywistość unadobniona barwami imaginacyi, praktyczność wpajana melodją i wzruszeniem na podobieństwo systematu, według którego dzieci uczą się jeografii i rachunków śpiewając.

Takie to myśli, może nie całkiem sprawiedliwe, a przynajmniej za nadto uogólniające, jak gdyby rozlicznych wyjątków nie było, zaprzątały mię gdym wracał od Campbella. Znałem już nieźle literaturę angielską, zanim do Anglii przybyłem. Uwielbienie zwłaszcza dla jej wieszczów obudziło we mnie pierwszy i nieprzeparty pociąg ku całemu narodowi. Wystawiałem więc sobie że w Campbellu znajdę zbiorowy głos i wielkość tego wszystkiego, com tak podziwiał, że wynurzając mu cześć moją złożę hołd całej umysłowej ulubionego kraju potędze, i że nawzajem od niego usłyszę tajemnicę tej potęgi, odbiorę jakoby poświęcenie na obywatelstwo w dziedzinie literackiej jego ojczyzny. Nie jego więc wina, że nie dotrzymał miary, którą

mu zbyt moja wygórowana fantazya wystawiła, Rady jege później okazały mi się bardzo pożyteczne. Wiele mi zawsze prawdziwej życzliwości okazywał. Często utrudził się by mym życzeniom zadość uczynić. Nigdy jednak nie dostrzegłem w nim nic takiego, coby memu wyobrażeniu o nim, jako o poecie, odpowiadało. Wprawdzie, nic on już pono wtedy nie pisał uważając swój zawód za zamknięty. A przecież był to wieszcz znakomity. Jego narodowe pieśni są na ustach każdego niemal Anglika. Najostrzejsi krytycy uważają jego *Roskosze Nadziei* za pierwszorzędny poemat. Imie jego stoi zaraz obok Byrona, Walterskota, Wordswortha, Moora, Coleridga. A my, ileż to winniśmy mu wdzięczności. On pierwszy wzruszył w Anglikach uczucie dla Polski owym wspaniałym ustępem w *Roskoszach Nadziei*, który się kończy znanym każdemu Anglikowi dwuwierszem:

Nadzieja światu przestała być wróżką,
I wolność jękła, kiedy legł Kościuszko.

On przez pół blisko wieku wytrwał w nieugiętem przywiązaniu do naszego kraju. Podnosił naszą sprawę gdzie tylko mógł, głosił chwałę Polski i wierszem i prozą, dodawał otuchy w najtrudniejszych czasach, a przez zawiązanie Towarzystwa Przyjaciół Polski ustalił pierwszy związek między dwoma narodami, zebrał w jedno ognisko prace i usiłowania Anglików i w jeden organ wołające o sprawiedliwość głosy Polaków.

Z innych członków tegoż Towarzystwa nie poznałem bliżej żadnego. Jeszcze wtedy Lord Dudley Stuart, będąc bardzo młodym, nie brał w jego czynnościach tego udziału, którym później zjednał sobie europejskie imie. Raz tylko widziałem p. Cutlar Fergusson, wsławionego mowami w izbie niższej, dopominającemi się dotrzymania zaręczeń traktatami objętych względem Polski. Nikt lepiej nie znał jej ostatnich dziejów, nikt z angielskiego, to jest prawniczego stanowiska, potężniej jej nie bronił. Nabawiał on ministrów niemałego kłopotu. Raz, tak wymownym głosem poruszył izbę, a jasnym wywodem tak ją przekonał, że tylko kilku głosów, przeciągniętych przez rząd na przeciwną stronę najusilniejszemi staraniami, brakło przy wotowaniu do przeprowadzenia wniosku, który, raz przyjęty, musiałby był natychmiast znaglić ministrów do wypowiedzenia wojny cesarzowi rossyjskiemu. Ciekawy byłem poznać Fergussona. Jeden z Anglików, któremu byłem polecony, zaprowadził mię do niego. Kilka tylko minut bawiliśmy u niego, bośmy go znaleźli na wyjezdnem. Ta chwilka jednak pozwoliła mi przynajmniej dobrze się jego powierzchowności przypatrzyć. Wzrost bardzo wysoki, silna budowa, rysy twarzy wyraziste, podniosłe czoło, oko jedno szeroko i śmiało rozwarte, drugie przymrużone i nieco niższe, dobre dawały wyobrażenie przenikliwego, przedsiebiorczego Szkota, zręcznego adwokata, i wytrawnego a wymownego polityka. Ciekawe są niektóre z jego życia szczegóły. Fergusson należał do bardzo dawnej, szlacheckiej, choć żadnym tytułem nieuświetnionej rodziny szkockiej. Przy wstępie w świat roztrwonił do reszty zadłużony już przez ojca majątek. Musiał więc sprzedać rodzinną siedzibę, ale właśnie ta klęska rozbudziła w nim nadzwyczajną siłę charakteru. Wziął się do prawnictwa, a skończywszy naukę udał się do Indyi Wschodnich. Tam wnet jako adwokat

zyskał sobie powszechną wziętość. Mięszkańcy tamtejsi lubią niezmiernie pieniactwo i hojnie płacą adwokatom. Fergusson zebrawszy znaczną fortunę, wrócił do Anglii, odkupił swą włość rodzinną i zamek za summę kilkakroć wyższą niż w młodości wziął od nabywcy, i wszedł do parlamentu. Tu jego wymowa, biegłość w prawie i znajomość stosnnków między-narodowych zdobyły mu szybko wysokie położenie. Lord Grey starał się go pozyskać i zrobić członkiem swego ministerium. Sprawa Polski nie pozwoliła Fergussonowi przyjąć miejsca w rządzie, przeciw któremu musiał w tym przedmiocie powstawać. Gdy jednak ta kwestya przytłumioną została, Fergusson przyjął udział w rządach Lorda Melbourne, jako Lord Advocate, czyli minister sprawiedliwości dla Szkocyi. Obok wielu przymiotów, miał przywarę wspólną wielu znakomitym Anglikom, lubił po pracy biesiadę i wino. Szczycił się nawet że go nikt nie przepije. Chluba ta była tradycjonalną w jego rodzinie. Na tej to tradycyi zbudował Burns swoją balladę *Świstawka*, którą tak w przypisku objaśnia: „W orszaku „Anny, królewny duńskiej, poślubionej Jakóbowi VI, przybył do Szkocyi „jeden szłachcic duński olbrzymiej postawy, słynny z męztwa i szczególnej czci dla Bachusa. Nosił on zawsze przy sobie małą z hebanu świ-„stawkę, którą na ucztach kładł na stole, a ktokolwiek z wychylających „kielichy biesiadników zdołał-by w nią zadąć ostatni, ten ją miał otrzy-„mać jako znak zwycięztwa w pijaństwie. Duńczyk przywiózł zarazem „z sobą świadectwa, że nigdy dotąd nie był jeszcze pokonanym, chociaż „staczał bachusowe boje w Kopenhadze, Sztokolmie, Moskwie, Warsza-„wie, i we wszystkich stolicach niemieckich. Śmiało więc Szkotów wy-„zywał do walki żądając żeby się z nim zmierzyli albo uznali swą niższość. „Próbowało się z nim wielu. Wszystkich z nóg zawsze zbijał. Aż na-„reście spotkał się z Sir Robertem Lawrie. Pili trzy dni i trzy noce. Na „ostatku Duńczyk pod stół upadł, a Szkot mu świstawką zagrzmiał *re-„quiem* żałośne. Syn jego, Sir Walter Lawrie, przegrał później świstawkę „do swego szwagra Waltera Riddel. W piątek 16go października 1790, „potomkowie tej rodziny zasiedli w Friars-Carse do stołu, by się zmie-„rzyć i okazać który z nich był najgodniejszym świstawki. Było ich trzech: „Sir Robert Lawrie, pochodzący w prostej linii od pierwszego Sir Roberta, „który Duńczyka zwyciężył, — Robert Riddel z Glenriddel, któremu w spadku „dostała się świstawka, niezwyciężenie przechowywana od dalekiego przodka, — „a nakoniec Aleksander Fergusson z Craigdarroch, również po kądzieli wy-„wodzący się od pogromcy Duńczyka. Po ciężkiej walce ten ostatni zwy-„ciężył i świstawkę zdobył.“ Syn jego, nasz Cutlar Fergusson, często tę anekdotkę powtarzał, bliższym znajomym pokazywał odziedziczoną świstawkę, a przy Polakach dodawał, że Duńczyk zmijał się z prawdą, bo w Polsce musiał być nieraz pokonanym. Jeden z ziomków, sprawiedliwie mniemając iż ballada Burnsa, aczkolwiek małej poetycznej wartości, zasługuje na przekład z powodu iż się tyczy rodziny przyjaciela naszego kraju, zadał sobie pracę i tak ją wytłómaczył:

ŚWISTAWKA.

Opiewam świstawkę, co tony ma lube,
Przesławną północy i zdobycz i chlubę;
Na dwór nasz ją przyniósł bohater daleki,
A góry nią nasze brzmieć będą na wieki.
Bóg Kuflów z swych grodów starego szle Lodę*),
Co ramie Fingala na sobie czuł młode:
„Świstawką tą Szkotom na walkę brzmij wściekłą,
„I więcej nie wracaj, lub zapij ich w piekło.“
Śpiewali Bardowie, kroniki pisały:
Kto walczył, kto poległ. Gdy Loda zdał pracę
Na syna, ten również zajrzącym mu chwały
Brzmiał ostrą świstawką: Requiescant in pace.
Sir Robert, pan sławny na Kernie i Skorze,
Najpierwszy do kufla, najpierwszy do stali,
Półbożka tak zapił głęboko jak morze,
Bo lepiej i Baltyk nie łyka swych fali.
Tak Robert zwycięzca łup odniósł bogaty,
Ten długie brzmiał wieki wśród jego komnaty;
Aż znowu trzech wodzów z krwi jego powstało,
A każdy świstawkę chciał posiąść zuchwało —
Trzech zuchów, hulaków, każdego pierś czysta:
Craigdarroch wsławiony dowcipem jurysta,
Glenriddel co zna się na starych pieniążkach,
I Robert co czytał w piwnicach jak w książkach.
Craigdarroch słodziutkim językiem poczyna,
Ażeby Glenriddel oddał ją bez sporu,
Lub klan swój powołał, i beczka niech wina
Rozstrzygnie raz jeszcze kto godzien honoru.
Glenridell odrzecze: „Na starych półbogów,
„Nim sławy to znamie z mej ręki dam komu,
„Wprzód ducha Rormora **) do mego wklnę domu
„I jego dwadzieścia wychylę z nim rogów.“
Sir Robert, jak żołnierz, od słów nie poczyna,
Lecz nigdy nie umknął od wrogów ni braci, —
Więc rzecze, że łupu bez walki nie straci,
Zwycięży lub zabrnie po uszy wśród wina.
Do dworu Glenriddel rycerze szli społem,
Co topi kłopoty w swych piwnic otchłani,
Do dworu słynnego tak winem i stołem,
Jak gustem, słodyczą, dowcipem swej pani.
I Barda wybrali na świadka rozprawy,
By wiekom przekazał ten pełny dzień sławy,

---

*) Patrz Ossiana *Caricthura*.
**) Patrz Johnsona *Podróż do Hebrydów*.

Śpiewaka co wszelką pogardzał tęsknicą,
I pragnął by Parnas był tylko winnicą.
Gdy obiad zebrano, — wino się czerwieni, —
Co korek wyskoczy, to radość wytryska;
A węzeł przyjaźni, którym są złączeni,
Im bardziej go wilżą — tem silniej ich ściska.
Tak roskosz z pełnego płynęła kielicha,
Weselszych nie widział Feb jasną źrenicą,
Chciał zostać, — aż Cynthia szepnęła mu z cicha,
Że jutro ich ujrzy nad pełną szklennicą.
Sześć butlów na głowę noc pili tak całą,
Aż dzielny Sir Robert by skończyć bój z chwałą
Wychyla od razu butelkę i powie:
„Na honor tak nasi kończyli przodkowie!"
Glenriddel poczciwy, rozstropny, ostrożny, —
Gdy słyszy te słowa, spór rzuca bezbożny:
„Mnie w winie się tarzać — co rządzę w kościele,
„Niech chłoną grzech z winem mniej święte gardziele!"
Sir Robert z niezlękłem do końca stał czołem,
Lecz gdzież są na konwie i losy oręże?
A los rzekł: z dniem białym bohater polęże.
Więc słońce nad dachem — Sir Robert pod stołem.
Tu Bard się jak prorok pijany podnosi:
„Craigdarroch! Świat padnie, a z nóg cię nie zwali;
„Lecz chcesz-li zasłynąć od osi do osi,
„Pójdź — jeszcze butelkę — pij w szczytność — i dalej!
„Twój z Brucem ród walczył za wolność tej ziemi,
„I w nim się na zawsze heroizm rozplemi,
„Mnie bluszczu gałązka — a laur dla ciebie,
„Plac boju przy tobie, jak Bóg dnia na niebie."

Opisana scena w tej balladzie nieraz w ciągu następnych dni kilkunastu stawała mi przed oczy, lubo w znacznie łagodniejszych kolorach. Przez te bowiem trzy tygodnie mego pobytu w Londynie byłem prawie codzień albo na zabawie wieczornej, albo na objedzie w jakim zamożniejszym domu angielskim. Miałem kilka listów polecających, a oddanie każdego pociągało za sobą w parę dni niechybnie zaprosiny na objad. Z zabranych znajomości przy podobnych objadach wywijały się nowe zaprosiny, tak że zdało mi się iż dobrze polecony cudzoziemiec niepotrzebuje w Londynie troszczyć się o chleb powszedni. Wnet się jednak przekonałem, iż uboczne wydatki połączone z takim rodzajem życia są znaczniejsze nad koszt najprzyzwoitszego żywienia się z własnej kieszeni. Alem nie żałował ni trudu ni wydatku, bo jeźli który naród, to niezawodnie Anglików najlepiej przy zabawie i na biesiadach poznać można. Dziwnych też zwyczajów, reguł towarzyskich, etykiety, napatrzyłem się do woli. Możnaby o tem wiele arkuszy napisać. Same szczególności kuchni angielskiej dostarczyłyby zabawnego wątku. Wszystko to po krótce w osobnym skre-

ślę rozdziale. Tu tylko nadmienię, że po każdym objedzie, gdy damy wyszły, musiałem z mężczyznami siedzieć trzy lub cztery godziny przy wciąż krążących butelkach i bezustannie napełniającym się kieliszku, a lubo scen takich jak opisana w powyższej balladzie nie widziałem, łatwom dostrzegł że jeszcze dziś w Anglii ów Duńczyk trudną miałby sprawę by się przy swej świstawce utrzymać. Ale obok rażących oryginalności i śmieszności pozornych, ileż to gruntownych zalet w Anglikach przy tej sposobności odkryć mi się zdarzylo. Co naprzód najsilniej uderza, to prawda, prostota, szczeromówność, które ich we wszystkich stanach, w każdej dobie i sprawie życia odznaczają. Przymioty te przechodzą często w dziwactwo, szorstkość a nawet grubijaństwo, ale niemniej przeto znamionują wysoką godność charakteru. Anglik nigdy nie kłamie i kłamać nie umie. Ta też cecha może najdobitniej go wyróżnia z pomiędzy wszystkich innych narodów. Grek zmyśla z chytrości, przez podstęp, dla zysku, — Włoch naiwnie jak dziecko, które schwytane na uczynku nie wypiera się, bo nierozumie aby w tem co złego być miało, — Francuz przez zbytek ugrzecznienia, pochlebstwo, dla ubarwienia swej rozmowy, — Moskal z przymusu, z bojaźni przed wyższym, z pyszalstwa przed podwładnymi, — Polak, bez żadnego powodu, z pustoty, jedynie dla fantazyi. U Anglika nietylko *in vino veritas*, ale w każdym stanie humoru, — równie *affirmatio falsi* jak *suppressio veri* wstręt i zgrozę w nim obudza. Woli być niegrzecznym, obrazić i dotknąć boleśnie, niźli prawdę zamilczeć. Jego mowa nie jest jak owa róższczka, która w ręku Graciozy raz się stawała wiązką puchu, to znów ostrym biczem. Jest ona twardym i dojmującym do żywego kańczukiem. Przyznaje on się bez wstydu do samolubstwa, do srogości, czasem usprawiedliwia swe grzechy, ale nigdy ich nie zaprzecza, owszem w całej je nagości wystawia. Nigdzie też tyle złego o Anglii nasłuchać się nie można co w samejże Anglii. Z jakążto surowością najmniejsze wady narodowe wytykane i smagane bywają codzień w parlamencie, na publicznych zebraniach, w dziennikach. W ostatniej wojnie Anglicy pierwsi przyznawali się do niższości, nie osłaniając żadnej przegranej, wystawiając na jaw każdy błąd, głosząc przed światem na wyścigi każde uchybienie. Ta to nieograniczona jawność jest po większej części przyczyną tylu przesadzonych na złą stronę wyobrażeń o Anglii. Sądząc bowiem po innych krajach, które starannie ukrywają lub zmniejszają swe ułomności, cudzoziemiec nieznający charakteru angielskiego mniema iż w Anglii daleko gorzej jeszcze być musi niż do czego się sami jej synowie przyznają. Tymczasem tam jest niezawodnie lepiej. I tak, powszechnem jest wyobrażeniem iż stosunkowo więcej tam zdarza się zbrodni jak w innych krajach. Wcale przeciwnie, — tylko że naprzód zbrodnia nie tak się łatwo jak gdzieindziej ukrywa, a następnie że pisma publiczne tak obszernie szczegóły każdej wyłuszczają i dla wrażenia tak dramatycznie ją przedstawiają, że prawie niema takiej o którejby natychmiast cała Europa nie wiedziała. Anglicy tajemnicy ani zachować ani ścierpieć nie umieją. Żaden z nich do spisku się nie zda. Towarzystw sekretnych nigdy u nich nie było. Zgoła, szczerość i prawdomówność są główną zasadą ich charakteru. Ztąd pochodzi su-

mienność i rzetelność we wszystkich stosunkach. Anglik nie znosi próżnych oświadczeń. Rzadko kiedy przyrzeka, ale gdy raz przyrzekł, święcie słowa dotrzymuje, częstokroć więcej dokonywając niż przyobiecał. Z razu najzwyklej odmawia, twardo i sucho, jak gdyby odmowa nic go nie kosztowała. Nigdy nic nie postanawia bez namysłu. Nagłych uniesień, popędów serca nie zna, a gdy mu one się przytrafią, raczej wstyd niż dumę w nim obudzają. Do każdej sprawy przybiera się powoli, lecz gdy raz ją w rękę weźmie, już ją energicznie, wytrwale i z dziwną loiką prowadzi do końca. Handel i przemysł wzrosły w Anglii do daleko wyższego stopnia niż w którymkolwiek innym kraju, a dla czego? bo ich podstawą jest rzetelność, a główną sprężyną energia. Anglik nie łudzi się urojeniami, nie cierpi teoryi, unika myśli oderwanych, idzie zawsze wprost do faktu, ceni nad wszystko praktyczność, nie obejmuje tylko rzeczywistość, a czemu? bo ta jest najprostszem wyrażeniem i kształtem prawdy. I tak wszędzie u niego się spotyka tę samą pobudkę, ten sam pociąg ku prawdzie, a wstręt do fałszu i pozorów. Porównywając Anglików do Francuzów, nie przeczę iż ci ostatni, zbiorowo, jako naród, wywierają zbawienniejszy, a przynajmniej bliższy i potężniejszy wpływ na losy ludzkości i że Opatrzność wyższe im przeznaczyła dostojeństwo w rzędzie narodów, ale Anglik zosobna, jako indywiduum, daleko doskonalszym jest jak Francuz. Wolałbym Francuza za sprzymierzeńca mego narodu, ale na osobistego przyjaciela wybrałbym zawsze Anglika. Różnicę, przeciwieństwo między dwoma, pochodzącą jeźli nie wyłącznie to głównie z odmiennych względów dla prawdy i rzeczywistości, łatwo dostrzedz można w najdrobniejszych życia szczegółach. Anglik ubiera się nie dla blasku, ale dla wygody. Nie ciało dla stroju, ale strój według ciała kształtuje. Wad nie ukrywa tylko o tyle ile przyzwoitość wymaga. Brzydzi się wszelkiem pachnidłem, kosmetykami, farbowaniem. Gdy mu wiosna życia przejdzie, nie stara się aby młodo wyglądał. Nosi z godnością i prostotą wszystkie oznaki swego wieku, Nigdzie tak mało peruk nie widać jak w Anglii. Uderzyły mię powierzchowność i peruka Campbella dla tego właśnie, że były rzadkim wyjątkiem. Raz Francuz jeden skarżył mi się na Anglików że wprowadzili w modę łysiny. Tylko we Francyi prostota i otwartość potrzebują mody, by chwilami odzyskać swą władzę. Anglik nie wstydzi się chodzić w wytartej sukni byle miał codzień czystą, a jeźli zamożniejszy jak najcieńszą bieliznę. Angielki nie pokrywają bogatemi materjami i haftami kopy brudów pod spodem. Wykwintność zależy u nich na czystości. Anglik buduje sobie dom dla comfortu, nie dbając o żadne reguły architektoniczne. Lubi przepych, jeźli ma niepodległość i bogactwo, ale i w tym przepychu odrzuca wszystko, co jest świecidłem, ułudą, blichtrem. On to posiada najwyższą elegancią, bo czemże jest elegancia, jeźli nie prostotą w zbytku. Jego kuchnia, — żeby powrócić do przedmiotu i punktu, skąd ten ustęp począłem, — jest razem najkosztowniejszą i najprostszą w świecie. W Anglii wyglądają potrawy na to czem właściwie są. Największa tam sztuka na tem zależy aby ich pierwiastkowi zachować jak najwięcej z przyrodzonych własności, smaku i kształtu. Francuz przeciwnie, wysila się na to,

aby wszystko przetworzyć, żeby oko nigdy, a podniebienie jak najrzadziej poznało z czego się jaka potrawa składa. Francuz i z lichych materjałów coś pozornego stworzy, Anglik tylko najlepsze i najdroższe wybiera, i dla tego ich nie barwi, i niczego nie ukrywa.

Wśród tych zabaw w domach angielskich byłem raz jeszcze na wieczornem zebraniu w Towarzystwie Przyjaciół Polski. Osób na niem znajdowało się jeszcze więcej niż poprzedniego razu. Niewiem który z rodaków zaczął mówić o wziętości, jaką w Polsce mają utwory Niemcewicza. Na dowód tego oświadczył, że niema Polaka, któryby kilkuset wierszy jego nie umiał przytoczyć, i na próbę ofiarował się wyrecytować którykolwiek ze śpiewów historycznych, skoro mu tytuł wskazanym przez przytomnego Niemcewicza zostanie. Podobała się ta myśl kilku Anglikom, poszli do starego wieszcza z prośbami, ten się opierał, ale wreście powszechnemu ulegając życzeniu, wymienił jeden z swych śpiewów. Zaraz go wydeklamował rodak, który pierwszy zrobił powyższe oświadczenie. Za nim przedstawił się drugi, potem trzeci i czwarty, i tak po kolei każdy z obecnych ziomków przynajmniej kilkadziesiąt wierszy wypowiedział. Jednego, pana L. S., ani podobna było wstrzymać. Lały się z ust jego wiersze krociami jak gdyby całe życie uczył się był poezyi Niemcewicza na pamięć. Płakał czcigodny starzec z radości, a Anglicy przyklaskiwali chociaż żaden z nich słowa nie rozumiał.

Rankami zwiedzałem ciekawości Londynu. Wszędzie taki ogrom i bogactwo, że po kilku dniach więcej znużenia niż przyjemności doznawałem. Rad więc byłem gdy przyszła niedziela. Wiadomo iż w niedzielę wszystko w Anglii pozamykane. Niema żadnej pracy, żadnego zajęcia, żadnej zabawy, chyba jedna przechadzka. Przed południem widać nawet mało pojazdów, chociaż ruch jest znaczny przed godziną 10tą, bo wszyscy spieszą na nabożeństwo. Najbogatsze panie idą do kościołów piechoto aby służących nie zatrudniać. Poszedłem i ja do najbliższego. Słyszałem kazanie, które tam miał jeden ze sławniejszych kaznodziei, ale mi się jego rodzaj wymowy niezmiernie nie podobał. Jakiś przymus, suchość i ckliwa deklamacya obok teatralnego zapału, czyniły najprzykrzejsze wrażenie. Gdy prawie wszyscy już wyszli, zostałem jeszcze chwilkę, by się przypatrzyć miejscu zebrania. Nic smutniejszego wystawić sobie nie można. Prócz skromnej ambony, jakby profesorskiej katedry, prócz kilku marmurowych tablic, zmarłym poświęconych, nic nie oznaczało że to kościół. Cała przestrzeń u dołu i u góry, na parterze i po galeryach, zajęta rzędami pozamykanych ławek. Zdało mi się, że jestem w szkole, z której wyszli studenci. Rzecz dziwna, jak Anglicy tak we wszystkiem loiczni, w tym jednym przedmiocie dopuszczają się rażących sprzeczności. Kościoły ich są zwykle pokryte zewnątrz jak najstaranniej pielęgnowanym bluszczem, ale uważaliby za ciężkie wykroczenie, gdyby kto wewnętrzne ściany kwieciem lub zielonością przystroił. Pozwalają niekiedy na malowane szkło w oknach, ale te same przedmioty wyobrażone na płótnie lub odrysowane na ścianie wydałyby się im bezbożnością lub wkroczeniem bałwochwalstwa do świątyń. Na stołach, które zajmują miejsce ołtarzy,

czasami stoją dwie świece, ale ich pod żadnym warunkiem zapalać nie wolno. To wykluczenie z świątyń wszelkiej ozdoby, wszelkiego hołdu sztuki na chwałę Bożą, tem dziwniejszém mi się wydało, żem wszędzie widział salony a osobliwie pokoje jadalne tłumnie i bogato okryte obrazami świętemi, pierwszych częstokroć mistrzów. Nawet w sieniach zdarzało mi się oglądać posągi i płaskorzeźby z przedmiotów religijnych. Jakże ten Chrystus upadający pod krzyżem, lub ta pokutujaca Magdalena, lub ten Ś. Hieronim przyjmujący ostatnię komunią, jaśniejsze i pełniejsze błogiego wpływu roztaczałby światło w przybytku modlitwy, nad zgromadzeniem nabożnych, niż w komnatach zabawy i roskoszy, nad stołem biesiadujących lub nad kręgami taneczników! Ale, według przysłowia angielskiego, najwaleczniejsi mają swe trwogi, najmędrsi swe głupstwa.

Na kilka dni przed moim wyjazdem, zapytał mię jeden z Anglików, który mię często po Londynie oprowadzał, co-bym jeszcze najwięcéj pragnął widzieć? Odpowiedziałem: To, co najlepiéj przedstawia potęgę materyalną, a następnie to co najgodniej reprezentuje potęgę umysłową Anglii, a zatem, jaką wielką machinę parową, i jaką na scenie sztukę Szekspira.

Mój przyjaciel zaprowadził mię zaraz do jednej z najogromniejszych rękodzielni londyńskich. Składała się ona z czterech piętr, każde zaś piętro było jednym warsztatem a raczej ciągiem warsztatów rozpościerających się przynajmniej na 20 prętów wzdłuż, a na 10 w szerż. Wszędzie tysiące kół i kółek warczących, drągów wirujących, rzemiennych pasów, które obiegały wszystkie piętra jakby drgające żyły tej olbrzymiej budowy. Wrzawa i huk taki, iż ani wzburzone morze, ani rozkiełznane wichry przeraźliwszego nie wydają. Zdało mi się jak gdyby mię kto uwięził w samym środku jakiegoś potwornego zegaru. Ludzie, mężczyzni i kobiety, a nawet dzieci, albo pracowali na swych miejscach, albo snuli się po ciasnych przesmykach, nigdy sobie nie zawadzając i nie mówiąc do siebie chyba na migi. Machina, która wszystko w ruch ten wprawiała, zajmowała osobną część gmachu. Gdym wszedł do jej przybytku, urządzonego z taką jak salon wykwintnością, bo posadzka była wyfroterowaną, a olbrzym metalowy jaśniał olśniewającym oczy blaskiem, przejęło mię trwożne uszanowanie jak gdybym stawał przed najpotężniejszym mocarzem świata. Obojętny dla rzeczy mechanicznych, jako zwykle wyjąwszy ludzi fachowych są Polacy, nie znałem dotąd ani składu machiny parowej, ani prostych zasad, które stanowią jej siłę. Znajomość tę, lubom już na statkach i gdzieindzéj wiele takich machin widział, odkładałem zawsze do czasu, gdy się znajdę w kraju, któremu świat zawdzięcza ten wielki wynalazek. Wydawało mi się, iż byłoby ubliżeniem dla téj potęgi gdybym jej tajemnice starał się zbadać nie tam, gdzie się poczęła, wzrosła i gdzie króluje. Niepomału się też zdziwiłem gdy w kilka minut mój przewodnik tak mi całą tajemnicę jasno wyłożył, że brakło tylko bym mniemał, iż gdybym był się mechanice oddawał, to niezawodnie byłbym sam na myśl Watta natrafił. Ale bo wszystkie wielkie pomysły są zarazem bardzo prostemi. Wydają się następcom tylko trafem szczęśliwym. Każdy się

dziwi iż pierwszy nie wpadł na nie. Ztąd tyle narodów, i tyle ludzi przypisywało sobie odkrycie dobroczynnych pary własności. Mniejsza o to. Chwała nie temu, co odkrył i bezpłodnie zostawił, ale temu, co zastosował i do tak ogromnych następstw doprowadził. Zaiste, umysł zaledwie zdolny jest objąć całą wspaniałość i rozliczność skutków tego wynalazku. Za pomocą machiny parowéj nie tylko największa siła zdobytą została, ale zarazem łatwość, dokładność, nieomylność w najsubtelniejszych mechaniki zadaniach. W porównaniu z nią niczem jest trąba, którą słoń podnosi szpilkę, a gdy zechce, dąb odwieczny druzgocze. Ona raz rytuje najdelikatniejsze wzory, to znów kruszy piramidy metalu, — ciągnie bezpiecznie nitki tak cienkie jak pajęczyna a obok tego niby cacka podnosi trzypiętrowe okręty w powietrze, — haftuje na najwątlejszych tkankach i razem kuje potworne kotwice i wbija kolossalne słupy w ruchome dno morza, — stal roztłacza na delikatniejsze od wstęg niewieścich pasy i popycha obładowane okręty przeciw wściekłości wichrów i wałów. I dla tej to właśnie siły, potwornej, strasznej, przerażającej, ale tak ujętej w najcudniejszy ład i harmonią, iż tylko błogie skutki wydawać może, uważam machinę parową za najdoskonalszą wyobrazicielkę materialnéj, a przez przenośnię duchowéj nawet potęgi narodu angielskiego.

Przez parę miesięcy po Bożem Narodzeniu teatra angielskie wystawiają same tylko arlekinady. W pantominach tych roskoszują i starsi i dzieci. Jest to jedyna pora, w której rodzice swe dziatki do teatru prowadzą. Większa też połowa widzów w tym czasie składa się z młodocianej rzeszy, którą równie zabawiają ciągłe i czarowne zmiany sceniczne jak skoki i figle Arlekina, Pantalona i Pajaca. Możnaby powiedzieć że wtedy i starzy dziećmi się stają. Radość i śmiech rozjaśnia wszystkie twarze. Najlichsze koncepta wywołują oklask powszechny. Nieustanne przytyki do wypadków bieżących, przeglądy zdarzeń upłynionego roku, satyry polityczne, karykatury, wszystko to tak szybko i w takiem zamięszaniu przesuwa się, że myśl niema czasu zastanowić się i poznać na lichocie tych przedstawień. Wówczas najsłynniejsze dzieła wykluczone bywają ze sceny. Nie mogłem się przeto doczekać żadnej sztuki Szekspira. Aż nareście w sam przeddzień mego wyjazdu z wielką radością ujrzałem na afiszu jednego z głównych teatrów zapowiedzianą komedyą: *Dwaj młodzieńcy z Werony*. Jest to jedna z najwcześniej napisanych i pomniejszych sztuk Szekspira. Znać na niej wyraźną cechę i młodego wieku i nierozwiniętego jeszcze talentu, ale tu i owdzie ożywcze wiosenne błyski zapowiadają obfite w przyszłości żniwo. Przedmiotem jéj jest miłość, miłość młodzieńcza, pełna pustoty i zalotności, snująca barwny swój wątek z tysiąca zabawnych igraszek, nadzwyczajnych zmian i wesołych przygód, zgoła, taka, jaką sam poeta kilkoma wierszami skreślił, gdy porównywając ją do potoku mówi w końcowej scenie aktu 2go:

Potok, co bieży z uroczym szelestem,
Jeźli wstrzymany — szaleje bez granic;
Lecz kiedy w biegu nic mu nie przeszkadza,
Po emaljowych lubo gra kamykach,

Witając każdy kwiatek, napotkany
W swych wód pielgrzymce, wdzięcznym pocałunkiem;
I tak po licznych ustroniach w ochoczéj
Błądząc swawoli, wędruje do morza.

Wybrałem się wcześnie na to widowisko, aby dobre miejsce znaleźć i żadnego słowa ulubionego poety nie stracić. Ale pospiech mój był zbytecznym. Już miano zasłonę podnieść, a parter ledwie był do połowy zajętym, loże stały pustkami, tylko galerye i paradys, napchane prostaczkami, wrzały hałaśliwą niecierpliwością. Gdzież są, pomyślałem, te sławione uwielbienia Angliků dla Szekspira? Czyż i Szekspir podlega prawidłu, że nikt w swym kraju nie jest prorokiem? Czyż i tu świat modny przekłada kuglarstwa, uczone zwierzęta i arlekinady nad utwory swych najcelniejszych poetów, zostawiając ostatnie czci i miłości prostego ludu? Jeszczem nie miał czasu ochłonąć z tego niemiłego zadziwienia, gdy zasłona się podniosła. Co za uroczy widok! Główny plac Werony, z całym przepychem swych gmachów, z dokładnością wprawiającą w zupełne złudzenie wystawiony, rozpościerał się przed memi oczyma. Nic tego złudzenia nie psuło. Nie było budki suflera. Niewiem nawet skąd się światło brało, bo ani zwykłego rzędu lamp u brzegu sceny, ani między dekoracyami świec nie widziałem. Wtem z jednej ulicy wychodzi dwóch młodzieńców, tak naturalnie ciągnąc rozmowę, jak gdyby ona dawno się była poczęła, i jak gdyby tylko do siebie samych, zgoła nie bacząc na słuchaczów, mówili. Aktorowie angielscy nie przychodzą na przód sceny, częstokroć odwracają się od widzów, prowadzą rzecz swą w głębi, czasem nawet między kulisami, a przecież każde ich słowo tak słychać jakby w sali między zebraną publicznością znajdowali się. Niepodobna mi opisać wrażenia, gdym usłyszał pierwsze wyrazy dwóch młodzieńców, z taką prostotą i zapałem wymówione, że porwały od razu całą uwagę publiczności. Oto jak się sztuka poczyna:

Walencjo. Przestań odradzać, mój miły Proteju;
Domowa młodzież ma rozum domowy, —
Gdyby nie miłość, która twe dni młode
Do lubych wejrzeń kochanki przykuła,
Jabym cię raczéj chciał za towarzysza,
Byś poznał dziwy świata za granicą,
Zamiast co w domu tkwiąc w gnuśnem ospalstwie
Marnujesz młodość próżniactwem bez celu.
Lecz ty się kochasz — kochaj; — szczęść ci Boże,
Szczęść i mnie kiedy miłość mię przemoże.

Protej. Chcesz gwałtem jechać? Bądź więc zdrów, Walencjo!
Twego Proteja pomnij gdy w podróży
Ujrzysz rzecz jaką rzadką i ciekawą;
Życz bym był twego szczęścia uczestnikiem
Gdy szczęście spotkasz: a w ciężkich trafunkach,
Jeżeli kiedy w przygodę popadniesz,

Troskę twą świętym modłom mym polecaj,
Bo jałmużnikiem będę twym, Walencjo.

Walencjo jest to młodzian prostoduszny, pełen szczerości i zapału, z sercem na dłoni, gotów na wszelki trud i poświęcenie, miłość kobiety jeszcze nie tknęła jego serca, tem więc skorzej w świat dusza się jego wyrywa. Przeciwnie Protej, przebiegły, samolub, zmiennik, jak samo imie okazuje, nie dba o nic prócz Julii, którą posiąść zamierzył. Julia charakterem pierwszemu podobna, naiwna, wesoła, nie wie jeszcze co miłość, nie umie się bronić przeciw jej sidłom, przez litość tylko daje przystęp zalotnikowi, lecz gdy raz powzięła dla niego uczucie, już nie zna miary w poświęceniu i stałości. Śliczną jest scena, w której odebrawszy list rozpaczliwy od Proteja, drze go w gniewnem uniesieniu, a następnie litując się, zbiera podarte kawałki, składa wyraz po wyrazie i niebacznie otwiera swe serce zdradliwej pokusie. Wtem ojciec Proteja, czy uwiadomiony o jego zalotach, czy pragnąc by na próżniactwie w domu czasu nie tracił, wyprawia go na dwór cesarza do Medjolanu, na którym Walencjo przebywa. Zasmucony Protej wyjeżdza zamieniwszy z Julią pierścionki i przyrzekając jej wierność do śmierci. Tymczasem Walencjo staje się bożyszczem Medjolanu. Jego prostota i szlachetność ujmuje wszystkich. Bez starania, nieświadomie, podbija serce Sylwii, córki księcia medjolańskiego. I dzieje się scena na odwrót powyższej. Sylwia, chcąc uniknąć napiętego dla niej przez ojca zamęźcia z bogatym a niemiłym jej magnatem, wciąga zręcznie werońskiego młodziana w swe sidła i rozbudza w nim pierwszą iskrę miłości. Walencjo, raz ją pokochawszy, już jej całą swą duszę zacnie poświęca. Na to przybywa jego przyjaciel. Czy znasz go dobrze? — pyta Książe dając mu pierwszą wieść o przybyciu Proteja. Z całą dobrocią i szlachetnością swego charakteru uradowany Walencjo dopowiada:

Jak siebie samego, —
Bo od dzieciństwa zawsze towarzysze,
Wspólnieśmy nasze pędzili godziny;
Ale ja byłem pustym sowizrzałem,
Co drogich czasu dobrodziejstw nie zebrał,
Przeciwnie Protej, — bo tak mu na imie, —
Z swoich dni odniósł korzyść i plon piękny;
Jego wiek młody — doświadczenie stare,
Głowa zielona — ale sąd dojrzały,
Zgoła — (gdyż jego przymiotom nie zrówna
Żadna z tych pochwał które tu mu daję),
Człek to skończony w postaci i w duszy,
Z całą okrasą co szlachcica zdobi.

W następnej scenie Protej nadchodzi. Niepodejrzliwy, sam dobry a więc w nikim złego nie przypuszczający Walencjo gorąco go poleca względom swej kochanki. Gdy sami zostali, opowiada mu dzieje swej miłości. Protej się dziwi i przypomina mu jak dawniej nawet jej imienia wspominać nie lubił. Na to Walencjo:

Ah, mój Proteju, jam mój żywot zmienił,
Odbył pokutę za wzgardę miłości;
Srogo mię skarał jej duch samowładny
Gorzkiemi posty, pokutnemi jęki,
Bólem łez w nocy, męką westchnień we dnie;
Bo miłość mszcząc się, żem nią wprzód pogardzał,
Sen z ujarzmionych mych oczów wygnała,
I nad własnego serca utrapieniem
Kazała czuwać. O miły Proteju,
Możnym jest władzcą miłość, — i tak srogo
Mię ukorzyła, iż wyznać ci muszę,
Że żadna boleść niezrówna jej karom,
A jej poddaństwu żadna rozkosz w świecie!
Teraz, prócz o niej, innych rozmów nie znam,
I mogę śniadać, jeść obiad, wieczerzać,
I spać na gołem imieniu miłości.

Nie dość na tem, Walencjo wymaga od przyjaciela by przyznał, iż piękniejszej dziewicy nigdy nie widział, iż nawet Julja z nią równać się nie może, a gdy ten przekłada, że oczewiście swojej kochance musi dać pierwszeństwo, tamten z zapałem odpiera:

Ja ci pomogę nadać jej pierwszeństwo,
Bo ją ozdobi ten wysoki zaszczyt,
Że za mą panią nosić będzie suknię,
By pocałunku rąbkowi przypadkiem
Mizerna ziemia nie skradła, i dumna
Tak wielkiem szczęściem, nie przestała rodzić,
Gardząc kwiatami, tym przepychem lata,
I srogiej zimy nie zmieniła w wieczną.

I dalej jeszcze opisując Sylwię, tak o niej mówi:

Jam tak bogaty tym drogim klejnotem,
Jak mórz dwadzieścia, chociażby ich piasek
Był z samych pereł, szczerem złotem skały,
Woda nektarem . . . .

W końcu zaś wyznaje przyjacielowi, iż z powodu nierówności stanu obawiając się, że Książe nigdyby nie przystał na ich związek, umówił się z Sylwią że tejże nocy ją wykradnie. Tu zaczyna się na dobre wikłać intryga. Protej, oczarowany wdziękami Sylwii, rozogniony uniesieniem Walencja dla niej, od razu zapomina o Julii, i postanawia zbyt ufnego przyjaciela wysadzić a sam pozyskać rękę jego narzeczonej. Wydaje więc Księciu ułożony spisek. Książe skazuje Walencja na wygnanie. Ten w drodze schwytany przez rozbójników, i nie mogąc sobie dać rady w rozpaczy, staje się ich wodzem. Tymczasem Julia, usychając z tęsknoty za kochankiem, ucieka z domu, i przebrana za mężczyznę, przybywa do Medjolanu. Śledząc wszędzie Proteja, a nie śmiąc dać mu się poznać, staje się świadkiem wszystkich jego intryg dla pozyskania Sylwii. Sylwia

pogardza nim, wyrzuca mu jego zdradę i względem kochanki i względem przyjaciela, a przemyślna i równie silna wolą jak Protej, znajduje pomimo baczności i Księcia i Proteja sposób ucieczki do lasów, w których Walencjo się kryje. Już, już ma się z nim połączyć, gdy pogoń prowadzona przez Proteja chwyta ją. Przeniewierca, korzystając z jéj nieszczęsnego położenia, raz jeszcze błaga ją o wzajemność, a gdy stałości jéj przełamać nie może, chce użyć siły, gdy wtem Walencjo, który z ukrycia wśród drzew wszystko słyszał, wypada by obronić Sylwię i zgromić fałszywego przyjaciela. Gorzko on mu wyrzuca podstęp i zdradę, lecz gdy ten udaje się do pokory i o przebaczenie błaga, poczciwy Walencjo mięknie od razu, zapomina urazy i podaje winowajcy swą rękę. Julja, która paziem u Proteja zostawszy, w orszaku jego do tych lasów przybyła, zdradza się pierścionkiem danym jej przez niego przy rozstaniu w Weronie. Zawstydzony Protej wraca jéj swą miłość. Na rozwiązanie sztuki, przyprowadzają rozbójnicy schwytanego Księcia, który uznając stałość i szlachetność Walencja, córkę mu swoją oddaje, i na jego prożby rozbójnikom nawet przebacza.

Niepodobna po krótce opisać zajęcia, jakie sprawia gra dziwnie krzyżujących się przygód zwłaszcza w trzech ostatnich aktach. Miejsc tu dramatycznych pełno, ustępów poetycznych, nawet liryzmu wiele, ale też niepodobieństw i błędów więcej niż w innych sztukach. Począwszy od tego, że autor wyprawia swych podróżników morzem z Werony do Medjolanu, aż do zbyt gwałtownie i niespodzianie rozwięzujących się wszystkich na raz węzłów intrygi w ostatnim akcie, miałaby dzisiejsza krytyka niemało do zarzucenia tej sztuce. Dwa wiersze, w których Walencjo przebaczywszy Protejowi zdaje się przez zbyt wygórowaną wspaniałomyślność nawet Sylwią mu oddawać, spowodowały tysiące komentarzów. Jabym mniemał, że Szekspir chciał tym rysem albo wystawić ideał szlachetności skromnego, zawsze zrzekającego się siebie dla innych, przytem słabego i znękanego nieszczęściami młodzieńca, albo też wyobrazić zacnego współzawodnika, który przebaczywszy swe krzywdy dawnemu przyjacielowi, by okazać szczerość swego z nim pojednania wyzuwa się z zyskanej nad nim wyższości, i wierząc w jego szaloną miłość dla Sylwii, staje z nim na równi przed kochanką a niech ta wybiera. Ale te trudności i owe usterki nie psują całości, która jak najmilsze sprawia wrażenie. Szekspir też nigdzie nie dba o podrzędne względy. Częstokroć mnóstwo najpocieszniejszych popełnia błędów. Obdarzony najpotężniejszym zmysłem dramatycznym, idzie wprost do celu, nie zważając na drobne szczegóły, byle ogół pomysł jego uwydatniał. Ztąd daleko lepiej jego sztuki zrozumieć można na scenie jak w czytaniu. Oto i w tej, jakżeż dzielnie występują w przedstawieniu scenicznem zamierzone przez autora przeciwieństwa charakterów w grze jednego uczucia, to jest młodzieńczej miłości. Co za mistrzostwo w oddaniu podobieństw i kontrastów! Na mocy tak właściwego naturze ludzkiej prawidła, że podobne charaktery odpychają się, a przeciwne przyciągają, daje on tu przezornemu, silnemu wolą, samolubnemu Protejowi, łagodną, potulną, niebaczną Julję, — prostodusznemu zaś, szlachetnemu, naiwnemu Walencjowi, mężką, nieugiętą,

przedsiębiorczą Sylwię. Tę też zrobił brunetką, tamtę blondynką. Jak Walencjo nie szuka Sylwii, ale przez nią w miłość wciągnięty zostaje, i przy końcu gotów jest nawet wyrzec się jej dla przyjaciela, tak Julja ulega tylko zręcznym podchlebstwom i zabiegom Proteja, a następnie przebrana za pazia służy mu z miłości za narzędzie w intrygach, któremi otoczył córkę książęcą. Są tu jeszcze dwa inne odcienia na tle tego samego uczucia. Jest głupi, napuszony Turio, — jest zacny a po śmierci kochanki niepocieszony Eglamour, którego męztwu i opiece Sylwia w swej ucieczce bezpiecznie się powierza. I jak gdyby poecie na tem nie było dosyć, wprowadza on jeszcze dwóch służących również igrających z miłością; i odgrywających jakby parodią głównej osnowy i przygód, w których gmatwają się ich panowie. I znowu dla kontrastu Walencjowi daje dowcipnego, przemyślnego Spiecha, a Protejowi mazgaja ale nie samoluba jak jego pan, owszem pełnego poświęceń bez miary, poczciwego Lancę. Rubaszne rozmowy tych dwóch pachołków, najeżone nieprzyzwoitemi żartami, zwłaszcza Lancy ze psem, tak rażą wykwintny smak cudzoziemców jak są niewyczerpanym źródłem śmiechu dla gawiedzi angielskiej. Kto jednak wczytał się w Szekspira, to łatwo uzna że podobne ustępy wstawiał on nie z pustej igraszki ani z braku delikatnego uczucia, bo one naprzód służą mu dla przelania pomysłu i moralnego sensu sztuki w najmniej okrzesane i pojętne dusze, a następnie przez przeprowadzenie podjętego zadania po wszystkich szczeblach społeczeństwa, przez parodią i nizką komiczność pozwalają mu przedstawiać w doskonałej pełni obraz życia ludzkiego, które nie jest ani samą tragicznością ani komicznością, ani ideałem ani karykaturą, ani samym płaczem ani śmiechem, ani ogniem ani błotem, lecz coś z wszystkiego zarazem. Tym to sposobem Szekspir jeszcze wydatniej i zupełniej odmalował dzieje miłości w *Śnie Nocy Letniej* kreśląc dramatycznie i dziwnie łącząc w jedną grę jej przygody w świecie czarodziejskim, w kole wykształconych ludzi i w gburowatym motłochu.

Lubo więc żałowałem, iż mi się nie zdarzyło widzieć na scenie którego z arcydzieł Szekspira, ale jedną z jego sztuk najmłodszych i najmniej cenionych, odniosłem przecież jak najsilniejsze wrażenie, doznałem prawdziwej roskoszy. Bądź co bądź poczynałem poznawać Szekspira logicznie, wedle porządku co do czasu i stopniowo rozwijającej się jego potęgi. Pisał on tę sztukę w 27 roku swego życia. Być nawet może, iż ją wcześniej jeszcze utworzył, ale dopiero w tym roku swego życia dał ją na scenę. Miał on już wtedy żonę od lat dziewięciu i to nienajlepszą. I to więc zadziwia, że tak płomieniście zdołał malować miłość, jak gdyby był młodzianem w wiośnie dopiero budzących się namiętności, i jak gdyby się pod jasnem Włoch niebem urodził. Wady tej sztuki pochodzą z tego samego źródła co jej przymioty, to jest ze zbyt wybujałej obfitości, doświadczeniem jeszcze nie otrzeźwionej. Powieść, która stanowi jej wątek, sam poeta utworzył, co wzmacnia dowody iż to jest dzieło z samych początków jego zawodu, gdyż następnie Szekspir nigdy prawie już sam intrygi dla swych sztuk nie komponował, ale brał znane tradycye, legendy

i historye, rozumiejąc wzorem starożytnych dramaturgów, że najlepszą osnową dla sztuki jest to, co ma dawny początek, co już się wpoiło w pamięć i wraziło w uczucia ludzkie. Nie wspomniałem tu wszystkich nadobności tej komedyi, bom nie miał czasu wszystkich na razie pochwycić. Uwaga bowiem moja była wciąż podzieloną. Patrzałem raz na scenę, to znów na słuchaczów, gdyż się dziwiłem i radowałem jak prości wyrobnicy, lud zebrany na galeryach i paradysie, istny motłoch z pozoru, w lot pojmował najsubtelniejsze odcienia myśli i uczuć wielkiego poety. Wtedym to dopiero zrozumiał jaką on musi być potęgą w Angili. Aby wszechstronnie go poznać, nie dość jest czytać jego dzieła, nie dość nawet widzieć je na scenie, trzeba naocznie przekonać się jak żywotnie one działają w duszy całego ludu, i jak z nich powziął cały naród jedne prawidła dla swej moralności, jeden kierunek dla swych uczuć, jeden kształt dla swych pojęć. Szekspir zbliżył, porównał wszystkie stany, zrobił wszystkich Anglików jednolitymi. W rozmowie z najmniej wykształconym Anglikiem spotkasz nietylko zasady, myśli, ale nawet wyrażenia Szekspira. Prostaczek czasem nie wie skąd one mu przyszły, może który ani słyszał o Szekspirze, choć wątpię aby się taki w Anglii znalazł, ale nie mniej rozumuje na jego sposób, rządzi się jego morałami, i jak lud nasz z katechizmu, tak lud angielski z Szekspira wziął treść i barwę swej mowy. Dla cudzoziemców więc, Szekspir jest najdobitniejszym komentarzem swego narodu, a naród angielski najżywotniejszym komentarzem Szekspira.

Nażajutrz rano puściłem się w drogę do środkowej Anglii, i tak się szczęśliwie zdarzyło żem na pierwszy nocleg stanął w Stratford on Avon, gdzie się Szekspir urodził.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

PIŚMIENNICTWO.

RYS HISTORYCZNY MIASTA DOLSKA I JEGO OKOLIC, połączony z ważniejszemi szczegółami historycznemi byłej dyecezyi, a teraz archidyecezyi poznańskiej, wydany przez X. *Jana Jabczyńskiego*, Kanonika metropolitalnego poznańskiego. W Poznaniu, czcionkami i w komissie Ludwika Merzbacha, 1857.

Od samego początku naszego pisma objawialiśmy zawsze przekonanie, iż dokładniejszych a dzisiejszej nauce historycznej odpowiednich dziejów Polski nie będzie można skreślić, dopóki monografie nie wywiodą na jaw zasobów, które gdzieś jeszcze jakby pod ziemią u nas się kryją. W narodach, które doprowadziły umiejętność historyczną do najwyższego w obecnym czasie stopnia, zaniechano zupełnie składać w jedną całość ogólne dzieje, a rzucono się do pojedynczych epok, do biografii, do ogłaszania dyplomatów, opisów pojedynczych miejscowości, zgoła do gromadzenia materyałów, z których powstać ma kiedyś nowa i okazała budowa. W Anglii, każde miasteczko, każdy niemal zakątek kraju posiada swą monografią. Francya, skłonniejsza do uogólniania i systematyzowania, później się wzięła do tego rodzaju pracy, ale już dziś znakomite w niej zrobiła postępy. Najsposobniejszymi do takich poszukiwań okazywali się zawsze duchowni. Powaga ich stanu, dająca rękojmię wytrwałości i rzetelności, ciągła styczność ze wszystkiemi warstwami społeczeństwa, łatwy przystęp do wszelkiego rodzaju dokumentów i zabytków, mianowicie kościelnych, usposabiają ich doskonale na monografów. Należy się więc niepoślednia wdzięczność X. Kanonikowi Jabczyńskiemu za przykład, który w téj mierze swym braciom duchownym daje. Już nie mówiąc o tych, którzy są przy kapitułach, lecz dla mnogich powodów często nie mają wolności rozpowszechniania znajdujących się w archiwach zabytków, gdyby nasi plebani wzięli się skrzętnie do opisu swych parafii, w czem żadna trudność na przeszkodzie stanąć im nie może, pozbierali i z ustnych podań i z ksiąg kościelnych wszystko co może być dla ogółu i ciekawem i pożytecznem, gdyby w każdym dekanacie jeden z nich podjął się zgromadzić i ułożyć w porządek te pojedyncze opisy, a znowu w dyecezyi który z nauki i wzorowego pióra znany kapłan połączył to wszystko w jedno systematyczne dzieło, to mielibyśmy w każdej z dyecezyi naszych księgę, która byłaby nietylko jej jeografią, statystyką i historyą, ale nadto przedstawiałaby, jak dziś herbarz Paprockiego i Niesieckiego, niewyczerpane źródło przedmiotów dla całej

literatury. Znamy księgi bardzo szczupłych i ubogich parafii, które mieszczą w sobie wielce ciekawe zapiski o wypadkach krajowych, rodzinach i osobach pojedynczych. Z ksiąg takich co rok nie mało ubywa, bo czas zamazuje coraz mniej czytelne pismo, a rozliczne przypadki częstokroć niszczą je do szczętu.

Zasłużył się więc szanowny autor naprzód swej prowincyi, bo zwrócił uwagę rodaków na jedno z miejsc nader mało w niej znanych. Zasłużył się następnie krajowi, bo stawia doskonały przykład całemu duchowieństwu polskiemu. Dwa te względy najwięcej pociągają nas ku jego pracy. Są jednak jeszcze inne, których pominąć nie można. Z przedmowy dowiadujemy się, że autor zrodziwszy się i wychowawszy w Dolsku, niejako przez uczucie wdzięczności postanowił tę miejscowość naukowo zbadać i opisać, a zatem przybywa jeszcze jeden urok więcej, który tę pracą ozdabia owiewając ją tchnieniem wdzięcznego uczucia.

W tejże przedmowie autor uwiadamia nas skąd czerpał materjały. Dostarczyło mu ich archiwum kapituły poznańskiej, obejmujące znaczną ilość starożytnych dokumentów co do dóbr biskupstwa poznańskiego, do których Dolsk dawniej należał. Materjały te jednak nie okazały się dostatecznemi do napisania pełnej, we wszystkich częściach zarówno ściśle obrobionej historyi tegoż miasta. Pracę więc swą nazwał autor tylko Rysem historycznym, poczytując ją jedynie za kronikę, za szkic, który przy dokumentach w nim przytoczonych może posłużyć komu innemu do zbudowania historycznej całości. Właściwą zaś jej wartość upatruje nie w głównym przedmiocie, który sobie obrał, bo ten, jak powiada, małej tylko może być wagi dla zamiejscowych, ale w wspomnieniach, wyjaśnieniach i dokumentach, tyczących się dawnej Wielkopolski i całego biskupstwa poznańskiego, tudzież w wielu uwagach nad historyą Polski w ogólności, które tu mimochodem dołączył.

Te szczere wyznania wskazują od razu na główny błąd tego dziełka. Autor nie miał wiary iżby sama wyłącznie historya czy kronika Dolska mogła obudzić zajęcie w osobach zamiejscowych lub wcale tego miasta nieznających. Dolskowi więc naznaczył podrzędne miejsce, rzucając tylko notatki lub przytaczając znalezione dokumenta do jego historyi, a cały niemal trud i biegłość swoją obracając na przedmioty postronne, często z głównym tematem bezpośredniego związku nie mające. Znać też wszędzie, iż więcej mu chodziło o świetność i wyrobienie ram jak o wykończenie obrazu w nich zawartego, czyli że Dolsk mu tylko posłużył za sposobność, za środek, że tak powiemy za haczyk, na którym swe zdobycze z rozleglejszego i świetniejszego pola zawiesił. To cośmy na czele tego artykułu powiedzieli, dostatecznie okazuje, iż zdaniem naszem autorowi należało wręcz odwrotnie sobie postąpić. Prawdziwa wartość monografii zależy na ścisłem obwarowaniu się miejscowością. Posiłkować się ubocznemi lub ogólniejszej treści zasobami o tyle tylko w takich pracach wypada, o ile one niezbędnie są potrzebnemi do objaśnienia obranego przedmiotu. Ale wszelką w tym względzie krytykę łagodzą, jeźli nie rozbrajają jej zupełnie, szczere orzeczenia autora na samym wstępie. Pomnieć oraz trzeba, iż pomimo znanych i szacownych w tym rodzaju prac Kraszewskiego, Żubrzyckiego, Łukaszewicza, Sobieszczańskiego, niema dotąd ustalonego w naszej literaturze wzoru, wedle którego poczynający pisarze w tym zawodzie mogliby się kierować. Pierwsze kroki zawsze są trudne, długo częstokroć się błądzi nim się na prawdziwą natrafi drogę, a zawsze cześć tym, którzy pierwsi jej szukają.

Istotnie więc dziełko to zamyka tylko treściwe notatki i dokumenta o Dolsku, z archiwum kapituły poznańskiej poczerpnięte, na okresy historyczne podzielone, a poglądami dziejowemi na cały kraj i prowincyą spo-

jone. Okresów jest trzy: pierwszy do XIV. wieku, drugi do XVI, trzeci do XIX. W każdym, spisany jest stan funduszów Dolska i klucza Dolskiego, lekko dotknięty byt materyalny mięszkańców, a natomiast pełno wycieczek po za obręb przedmiotu. W pierwszym naprzykład mieści się rys historyi książąt Wielkopolskich, stosunku oświaty w prowincyi, i to więcej w znanych już dobrze ogólnikach, niż w szczegółach, na których-by nauka zyskać mogła. Że klucz Dolski należał do biskupów poznańskich, więc autor poświęca im osobny paragraf, daje tabellę ich następstwa, wylicza specyalnie ich dochody etc. Drugi okres zawiera dalszy ciąg tych szczegółów, mianowicie co do stanu funduszów całego biskupstwa poznańskiego. Trzeci wreszcie zupełniają w znacznej części uwagi o nadużyciach sądowych względem czarownic w wieku XVII, gdzie i o Twardowskim i o stołach wirujących jest mowa. Wszystko to mogłoby dobrem być, każde na właściwem miejscu. Tu razi, bo zbyteczne i od przedmiotu za daleko odwodzące. Tym sposobem możnaby o jeden szczegół, o jedną miejscowość zaczepić całą historyą i literaturę. Podobny tryb pisania tę ma jeszcze złą stronę, że nie obowiązuje do żadnej ścisłości, do jakiegokolwiek bądź utrzymania związku i porządku. Autor trąca o przedmioty, jak i ile mu się podoba, zwołuje je ze wszech stron, a potem opuszcza, gdy się tego najmniej spodziewamy. Takich samopas wędrówek nie podobna ująć pod żaden rozbiór, pod żadną krytykę. Nie możemy przeto nad niemi się zastanawiać. Parę jednak więcej rażących twierdzeń autora, podnieść nam konieeznie wypada. Autor przyznając naszym przodkom za Piastów wielką gorliwość w bronieniu wiary, wyrzuca im zarazem okrutne barbarzyństwo i pastwienie się nad bliźniemi, na dowód czego wskazuje na zamordowanie Śgo Stanisława, Zbigniewa, Leszka Białego i t. d. Niechby zajrzał w współczesne dzieje wszystkich innych, dalej już w cywilizacyi posuniętych, znacznie dawniej na łono kościoła przyjętych narodów, a przekonałby się, że Polska ma najmniej plam ukrucieństwa i zbrodni na swej czacie. Przytoczone tu wypadki są wszystkie dziełem pojedynczych osób, jakie wszędzie i w każdym czasie się zdarzają, naród nie miał żadnego w nich udziału, indywidualnych też bezprawiów na karb całego narodu kłaść nie można. Tak mało owszem było zbrodni i srogości w Polsce, że niższość naszej literatury dramatycznej zwykle krytycy tłómaczą tem, iż w naszej historyi niema tego mnóstwa nadzwyczajnych okrucienstw, które w innych narodach prawie nieprzerwanym przez całe dzieje ciągną się szeregiem. W tym samym sposobie autor, mówiąc o wieku XVIII., tak się wyraża: „Co się wszakże dotyczy w ogóle moralności na„szych w tych wiekach przodków, przyznać po części należy, że takowa „więcej obawą surowych kar, niż wpływem pojęć i zasad religijnych się „utrzymywała, i że jak samo chrześciaństwo było u nas wypływem i na„kazem ze strony panujących, tak i utrzymanie jego w wiekach następnych, „przy naszem rodowem, czyli więcej niejako uczuciowem usposobieniu, uwa„żać można bardziej jako owoc działań i wpływów zewnętrznych, niż jako „głębsze pojęcie religii i jej przepisów.“ Musieliśmy naprzód kilka razy przeczytać ten ustęp by go zrozumieć, a zrozumiawszy nareście nie mogliśmy długo się zdecydować, czy warto brać na seryo podobne orzeczenia, które zapewne wymknęły się tylko z pod nieostrożnego pióra. Uszanowanie jednak dla autora nakazuje nam następujące przedstawić mu uwagi. W całej Europie od wschodu do zachodu, od Śgo Włodzimierza do Klodóweusza, wszystkie narody nie przyjmowały chrześciaństwa i w niem się z początku nie utrzymywały inaczej, tylka za wpływem i nakazem swych panujących. W społeczeństwie, chociażby najmoralniej usposobionem, złą jego część jedynie obawa kar zdolną jest powstrzymać. W Anglii, gdzie w ogóle najwyższa jest moralność, najsurowsze też są kary. W narodzie

niemającym poczucia moralnego, nic kary nie pomagaja, na co oczewistym jest Rossya dowodem. U nas ani naród był tak zepsutym, ani kary tak okrutne, jak autor mniema. Łagodność prawodastwa polskiego stała się przysłowiem. I jakież dowody autor przytacza? Oto ten jedyny: że „każde prawie u nas miasteczko miała jus gladii i własną szubienicę, a ostatnią „uważano nawet niejako za chlubę dla siebie.“ Żaden to dowód, tylko nowe oskarżenie, które autor popiera następującym dopiskiem: „Wprawdzie poczytać-by należało za bajkę co powiadają o pewnem miasteczku, „że gdy miano tamże powiesić winowajcę, zgłoszono się z prożbą do magistratu pobliskiego miasta o pożyczenie szubienicy, tenże odpisał na to: „że szubienicę swoją sprawiło miasto *dla siebie* i dla swych dzieci, a nie „dla obcych; co w pojęciach owych wieków nie można wziąść za coś nadzwyczajnego.“ Takaż to więc anekdota, nie wiedzieć skąd wzięta i jakiego miasta tycząca się, którą autor sam za bajkę poczytuje, ma dowodzić że w Polsce uważano za chlubę mieć swoją szubienicę, z takiejże to znowu bajecznej chluby wniosek, iż w Polsce utrzymywała się moralność w wiekach XVII. i XVIII. więcej obawą surowych kar jak wpływem pojęć i zasad religijnych? Czyż się godzi na tak błahym pyłku, jak ta anekdota, tyle ważne i bolesne budować oskarżenie? Niema nawet najlżejszego powodu do całej tej historyi o szubienicach, bo autor wyznaje, iż w Dolsku nie było żadnego śladu miejskiej szubienicy. Wiele z podobnych usterków trzeba złożyć na skłonność autora do długich a kunsztownie ułożonych frazesów. Autor uważa powyższą anekdotę za bajkę, a jednak w tymże samym okresie powiada, iż w pojęciach owych wieków nie można tego wziąść za coś nadzwyczajnego. Ta niejasność i gmatwanie się w stylu czyni niekiedy całe kartki niezrozumiałemi. I tak na str. 162 i 163 autor naprzód twierdzi, iż nawet napływ rozmaitych herezyi nie zmienił łagodności charakteru narodowego i nie sprowadził żadnego u nas prześladowania. Następnie przytacza anekdotę o jakimś protestancie szlachcicu, który wypędził z dóbr swoich wszystkich kapłanów katolickich i jeden kościół katolicki zamienił na chlewy. Pyta się naostatek, jak tego rodzaju gwałty i prześladowania religijne mogły naraz mieć miejsce w kraju tak ściśle katolickim jakim była Polska, i nie może sobie tego wytłómaczyć chyba bezrządem i absolutyzmem magnatów. Więc razem było i nie było prześladowanie religijne w Polsce. Dla tego że protestant dopuścił się bezprawia, ztąd bezpośredni wniosek że naraz kraj ściśle katolicki zmienił swe łagodne usposobienie. Protestant gwałt popełnił, zatem zdawałoby się że protestantyzm temu winien. Bynajmniej, przyczyna tego leży w absolutyzmie magnatów. O jakimże to czasie mowa? O końcu XVII. wieku, bo to bezprawie protestanta, stało się w r. 1681. Czyż to bezrząd i absolutyzm magnatów dopiero wtedy począł kraj zawichrzać? A jeźli istniał od znacznie dawniejszego czasu jakżeż można mu zarzucać, że *naraz* pod koniec XVII. wieku podniecił kraj ściśle katolicki do gwałtów i prześladowania? Takich twierdzeń nie śmiałby pewnie autor utrzymywać. My też to błędne koło rozumowania przypisujemy jedynie brakowi ścisłości, nieładowi w stylu, a razem zbytecznemu natłokowi postronnych faktów i spostrzeżeń, w których autor gmatwa się i gubi, zamiast iść jasno i prosto do zamierzonego celu.

Naczelną przeto wartość tego dziełka stanowią nie te ogólne poglądy historyczne, nie te wyprawy na szerokie pole dziejów naszych, w których autor zdaje się upatrywać główną zaletę i ozdobę swej pracy, ale owe, aczkolwiek suche notatki o Dolsku, cyfry i data podane, przywileje królów tyczące się tego miasta, szczegóły o założeniu i wzroście jego kościołów, zgoła to wszystko co bezpośredni ma związek z obranym przedmiotem. Już i tego dość by zdobyć dla autora należne rzeczywistej zasłudze

uznanie. Do zupełności sukcesu nie stał mu na przeszkodzie brak wątku, wiadomości i zasobów, ale owszem obfitość onych. Gdyby był je na kilka osobnych prac rozłożył, byłby i więcej i lepiej napisał. Ważne i ciekawe szczegóły o biskupstwie poznańskiem, które tu drobnieją dla tego jedynie że cząstkowo podane i przyczepione do innego przedmiotu, mogłyby uzupełniwszy się innemi rozwinąć w porządną i systematyczną historyę tegoż biskupstwa. Dzieło takie stanowiłoby jeden z najcenniejszych przyczynków do dziejów narodowych. Szanowny autor okazał, iż umiał korzystać z swego położenia przy archiwum kapituły, czerpał w niem z gorliwością i zamiłowaniem zabytków narodowych, czerpać jeszcze może. Inna jest jednak rzecz gromadzić zasoby i pomysły, inna zaś przyrządzać je do druku, wciągając je w jednolite historyczne opowiadanie. Mniemamy, iż unikając błędów kompozycyi i stylu, któreśmy w niniejszem dziełku wytknęli, łatwo i tę ostatnią posiędzie zdolność.

LISTY HORACYUSZA. Wierszem miarowym na język polski przełożył Dr. *Marcelli Motty*. Poznań, w Księgarni J. K. Żupańskiego, 1856.

AGAMEMNON. Tragedya Eschylosa, przekładania *Zygmunta Węclewskiego*, nauczyciela przy gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Poznań, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego, 1856.

WZORY PROZY na wszystkie jej rodzaje, stopnie i kształty, zebrane przez *Jana Rymarkiewicza*, Doktora Filozofii i nauczyciela wyższego przy gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Tomów trzy. Poznań, nakładem J. K. Żupańskiego.

WIADOMOŚĆ O ŻYCIU I PISMACH JANA KOCHANOWSKIEGO skreślił *Józef Przyborowski*, nauczyciel przy gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Poznań, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego, 1857.

Łączymy cztery te prace pod jednym nagłówkiem, nie dla tego iżby były jednej treści, ale że ich autorowie liczą się wszyscy do jednego stanu, są lub byli nauczycielami przy jednej szkole. Pragniemy bowiem wszystkim od razu złożyć dzięki wypływające z przekonania, że się zasłużyli literaturze, a chlubę przynieśli prowincyi, powołaniu i szkole, do których należą. Stan nauczycielski w naszych czasach, a osobliwie w naszem Księstwie, jest arcy-trudnym. Szkoły przepełnione uczniami wymagają wielkiego nietylko sił umysłowych ale i fizycznych zasobu. Nauczyciel nigdy nie jest panem swego czasu. Wraca z lekcyi, musi się gotować na następną, często ma obowiązek uczenia czy to po za szkołą i domem, czy własnych pensyonarzy, których oprócz tego z oka spuszczać nie może. Weźmy jeden szczegół, to jest poprawianie ćwiczeń i wypracowań. Kto kiedykolwiek poprawiał, to wie, że snadniej nieraz byłoby samemu napisać to samo, jak cudzą myśl niezręcznie wyrażoną łatać i gładzić tak, aby przecież jak najwięcej pozostało z pierwotnego pisma. Jeżeli więc który z naszych nauczycieli bierze się do pióra, by dobru publicznemu poza szkołą przynieść pożytek, to nie może się dziać inaczej tylko z wielkiem wytężeniem sił, kosztem zdrowia, poświęceniem wszelkich rozrywek i wczasów. Zważmy przytem, że ku temu u nas niema żadnej zachęty, owszem pełno przeszkód

staje na drodze. Nauczyciel, który u nas co wydaje, musi dobrze baczyć na wybór przedmiotu, na każde swoje słowo, by nie narazić na szwank swego położenia. Jedyna więc ich nagroda leży we wdzięcznem uznaniu ich zasługi przez rodaków. Należy im się to uznanie nawet bez względu na większą lub mniejszą ich dzieł wartość. Sam już przykład pracowitości nauczycielów niezmiernie ważnym jest dla kształcącej się pod ich dozorem młodzieży, i nie bez wpływu powinien zostać na tych, którzy z pod ich kierownictwa wyszedłszy rozbiegają się po rozlicznych zawodach w społeczeństwie, bo uczy, że na każdym, prócz właściwych jego stanowi trudów, spoczywa jeszcze obowiązek niesienia, ile możności, datków i ofiar dobru publicznemu. *).

Atoli, nieodnośnie nawet do wspomnianych tu względów, każda z tych prac posiada wartość nieobojętną dla literatury.

Wierność i udatność przekładów Dr. Motego mieliśmy już sposobność poznać, umieszczając w Przeglądzie z 1852 tłomaczenie jego Sielanek Wirgiljusza, a w 1853 zdając sprawę z programatu szkolnego gimnazyum św. Maryi Magdaleny, w którym znajdowało się przepolszczenie Satyr Horacego, przez Dr. Motty dokonane. W programacie nowo założonej szkoły realnej w Poznaniu na rok 1856 spotykamy przezeń przełożone listy Horacego, które niebawem wyszły w osobnem odbiciu. We wszystkich tych pracach tłómacz trzyma się raz przyjętych zasad, to jest stara się o jak najściślejszą filologiczną wierność, tak aby przekład był poniekąd polską kopią łacińskiego oryginału, nie wykraczając przecież w niczem przeciw

---

*) Oprócz wymienionych tu prac, słyszymy o wielu innych, albo już przez naszych nauczycieli dokonanych, albo na ukończeniu będących. Pan Bronikowski oddawna tłómaczy Platona. Pan Zaborowski wydaje szacowne pismo *Przyroda i Przemysł*. Tytuły rozpraw, które od lat trzech professorowie zamieszczali w programatach szkolnych, wyliczyliśmy w artykule o gymnazyach W. Ks. Poznańskiego. Są także nauczyciele przy zakładach prywatnych lub w domach obywatelskich, którzy niekiedy ogłaszają już oryginalne pisma, już tłómaczenia. P. Hieronim Feldmanowski wydał w ostatnich czasach u Merzbacha przekład powieści Andersena p. t. Improwizator. Lepsze to dzieło od innych w tym rodzaju, ale jeszcze nie całkiem wolne od zarzutów dzisiejszym romansom czynionych. W za okazałej trochę przedmowie do tak drobnej pracy, tłómacz potępia lubowanie naszych czytelników w pismach mało artystycznej, mniej moralnej, a najmniej naukowej wartości mających, i powiada, że literatura jest jak powietrze, im czyściejsza tem zdrowsza. Wielka to prawda, ale jakżeż dziwnie przy tych orzeczeniach o moralności i czystości odbijają niektóre ustępy tej powieści, jak n. p. sceny w domu gry w Neapolu, wydarzenia w Amalfi, bezecne zabiegi Santy. Ustępy te stoją w zupełnem sprzeciwieństwie z duchem przedmowy. Z resztą utwór ten jest więcej podróżą jak romansem. Przygody miłośne, najczęściej nieprawdopodobne, służą tylko do spojenia obrazów natury i sztuki włoskiej. Tłómacz obiecuje dać nam jeszcze przekład dwóch innych powieści Andersena, a że styl ma niezły, należy nam wytknąć mu kilka pomyłek. Już mniejsza o to, że pisze wciąż *tarcz*, *tęcz*, *niepodobno*, ale czemuż kładzie niektóre wyrazy jak n. p. *cień* raz w rodzaju żeńskim, drugi raz w męzkim? Na str. 71 tomu 1go rzeczownik ten w obu rodzajach występuje. Strzedz mu się także wypada wyrażeń jak następujące: Twoja wola jest *monstrancyą* błogosławieństwa i szczęścia. Wielu pomyłek jedynie na karb drukarza położyć nie można. Na str. 95 pomięszany jest Dante z Petrarką. Gdzieindziej położono Gerardo del Rotti, zamiast della Notte albo delle Notti, Castello dell' novo zamiat dell' uovo (jajko). Nie znamy oryginału, ale często widać, że tłómacz albo go nie rozumiał, albo umyślnie od tekstu odstąpił. Powiada że katakumby były drogą kommunikacyjną między Rzymem a przyległemi miasteczkami. Co mówi o Anglikach na str. 204, zapewne tyczy się osób innéj narodowości. Ale co niezawodnie w oryginale być nie może to porównanie (str. 265) schorzałego wieśniaka włoskiego do *Piotrowina*.

właściwości i duchowi naszego języka. Najdoskonalsze i najpłynniejsze nawet tłomaczenie Satyr i Listów Horacego nie zdałoby się dla dorywczych czytelników. Kto chce je zrozumieć, musi wciąż porównywać z tekstem i uciekać się do objaśnień. Być więc może, że zasada przyjęta przez Dr. Motty jest najlepszą. Nie chodzi tu o wdzięk, o głaskanie ucha miłym rytmem i rymem, ale o pomoc uczącemu się lub o sprawienie przyjemności uczonemu, która wzmaga się co chwila widokiem tylu trudności zręcznie zwyciężonych, tylu zwrotów jędrną polszczyzną oddanych. Kończymy tę wzmiankę przytoczeniem początku powszechniej od innych znanego listu do Pizonów o sztuce poetycznej:

Gdyby nam malarz chciał ludzką głowę na końskim osadzić
karku i zewsząd zebrane członki po wierzchu piórami
upstrzyć różnemi, tak iżby piękna u góry kobieta
szpetnie u dołu się czarnym ryby ogonem kończyła,
czyż moglibyście od śmiechu, widząc ten obraz się wstrzymać?....
Wierzcie, Pizony, do tego nader podobnem obrazu
będzie to dzieło, z którego marnych pomysłów, spojonych
z sobą jak chorych marzenia, każdy z osobna do innej
jakiejś całości należy. — Wszakże poeta i malarz
równe miał prawo oddawna, puszczać się zgoła na wszystko!
Wiem i przyznając tę wolność, chciałbym z niej wzajem korzystać,
lecz nie w tym stopniu, by łączyć ciche ze srogiem, by spajać
ptaki z wężami pospołem, albo z jagniątkiem tygrysa!

Przekład Eschylesowego *Agamemnona* znajdzie ocenienie w artykule, który wkrótce ogłosimy o tłómaczeniach z dramatyków greckich, jakie w ostatnich czasach licznie się pojawiły. Miło jest widzieć, że w tym kierunku Poznań prym trzyma, dzięki pracom p. Weclewskiego i p. Małeckiego.

Dr. Rymarkiewicz ogłaszając *Wzory Prozy* starał się zaradzić coraz widoczniejszemu niedostatkowi przy wykładzie języka ojczystego po szkołach. Nie wielka to na pozór zdaje się praca zebrać choćby i trzydzieści tak grubych jak te trzy tomów. Właśnie trzydzieści byłoby łatwiej ułożyć jak trzy, bo zasobów nie brak, a cała trudność jest w wyborze, która się tem bardziej wzmaga, im mniej jest miejsca do objęcia podobnych wzorów. Nie dziw więc, że niejeden zarzuci temu wyborowi niedostateczność, gdy nie znajdzie w nim żadnego wyciągu z jakiego ulubionego sobie pisarza. I my moglibyśmy wskazać wielu wzorowych autorów, którzy tu pominięci zostali. Uderzyło nas osobliwie to, że współcześni daleko tu więcej miejsca od dawniejszych stosunkowo zajmują. Ale w wypisach tego rodzaju nie tyle ważnem jest, kogo niesprawiedliwie opuszczono, jak gdy kogo nie właściwie za wzór młodzieży podano. Strzedz się szczególniej wypada wystawiania na czoło pisarzy nieustalonej dotąd wartości, których popularność, mniej godziwemi sposobami nabyta, przez czas i zdanie wytrawnych sędziów niepotwierdzona, zależąca od chwilowego publiczności obłędu, może szybko przeminąć. Otóż dziwnem się wydaje, że w tym zbiorze, w którym wielu prawdziwie wzorowych prozaistów, albo całkiem przyjęcia nie znalazło, albo tylko dwie lub trzy stronnice otrzymało, Dr. Tripplin dwadzieścia kilka stronnic zajmuje. Nic zaś nie może być wątlejszego jak podstawa, na której wziętość tego podróżnika spoczywa. Styl ma zamaszysty, i oto cała jego zaleta. Z drugiej znowu strony, opisy jego są najczęściej fałszywe, opowiada podróże po krajach w których nie był, przerabia dzieła obce podając wyciągnięte z nich przygody za swoje, potwarza osoby, które będąc za granicą lub nie czytając książek polskich bronić się nie mogą, zgoła upojony samym sobą, niedbały o rzetelność, że powtórzymy słowa jednego z najlepszych naszych krytyków, nie widzi lecz wynajduje, nie sądzi lecz marzy, pragnie olśnić ale nie oświecić i nauczyć,

i byle tylko swoją osobistość uwydatnić nie dba z czyją krzywdą i z jakim uszczerbkiem prawdy przedmiot swój wystawia. Szczęściem, że obfite wyciągi z pism jego nie zostały tu położone pod kategoryą *Wierzytelność*, bo byłyby w zupełnej z tym tytułem sprzeczności. Mieszczą się one w rozdziale pod napisem *Prawdopodobieństwo i Wytworność*. W istocie mają do tego prawo, bo opisy jego nie prostota, zalecająca tego rodzaju prozę, ale ckliwa wytworność znamionuje, a opowiadania są tylko prawdopodobne, nie zaś sumiennym rzeczywistości obrazem. Nie potrzebujemy dodawać, że dwa te tytułowe wyrazy użyte tu zostały w odmiennem znaczeniu i że myśl wręcz naszej przeciwna podciągnęła pod nie wypisy z dzieł Dr. Tripplina. Uważać przytem należy na moralną dążność pisarzy, chociażby nic nie było pod tym względem do zarzucenia przytoczonym z ich pism przykładom, bo ileż mogłoby stać się złego, gdyby młodzież zachęcona podaniem Dr. Tripplina za wzorowego pisarza rzuciła się do czytania *Pana Zygmunta w Hiszpanii* i innych tego autora niegodziwych utworów. Z tym jednym wyjątkiem, i kilkoma innemi, ale tak małoznacznemi, iż można je pominąć, książka Dr. Rymarkiewicza zasługuje na szczere od wszystkich podziękowanie. Nietylko po szkołach i zakładach naukowych, ale wszędzie po domach prywatnych w użyciu znajdować się powinna. Będzie ona korzystną wszystkim, od uczących się czytać dzieci do kształcących się na pisarzy młodzieńców, a nawet skończony już literat nieraz z przyjemnością do niej zajrzy. Ułatwił jej jak najpowszechniejsze użycie wydawca Żupański, naznaczając niesłychanie nizką cenę, bo arkusz ścisłego druku wypada tylko na 6 gr. pol. Wydanie jest piękne, na cienkim papierze, razi tylko niejednostajność druku, który do połowy każdego tomu jest wielki, a następnie na drobny się zamienia.

Jako wstęp do tych *Wzorów* Dr. Rymarkiewicz jeszcze w 1855 ogłosił książeczkę p. t. *Nauka Prozy*, która zawiera powszechne stylu prawidła, treściwie w kształcie notat szkolnych spisane.

Jako zaś dodatak do Wzorów Prozy 1go stopnia wydał w 1856 zbiorek krótkich i łatwych poezyi.

P. Przyborowski zaledwie poczyna zawód swój pisarski, ale poczyna go żwawo, gorąco, prawie namiętnie. Rzuca on się z zapałem młodzieńczej duszy do obranego przedmiotu, wyzywa do walki na prawo i na lewo, stawia śmiałe twierdzenia, i nie waha się z gruntu wywracać wyobrażeń, które dotąd za nieomylne poczytywanemi były.

Jeszcze był na naukach w Wrocławiu, gdy porównywając wydania pism Jana Kochanowskiego, powziął myśl przywrócenia pierwotnej postaci płodom naszego poety. Gdy więc obecnie księgarnia Żupańskiego postanowiła wydawać pisarzów zygmuntowskich z tekstem poprawnym, Kochanowski dostał się p. Przyborowskiemu. Zanim jednak zamiar ten uskutecznionym zostanie, postanowił p. P. ogłosić krytyczny pogląd na żywot i dzieła Kochanowskiego, wraz z wiadomościami bibliograficznemi i porównaniem tekstu w rozmaitych edycyach, a to aby swe spostrzeżenia, w których co krok zbija dotychczasowe mniemania, poddać pod sąd publiczny, i skłonić rodaków posiadających nieznane jeszcze materjały, czy do biografii, czy do bibliografii wieszcza czarnoleskiego, do udzielenia mu ich dla uzupełnienia zebranych już zasobów.

W ostatnich czasach wiele zajmowano się Kochanowskim. Przed kilkunastoma laty, ułożone na cześć Guttenberga album, a zawierające poezye we wszystkich językach, podało myśl ogłoszenia *Pamiętnika*, w którymby każdy z znakomitszych naszych pisarzy coś w hołdzie dla Kochanowskiego umieścił. Aleksander Krasicki miał napisać *Rodowód Kochanowskich*, — Bielowski rozprawę: *O wpływie pieśni Kochanowskiego na poezyę naszego czasu*, — Maurycy Dzieduszycki o *Szachach*, — Przyłę-

cki miał wypracować *Wiadomość bibliograficzną o wszystkich dziełach i wydaniach pism* wieszcza Jana, — a Wincenty Pol ofiarował swą *Pieśń na założenie węgielnego kamienia do pomnika dla Jana Kochanowskiego w Katedrze krakowskiej*. To wszystko już było przygotowanem do druku, a pełno jeszcze innych literatów spieszyło z swemi datkami. Szlachetny pomysł ten rozbił się głównie o wypadki 1846 i 1848 roku. Około tegoż czasu głoszono że jeden z naszych majętnych obywateli przeznaczył 100,000 złtp. na piękne a tanie wydawnictwo klassyków polskich, i że dzieła Kochanowskiego miały w niem zająć pierwsze miejsce. Zamiar ten również spełzł na niczem. Ze wszystkich pomienionych hołdów, tylko jedna *Pieśń* Wincentego Pola w naszem piśmie wydrukowaną jeszcze w 1847 została. Myśl jednak uczczenia Kochanowskiego znów powoli budzi się z uśpienia. *Biblioteka Polska* przez Turowskiego w Przemyślu wydawana ma wkrótce pomnożyć się dziełami Kochanowskiego, z życiorysem i wiadomościami bibliograficznemi które Przyłęcki skreślił. Maurycy Dzieduszycki wydał swą rozprawę o *Szachach* w *Dodatku do Czasu*. Władysław Wieczorkowski dopiero co zmarły, zajmował się zebraniem szczegółów o przodkach Kochanowskiego. A oto zdaje się że już tyle zasłużony Żupański przy umiejętnej pomocy p. Przyborowskiego wyprzedzi i przewyższy wszystkie inne w tej mierze zamysły.

Nie wspomnieliśmy nic o dawniejszych poszukiwaniach i sądach lub utworach na tym przedmiocie osnutych, jak n. p. o dziełku Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, o krytycznych uwagach Wiszniewskiego, Maciejowskiego, Jochera, Lesława Łukaszewicza, Kraszewskiego, Syrokomli, i innych, którzy albo mimochodem w swych pismach, albo w ogólnych dziejach piśmiennictwa nad Kochanowskim się zastanawiali.

Ma więc p. P. wielu poprzedników, ma z kim i o co walczyć, zwłaszcza że występuje w zamiarze obalenia dotychczasowych zdań i zbyt pochlebnych sądów o wieszczu z Czarnolesia.

Pismo swe podzielił on na cztery części. W pierwszej opowiada Żywot poety, opierając się na wszechstronnem roztrząśnięciu źródeł, a głównie na własnych jego słowach. W drugiej daje wiadomości bibliograficzne. W trzeciej rozważa *Fraszki* pod względem oryginalności. W ostatniej zastanawia się nad językiem Kochanowskiego.

Wyznać potrzeba, że pomimo hojnie szafowanych pochwał wieszczowi w ogólnikach, ostatecznym wnioskiem szczegółowych badań p. Przyborowskiego jest że pisma Kochanowskiego nie posiadają tej wartości, którą im dotąd przyznawano. Odejmuje on mu niemal wszelką oryginalność. Czyni go tylko potężnym naśladowcą, który obce myśli i wzory tak zręczne umiał w barwę narodową przybrać, że dotąd się nikt dostatecznie na naśladownictwie nie spostrzegł. Nawet co do języka nie przypisuje mu téj wyższości nad poprzedniemi autorami, którą dotąd miano za pewnik*).

*) Lubo autor występuje jako rzecznik przeciw Kochonowskiemu odsłaniając wszystkie jego słabsze strony, broni go jednak w tem, co jest najwyraźniejszą skazą na jego pismach i co sprawia że całych dzieł natchnionego tłómacza psalmów niepodobna dać w rękę młodzieży. Jakżeż pod względem czystości i powagi niższym jest Kochanowski od Miaskowskiego! Pan Przyborowski nie wspomina nawet o zdrożnościach i plugastwach które się w *Fraszkach* znajdują. Mówi tylko, że „kogo rażą małe wybryki przeciw duchowieństwu, kogo razi zażyłość z różnowiercami, ten niechaj sobie przypomni że tenże Kochanowski szczycił się przyjaźnią biskupów Myszkowskiego, Padniewskiego i Konarskiego; niech sobie przypomni że pieśń *Kto się w opiekę* przez cały naród z największą skruchą powtarzana, jego jést pióra; ten niech naostatek porówna naszego Jana z Krzyckim lub Gamratem; Kochanowski był dobrym katolikiem, ale nie Jezuitą, jak słusznie nadmienia Kondratowicz.“ Wszystkie wymienione tu usprawiedliwienia nie mają żadnej

Podobne orzeczenia wywołają pewnie gorliwych niebawem zapaśników w obronie Kochanowskiego. Przyjdzie wtedy pora i dla nas wystąpić ze zdaniem o tych rozprawach, zwłaszcza skoro się ukaże zapowiedziane wydanie. Tu ograniczając się do tej pobieżnej wzmianki, nie możemy jednak pominąć wyznania, że jakkolwiek przykro i trudno zgodzić się na wszystkie wnioski autora, praca jego jest taką, na jaką nikt dotąd w tym przedmiocie się nie zdobył i jaka doprowadzić koniecznie musi do ustalenia rzeczywistej wartości utworów Kochanowskiego. Styl jest tu wszędzie jasny i sprężysty, bez ubiegania się za archaizmami lub nadzwyczajnością wyrażeń. Jeden tylko w tym względzie znaleźliśmy wyjątek, gdy autor mówi na str. 205: „Zwąkroiło się do naszej dziedziny dosyć przybyszów „z sąsiedztwa.“ Autor polemizuje żwawo, zamaszyście, ale z przyzwoitością, wyjąwszy znowu na str. 63 gdzie nawet od przedmiotu odbiega, aby złośliwie dotknąć, jak się nam zdaje, przeciwnika, z którym niedawno co tak ostrą a nie zawsze w należnych karbach zamkniętą stoczył walkę.

HISTORYA WYMOWY W POLSCE, napisał *Karól Mecherzyński.* T. I. Kraków 1856.

Chwalebną zawsze jest rzeczą ilekroć pisarz zabierający się do wystąpienia przed rodakami z jakową pracą, przykłada się do niej z zamiłowaniem a surową rozwagą, i przedmiot obrany wyczerpnąć usiłuje. Zdawałoby się iż każdy, sięgajacy po zaszczyty autorstwa, powinien-by uważać taki przybór za naczelny swój obowiązek. A przecież tak to jest dziś rzadkiem, iż na szczególną pochwałę, jakby jakiś okazały przymiot, zasługuje.

Autor *Historyi wymowy w Polsce*, szanowny professor literatury ojczystej w Jagiellońskim uniwersytecie, najpierwszą ma przeto w swem przedsięwzięciu zasługę że wziął się do niego z całą miłością, z całą żarliwością i chęcią wyczerpania przedmiotu tak bogatego i ważnego w piśmiennictwie naszem. Nakreślenie dziejów wymowy w Polsce, dotąd jeszcze wcale nietkniętych, musiało stawiać wiele trudności, zająć wiele mozolnych godzin. Potrzeba podobnej książki była naglącą, a ztąd tem prawdziwszą autor osięgnął zasługę im więcej przeszkód po drodze swej łamał, i im spieszniej potrzebie ogólnej w pomoc przyszedł.

Pomnąc na zasoby naszej literatury, szczerze przyklasnęliśmy autorowi gdyśmy się z tytułu jego książki dowiedzieli że jedną tylko część piśmiennictwa opracować zamierzył. Boć łatwiej o wiele wykończyć dokładnie, zapoznać się blisko z jednym ustępem, czy jedną chwilą jakiejś nauki, aniżeli wtajemniczyć się zarówno we wszystkie rozległe jej całości oddziały. Kompendjów literatury naszej mamy kilka, żadnego zaś przedstawienia jej dokładnego. Gdyby ci wielu, co usiłowali podać całą litera-

---

podstawy. W owym czasie episkopat polski był prawie cały stekiem zepsucia i niewiary. Myszkowski zbierał pieniądze, panoszył się, pewnie stół miał dobry, a więc łatwo zdobywał przyjaciół. Padniewski złośliwy, ambitny, dbał tylko o świeckie zaszczyty. Konarski do lepszych należy. Ale przyjaźń z biskupami, choćby najgorliwszymi, nie osłania, owszem większy ciężar winy kładzie na wybryki *Fraszek*, tak jak trudno zrozumieć iż mogły pokalać się niektóremi te same usta, co składały na cześć Boga Psalmy i pieśń *Kto się w opiekę*. Pocieszne jest odwołanie się do sądu p. Kondratowicza i nacisk na różnicę w owych już czasach między dobrym katolikiem a Jezuitą. Pewnie to na mocy takiego samego usprawiedliwienia wolno dziś p. Kondratowiczowi, jako (uchowaj Boże) nie Jezuicie, ale przez to tem lepszemu katolikowi, nazywać święte oleje *święconą pomadą*. Wstrzymywaliśmy się od roztrząsania pracy p. Przyborowskiego, odkładając recenzyą jego pisma do wolniejszej chwili, a osobliwie do czasu, gdy dokona całego przedsięwzięcia, ale wspomniany tu ustęp zachwiał naszą wiarę w jego bezstronność, i wzbudził obawę że się kieruje naprzód ułożonemi teoryjkami.

turę, połowę poświęconego na to czasu byli obrócili na opracowanie jednej tylko części, — do tej chwili mielibyśmy już dokładne studja piśmiennictwa naszego w całości. Piękny przykład postawił autor *Historyi wymowy w Polsce*, jak wiele jeszcze można wyciągnąć badań nietylko z całej literatury naszej, ale nawet-li z jednej jej części, gdy pierwszemi trzema okresami wypełnił tom o 40 arkuszach druku, a następne mają jeszcze, o ile słyszeliśmy, trzy takich tomów zająć.

Leżący przed nami tom I obejmuje historją wymowy w Polsce od najdawniejszych czasów aż do XVI włącznie wieku, którego tylko dzieje wymowy politycznej i sądowej są tu podane, gdyż jak nam autor obiecuje w przedmowie, prawie cały tom następny wymową religijną tego wieku się zajmie. Przyglądając się rozwijaniu wymowy w naturalnym jej toku podzielił jej historją na okresy zdarzeniami politycznemi w kraju się uwydatniające. Ztąd panowanie Piastów do r. 1376, Jagiełłów pierwszych do r. 1506, i trzech Zygmuntów do połowy XVII stulecia, stanowią trzy główne epoki historyi wymowy w tym tomie zawartej.

Wymowę samą dzieli autor na trojaką: polityczną, sądową czyli sporną i religijną. Do tych dodaje jeszcze przygodną czyli obrzędową. W każdym okresie bada ją w tych trzech postaciach.

Jako przygotowanie do rzeczy samej i usprawiedliwienie zwrotu wymowy w tej lub owej epoce, rzuca autor na zaczęciu każdego okresu pogląd ogólny na jego zdarzenia polityczne, stan oświaty, nauk, stosunek społeczny, wewnętrzny i ościenny kraju. Czyni to w celu aby z jednej strony zrozumiałym sprawić kierunek, który wymowa brała w tym czasie, a z drugiej dowieść ile stosunki wewnętrzne i inne na wymowę lub odwrotnie wymowa na też stosunki oddziaływała. Niezawodnie pomaga to czytelnikowi wiele, ale przekraczając granice przedmiotu właściwego sprowadza częste niedokładności. Sam już brak miejsca nie pozwala rozwinąć się tak obszernie jakby tego wymagało poruszenie kwestyi tyle rozległej i ważnej. Ztąd wysunęły się autorowi zbyt często zdania za śmiałe o niejednym stosunku ówczesnym poglądy jednostronne, których jaśniej wyłożyć i dowodami usprawiedliwić szczupłość miejsca mu nie dozwoliła. Niedostatek ten tem bardziej uderza, im autor dalej odchodzi od rzeczy. Pragnąc wykazać jak ścisłą analogią miał rozwój wymowy z położeniem w którem kraj zostawał, wpada autor w tę ostateczność, że niekiedy dostrzega nawet to czego nie było, a przynajmniej na co żadnego nie można stawić dowodu. Tak n. p. z szczupłych nader zasobów historycznych co do pierwszych czasów panowania Piastów, z kilku kart kroniki nawet nie współczesnej, autor dopełnia sobie w wyobraźni cały obraz ówczesnego narodu, jego bytu socyalnego i politycznego. Nie tai jednak, że to są tylko jego własne przypuszczenia, bo na stronie 30 powiada: „*domyślać* się można, że wśród pierwotnego gminowładztwa naczelnicy narodu używali niekiedy mów publicznych.“ Zdaje nam się jednak, że gdzie ma być ścisła nauka, niechaj nią będzie, a wszelkie uzupełnienia wyobraźni, acz najprawdopodobniejsze i najpiękniej wypowiedziane, miejsca tam mieć nie mogą. To samo zastosować można do wszystkiego co odnośnie do wymowy wypowiedział o starych Słowianach. Zapewne sam równie jak my przyjmuje to tylko za hypotezę wątpliwą ale nie za pewnik.

W całym wątku pisma p. Mecherzyńskiego uderza także zbyt wygórowana rola, którą nadaje wymowie co do wpływu na wypadki polityczne. Zdarza się to często pisarzom jeden przedmiot na celu mającym iż chcąc go uwydatnić zbyt go na pierwszy plan wysuwają w stosunku do innych które poruszają, zbyt śmiałe o nim rzucając zdania ze szkodą innych. Do takich też dałyby się w części policzyć powtarzane często wyrażenia autora, iż wymowa była głównym i jedynym czynnikiem życia

politycznego i społecznego Polski, jak n. p. gdy powiada, że *ona była wodzą i kierownią spraw społecznych* w XVI wieku. Zapewne przez to rozumie, że sprawy społeczne obrotem swym wywoływały rozwijanie się wymowy, lub że wymowa zajmowała się wyłącznie sprawami społecznemi, gdyż naprzód nie przedmiotowi wymowa, ale wymowie przedmiot za treść służy, a następnie choćbyśmy jej wpływ do najwyższej potęgi podnieśli, choćbyśmy wywołali przed pamięć najświetniejsze jej zwycięztwa w parlamentarnym żywocie Francyi i Anglii, to jeszcze uznać-by należało iż są zawsze i wszędzie inne jeszcze sprężyny, które daleko silniej i bardziej stanowczo działają na bieg i kierunek wypadków. Okazało się to we Francyi w ostatnich czasach. Nie mówcy, ale milczący Ludwik Napoleon stał się wodzem i kierownikiem. W Anglii, tym *par excellence* kraju wymowy politycznej, każdy deputowany wchodzi do parlamentu ze zdaniem już wyrobionem, na które najwznioślejsza wymowa wpłynąć nie zdoła. Najczęściej wiadomo naprzód jak będzie wotował. Powiadano o Edmundzie Burke że nigdy jednego głosu na swą stronę nie przeciągnął, choć wszystkich serca wzruszał. Ztąd co do wpływu daleko tam więcej cenią szermierkę krótkich rozpraw, zgrabne jedno słowo w porę rzucone, podjazdowe wycieczki, niż najwspanialsze wysilenia krasomówstwa. Różnicę tych dwóch rodzajów pozna każdy kto się zastanowi nad różnicą talentów Thiersa i Guizota.

Okres drugi (Jagiellońskie czasy) a szczególniej trzeci (Zygmuntowskie) obrobił autor *con amore*. Starał się wyczerpać co tylko wiedział o tych epokach; ztąd też nawet wiele razy stał się za obszernym, może nawet rozwlekłym, a zwłaszcza tam gdzie wygłasza pojęcia ogólne, teorye, i gdzie zajmuje się stosunkami wewnętrznemi kraju. Aczkolwiek wszystko to czyta się mile, bo napisane z życiem, ubrane zdobną szatą kwiecistego stylu, wszakże za nadto rozpoławia ogólne pojęcie przedmiotu, i utrudnia czytelnikowi schwycenie zarysu całości. Na niektóre wnioski historyczne przez autora podane nie moglibyśmy się żadną miarą zgodzić, ale uważając takowe za zbyteczny odrost od przedmiotu, nie chcemy sporu historycznego wywodzić tam gdzie tylko o literackie względy chodzić powinno.

Wiele kart trzeciego okresu w swej książce poświęcił autor porównaniu życia politycznego Polski z życiem politycznem starożytnej Grecyi i Rzymu dowodząc ich między sobą podobieństwa i zbliżenia. I tu zdaniem naszem za daleko autor sądem swoim się posunął, bo odmówił prawie rozwojowi narodowemu cechy samoistnej, rodzinnej i miejscowej, nadając mu raczej cechę odwzorywania przykładów świata starożytnego.

Usterki te nie są ani tak wielkie, ani tak gęste, aby miały przeważnie uwłaczać wartości dzieła, które zalecają, jak już poprzednio mówiliśmy, wyczerpanie przedmiotu, obrobienie staranne, przedewszystkiem cześć ku narodowym zabytkom i chwale. Styl jasny, wyrazisty, opowiadanie potoczyste, równe, dozwalają przeczytać 40 arkuszy druku bez znużenia. Praca p. Mecherzyńskiego należy do dzieł, które każdy lubownik literatury i rzeczy ojczystych winien pomieścić w pierwszym rzędzie swego księgozbioru. Pozostanie ona chlubą dla autora, korzyścią dla nauki, wskazówką i ułatwieniem dla trudu następnych pisarzy w tym kierunku. Oby tylko obietnica rychłego ukazania się dalszych tomów na obietnicy się nie skończyła.

TEODORA WAGI HISTORYA KRÓLÓW I KSIĄŻĄT POLSKICH. Krótko zebrana, dla lepszego użytku wydaniem wileńskiem 1824 znacznie przerobiona i pomnożona. Poznań, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego, 1857.

Gdyby nam kazano wymienić książkę, do codziennego podręcznego

użytku niezbędną, a przecież coraz rzadszą, więc na gwałt domagającą się przedruku, to bodaj że wskazalibyśmy na Historyą Wagi. P. Żupański ma doskonałe poczucie potrzeb umysłowych kraju. Tyle razy już swemi wydaniami dowiódł że nie o zysk lub głośność mu chodzi, lecz o rzetelny rodaków pożytek. Ale jakżeż wynurzymy naszą wdzięczność szanownemu Lelewelowi, który pomimo późnej i skołatanej starości, prawie co rok przysługuje się nam jaką ważną pracą, i obok najgłębszych poszukiwań w historyi nie wzdraga się zstąpić do wydawnictwa podręcznej książki dla młodzieży. Co dla tej edycyi zrobił, nie potrzebujemy roztrząsać, bo to najlepiej wyłuszczy następująca jego przedmowa:

Ponawiając wydanie po wielekroć ogłaszanego dzieła historji królów polskich Teodora Wagi, która lat dziewięćdziesiąt prawie w szkołach za dzieło elementarne służyła, nie ważemy się zakończeniem jej uzupełniać, albowiem traciłaby przez to wejrzenie pierwotnego utworu swego, gdyby zawierała to co po zgonie Wagi zaszło. To uzupełnienie najdą czytelnicy i nauczyciele w jinnych dziełach.

Wydajemy tę historją tak jak się ostatecznie w roku 1824 przepracowaną ukazała; wydajemy ją jak najpoprawniej nic niezmieniając co w życiu szkólnym i w nauce przyjętym zostało, ażeby podobnemu użyciu uszczerbku nie czynić.

Pozwoliliśmy sobie tylko we wstępnych chronologicznych następstwach panujących książąt, dołożyć zupełniejsze wojewodów wołoskich następstwo, gdyż na niedokładność takowego samo 1824 wydanie narzekało. A po nich dołożyliśmy szereg hetmanów kozackich jakiśmy pod ręką mieli.

Od czasu ostatniego przepracowania historji Wagi, od roku 1824 rozmaite poszukiwania, Szafarzyka, Alexandra Wacława Maciejowskiego, Augusta Bielowskiego, i innych pierwotnym dziejom Sławiańszczyzny i Polski niezaprzeczenie wielkie światło przyniosły. Z tego co sporom nieulega, staraliśmy się skreślić bieg rzeczy w Sławiańszczyźnie toczący się czasu ukazywania się Polski. Stanowi to dalszy ciąg geograficznego Sławiańszczyzny opisu za wstęp do historji Wagi dodany. Z powodu tego do wstępu dołożonego ustępu, wypadło następnie kilka objaśniawczych not przypisać. Mniemamy że choćby wspomniany ustęp i noty, nie były dość zgodne z tym co przepracowanie 1824 wygotowało, nie będzie dla tego zupełnie sprzeczne, a stając się ulepszeniem, nie stanie się zawadą do powszechnego rozchodzenia się z wielu miar pożytecznego, a zasłużoną wziętość mającego dzieła.

Lat temu dziewięćdziesiąt też, Waga wygotował był geografią Polski w Supraślu drukowaną. Z tej posiadając całkowity o krainie polskiej wyciąg, takowy na końcu dzieła historji zamieściliśmy, aby służył do objaśnienia kart geograficznych jakich historja zawsze potrzebuje. Niezaniedbaliśmy to Wagi opisanie porównywać z opisami Niesieckiego, Büschinga mianowicie, aby rozmaitości zbliżyć, a pozorne niezgodności wytknąć.

NEKROLOGI.

Władysław Wieczorkowski. — Bardzo młody a wielce obiecujący ten literat, współpracownik *Kroniki Warszawskiej*, umarł w Syrakuzie na wyspie Sycylii 15go stycznia r. b. Mistrz jego i przyjaciel, Julian Bartoszewicz, napisał o nim w *Kronice* obszerne a tkliwe wspomnienie. Wieczorkowski urodził się na Podlasiu w Biały Radziwiłowskiej 25go listopada 1833. Gdy ojciec jego Józef, dzisiejszy sędzia appellacyjny, przeniósł się do Warszawy w 1842 r., oddał syna do szkoły powiatowej przy ulicy Freta. W niej skończył Władysław cztery klassy. Potem trzy lata uczył się w gimnazyum piotrkowskiem. Wcześnie poczuł w sobie chęć do literatury i historyi. W 1851 wstąpił

do świeżo otwartej w Warszawie szkoły Sztuk pięknych na wydział budownictwa. W tej epoce począł obficie pisywać do druku. Redakcye pism codziennych ubiegały się o jego współpracownictwo. Przyjaźń dla Bartoszewicza skłoniła go stanowczo na stronę *Dziennika Warszawskiego* a potem *Kroniki*. Zajmował się osobliwie ocenianiem sztuk pięknych. Gdyby zebrano wszystkie jego artykuły, złożyłyby się jakie dwa albo trzy tomy. Z tych ważniejsze są: Andrzej Lisiecki instygator kor., — Busko, Zielony i Czerwony Chotel, notaty bez ładu z wycieczek po kraju. — Dominikanie w Piotrkowie. — Recenzya kroniczki Jerlicza, — Spór de lana caprina (wszystko to drukowane w *Bibliotece Warszawskiej)*, — Brzeźnica i Tatarski szlak (ogłoszone w *Księdze Świata)*, — Bernardyni w Piotrkowie (w kalendarzu Ungra na rok 1854), — oprócz tego mnóstwo recenzyi, notat historycznych, obrazów krajowych. Do trzeciego tomu dyplomatarjusza Rzyszczewskiego dostarczył kilkanaście przywilejów. Zajmowała go głównie przeszłość Piotrkowa. Był zdolnym rysownikiem. Z dość bogatego album, które zebrał, niejeden rysunek już odbito. Przybierał się do napisania historyi Trybunału i ku temu wiele nagromadził materyałów. Gdy słabość piersiowa przerwała mu tę pracę i do Włoch spieszyć nakazała, podjął drugą myśl, zamierzył skreślić dzieje opactw. Miał już wiele notat z Metryki kor. W archiwach włoskich mógł je dopełnić. Były to jeszcze same początki, obietnice nie zasługi, ale trudno więcej dać pierwszych i stanąć bliżej drugich w tak młodym wieku.

Seweryn Kapliński. — Umarł 5go marca po ciężkiej i długiej chorobie. Był sekretarzem rządzącego senatu w Warszawie. Poświęcał się piśmiennictwu, zajmując się sprawą literatury narodowej aż do śmierci. Przełożył kilka utworów dramatycznych z francuzkiego i niemieckiego, pomiędzy któremi, oprócz wielu sztuk prozą, przedstawionych z powodzeniem na scenie warszawskiej, należy wymienić Gryzeldę Halma i Lukrecię Ponsarda wierszem rymowym, Gutzkowa Uriel Acosta i jeden czy dwa dramata Körnera wierszem miarowym przepolszczone. Prócz tego tłomaczył pieśni Heinego i umieszczał wiele artykułów tak wierszem jak prozą w pismach czasowych. Praca też śmierć mu przyspieszyła. Umarł zaledwie 33 lat życia licząc.

Hrabia Ficquelmont. — Dnia 1go kwietnia umarł w Wenecyi Jenerał jazdy hr. Karol Ludwik Ficquelmont, autor politycznych dzieł, które przed kilkoma laty wielkie sprawiały wrażenie, a które w naszem piśmie obszernie roztrząsaliśmy. Urodził się w r. 1777 w Lotaryngii. Wszedł do wojska austryackiego w 1793, a odznaczając się ciągle w czasie wojen napoleońskich, już w 1813 był jenerał-majorem. Mianowany tegoż roku tajnym radzcą posłował w Sztokolmie, Florencyi i Neapolu, a w r. 1829 w Petersburgu, gdzie do r. 1839 sprawował godność pełnomocnego ministra. Powróciwszy do Wiednia zastępował kanclerza ks. Metternicha podczas jego urlopu. W roku następnym mianowany ministrem, objął departament wojny. W r. 1846 jeździł do Berlina w sprawie Rzeczypospolitej Krakowskiej. W ogóle, jako dyplomata wywierał on ważny wpływ na sprawy polskie, zwłaszcza za swego pobytu w Petersburgu. W 1848 był ministrem spraw zagranicznych od 21go marca do 4go maja, a po ustąpieniu hr. Kołowrata z naczelnictwa gabinetu, objął takowe. Za jego ministerstwa poczęła się wojna z Sardynią. Resztę życia spędził w zaciszu, lubo nie bez wpływu na sprawy publiczne, zwłaszcza literackiemi pracami, z których najgłośniejsze są: *Objaśnienie epoki od 20go marca do 4go maja*, — *Niemcy, Austrya i Prusy*, — *Lord Palmerston, Anglia i Kontynent*. Mówią, że zostawił po sobie ciekawe pamiętniki.

Jan Kemble. — Na końcu zeszłego i na początku bieżącego wieku rodzina Kemblów napełniała Anglią, Amerykę, a nawet i Europę, rozgłosem swej sławy, i zadziwiała wszystkich ogromem talentu w jednem kółku domowem nagromadzonego. Dwaj bracia Jan i Karol, i siostra ich pani Siddons, wznieśli sztukę dramatyczną w Anglii do takiej

wysokości, o jakiej wprzód ani marzono i jaka nie prędko znowu da się osięgnąć. Po Garricku, im to najwięcej winniśmy wyświecenie prawdziwej wartości Szekspira. Z tego trojga rodzeństwa, tylko po Karolu pozostały dzieci. Fanny w najmłodszym wieku już się wsławiła jako aktorka i autorka. Między najgłośniejszemi jéj dziełami są dramata *Franciszek Iszy* i *Gwiazda Sewilska* oraz *Dziennik pobytu w Stanach Zjednoczonych*. Poszedłszy nieszczęśliwie za mąż, za Amerykanina nazwiskiem Butler, zawód swój aktorski, a może i cały żywot smutkiem sobie zawiązała. Adelaida, również wykształcona, stała się w kilku latach sławną śpiewaczką, ale poślubiwszy hrabiego Sartoris wnet opuściła scenę. Przedmiotem niniejszego nekrologa jest ich brat Jan, który urodził się w Londynie 1807 r. Po ukończeniu szkół i uniwersytetu, gdzie się odznaczył pilnem badaniem anglo-saksońskiej historyi i języka, dał się namówić do wzięcia udziału w nieszczęśliwej wyprawie Jenerała Torrijos celem oswobodzenia Hiszpanii, i o mało nie padł ofiarą swej nierozwagi. Następnie podróżował i osiadł w Niemczech. Poznał się i zaprzyjaźnił z Jakóbem Grimmem, który go za jednego z najuczeńszych filologów uważał. Ożeniwszy się w Getyndzie z panną Wendt powrócił do Anglii. W 1833 wydał anglo-saksoński poemat Beowulfa, który później na dzisiejszy język przełożył. W 1834 dawał prelekcye w Cambridge o języku i literaturze anglo-saksońskiej. Pisywał także w tym przedmiocie po niemiecku. Wnet potem wydał ważne dzieło p. t. *Saksończykowie w Anglii*, ułożone na poprzednio ogłoszonem przez niego dyplomatarjaszu *Codex diplomaticus aevi saxonici*. Odtąd wyłączniej oddał się archeologii i zebrał w tym przedmiocie niezmiernej wagi materjały, które miał ogłosić p. t. Horœ Ferales. Ale do naszego wspomnienia najbliższe prawo daje mu to, że był przez lat kilka wydawcą przeglądu *British and Foreign Review*, który był organem Towarzystwa Przyjaciół Polski, a wychodził kosztem prezesa tegoż Towarzystwa, Tomasza Beaumont. Na tym to urzędzie sprawowanym z wielką pilnością i nauką, zdołał Kemble przeważnie wpływać na usposobienia Anglii względem Polski i Rossyi. Naukę posiadał nadzwyczajną, ale styl miał manjerowany, ciężko uczony, czego nabył częścią przez ciągłe wczytywanie się w anglo-saksońskie zabytki, częścią przez hołdowanie filozofii niemieckiej. Umarł 26go marca w Dublinie w pośród prac archeologicznych i trudów podejmowanych dla zgromadzenia przedmiotów ciekawych na gotującą się w Manchester wystawę.

SPRAWY PUBLICZNE.

Sprawozdanie Dyrekcyi Towarzystwa Pomocy Naukowej dla młodzieży Wielkiego Księstwa Poznańskiego za rok 1856.

Rok ubiegły 1856, z którego Szanownym Członkom Towarzystwa niniejszem zdajemy sprawę, jest pierwszy, który stósownie do uchwały Walnego zebrania zrównany jest całkiem z rokiem kalendarzowym. Był to rok wielkiego przesilenia i ciężkiej próby, z której, dzięki gotowości większej części Członków Towarzystwa na wezwanie Dyrekcyi, oraz dzięki podwojonej w skutek odezw naszych czynności Komitetów, sprawa Towarzystwa zwycięsko wyszła.

Nie tajno Szanownym Członkom Towarzystwa, że była chwila mianowicie pod koniec roku zeszłego, w której sprawa stowarzyszenia naszego mocno zagrożoną, nawet możność wypłat bieżących zawieszoną się być zdawała. Przyczyny tego przesilenia były te same, które były i są powodem klęsk majątkowych w ogóle, t. j. brak gotowych pieniędzy jako skutek kilkoletnich nieurodzajów. Ten to prawdziwy niedostatek, jednym złożenie składki całkiem może uniepodobnił, u drugich uiszczenie się z przyjętego obowiązku opóźnił. Mniejsza zapewne była liczba takich, którzy uchylanie się od celu Towarzystwa naszego rożnemi barwią pozorami, i pomimo iż od lat piętnastu są świadkami błogich jego owoców, często nawet na rzecz jego pewne podjęli zobowiązania, do składki niczem spowodować się nie dali.

Głos Dyrekcyi wzywający zalegających w składkach do spiesznego zasilenia wyczerpniętych funduszów Towarzystwa nie przebrzmiał tą razą bez skutku, do którego, radzi to publicznie po raz drugi wyznajemy, obudzona znów czynność większej części komitetów znacznie się przyczyniła. Jakoż w skutek odezw naszych wydanych w chwili dla Towarzystwa najkrytyczniejszej wpłynęło do kassy głównej w krótkim czasie tyle, iż nietylko wydaną z funduszu zasobowego summę w Listach Zastawnych temuż zwrócić, ale oraz znaczne bieżące wypłaty zaspokoić byliśmy w stanie. Co większa, pomimo tak niepomyślnych okoliczności dobraliśmy się rocznego wpływu przeszło 6000 Talarów, a zatem summy, która doświadczeniem lat kilku stała się jakby summą etatową przychodu i rozchodu naszego. Tym sposobem równowaga między przychodem a rozchodem została przywróconą, i to z przewyżką przychodu wynoszącą, jak się poniżej wykaże, przeszło 900 Talarów.

W obec tak szczęśliwego rozwiązania żywotnej kwestyi Towarzystwa naszego, która nas w ostatnich czasach mocno i słusznie niepokoiła, śmiemy wynurzyć nadzieję, że sprawy Towarzystwa nietylko nie uważamy za straconą, ale owszem za ustaloną przez ciężkie próby, na jakie wystawioną była. Tym mniej wątpimy o tem, iż większa część Komitetów powiatowych, licząc w gronie swojem obywateli gorliwych dla sprawy wykształcenia młodzieży naszej, przez rozwiniętą świeżo czynność, o przyszłości sprawy tej dobrze nam tuszyć każe, i bodaj była dobrym przykładem dla tych powiatów, w których zapał pierwotny coraz bardziej stygnąć się zdaje, i żadnemi względami dotąd na nowo rozniecić się nie dał. Dziękując tamtym za poświęcenie ich i gorliwość, prosimy drugich w imię pokolenia kształcącego się na usługi publiczne, aby sprawę Towarzystwa za sprawę powszechnego dobra uważać i do jej podźwignienia świeżemi siłami wziąść się zechciały.

Oto jest szczegółowy obraz czynności Towarzystwa i jego Dyrekcyi, stanu kassy głównej, oraz owoców, o ile je numerycznie z roku ubiegłego ocenić można.

Dyrekcya składała się w roku 1856 z następujących Osób: 1) z Mielżyńskiego Macieja, jako Prezesa. — 2) Dra Cegielskiego, jako zastępcy Prezesa. — 3) X. Prałata Brzezińskiego, jako Sekretarza. — 4) Cieszkowskiego Augusta. — 5) Działyńskiego Tytusa. — 6) Łaszczewskiego Felixa. — 7) Dra Mateckiego. — 8) Dra Motty. — 9) Potworowskiego Gustawa. — 10) Radońskiego Anastazego. — 11) Dra Rymarkiewicza. — 12) Szułdrzyńskiego Józefa. — 13) Wanowskiego Professora. — 14) Wegnera Syndyka.

Obowiązki podskarbiego wykonywał X. Hennig aż de Września r. b., po odejściu zaś jego na probostwo, objął takowe X. Pukacki, Sekretarz Kapituły Metropolitalnej.

Posiedzenia Dyrekcyi zwyczajne odbywały się co wtorek po pierwszym i piętnastym każdego miesiąca. Posiedzeń takowych odbyła Dyrekcya w roku bieżącym w ogóle 22

Dziennik Registratury obejmował w tym roku 859 numerów, z których przypada na korrespondencyą Komitetów z Dyrekcyą, jak następuje:

1)	Z powiatu	Babimostskiego	3
2)	„	Bukowskiego	4
3)	„	Bydgoskiego	3
4)	„	Chodzieskiego	4
5)	„	Czarnkowskiego	7
6)	„	Gnieźnieńskiego	3
7)	„	Inowrocławskiego	3
8)	„	Kościańskiego	13
9)	„	Krobskiego	—
10)	„	Krotoszyńskiego	5
11)	„	Międzychodzkiego	1
12)	„	Międzyrzeckiego	12
13)	„	Mogilnickiego	29
14)	„	Obornickiego	4
15)	„	Odolanowskiego	10
		Do przeniesienia	91
		Z przeniesienia	101
16)	„	Ostrzeszowskiego	4
17)	„	Pleszewskiego	3
18)	„	Poznańskiego	1
19)	„	Średzkiego	12
20)	„	Śremskiego	9
21)	„	Szamotulskiego	8
22)	„	Szubińskiego	8
23)	„	Wągrowieckiego	3
24)	„	Wrzesińskiego	—
25)	„	Wschowskiego	6
26)	„	Wyrzyskiego	3
27)	Miasta Poznania	z lewej strony Warty	59
28)	„ „	z prawej „ „	41
		Ogółem	258

Reszta Numerów 601 przypada na korrespondencyą Dyrekcyi z Władzami krajowemi, Instytutami naukowemi, Komitetami, Członkami Towarzystwa, nakoniec z młodzieżą lub jej rodzicami i opiekunami.

Akt ogólnych i osobistych było według sprawozdania z roku 1855 w ogóle 1288 w ciągu roku 1856 przybyło tychże 24, było więc w końcu roku bieżącego ogółem 1312 Akt.

W ciągu roku 1856:

1) Ukończyło studia akademickie Stypendyatów . . . . 2.
2) Przeszedł z uniwersytetu do Seminaryum Duchownego w Poznaniu . . . . 1.
3) Ukończył Studia w Szkole Agronomicznej w Proskowie i złożył popis . . . . 1.
4) Złożył popis dojrzałości . . . . 1.
5) Przeszedł z Tercyi do Alumnatu młodzieży sposobiącej się do stanu Duchownego . 1.
6) Złożyło popis na Nauczycieli Elementarnych Stypendyatów . . . . .21.

Z tych otrzymało świadectwo:
z Nrem I. pięciu,
z Nrem II. jednastu.
z Nrem III. pięciu.

Dochód kassy Towarzystwa wynosił w roku 1856:

1) ze składek bieżących i zaległych	6,441	Tal.	20	śgr.	4 fen.
2) z nadzwyczajnych dochodów	397	—	25	—	8 —
Ogólnie	6,839	Tal.	16	sgr.	„ fen.
Wydatku zaś było według poniżej umieszczonego wykazu	5,860	—	25	—	„ —
Pozostało się więc	978	Tal.	21	sgr.	„ fen.

Stan Kassy Towarzystwa po zamknięciu książek przychodowych i wydatkowych na końcu Grudnia 1856 r. był następujący:

Według Sprawozdania Rewizorów rachunków i kassy Towarzystwa, którzy do tej czynności byli wybrani od Walnego Zgromadzenia Członków Towarzystwa z dnia 14 Lutego 1855 r., było w kassie:

w Listach Zast. W. X. P. 3½% 1,960 Tal. i w gotowiźnie	580	Tal.	24	śgr.	5 fen.
Do tego przybyło od 1 Stycznia do końca Grudnia 1856	6,839	—	16	—	„ —
pożyczone w Król. Banku na Zastaw 2000 Tal. w Listach Zastawnych W. X. P. 3½%	1000	—	„	—	„ —
zwrócone lub przez Komitety niewydane pieniądze . . . . 300 Tal.	191	—	23	—	6 —
Razem, w L. Zast. W. X. P. 3½% 2,260 Tal. i w gotowiźnie	8,612	Tal.	3	sgr.	11 fen.
Wydatku zaś było od 1 Stycznia do końca Grud. 1856: w Listach Zast W. X. P. 3½% 2,000 Tal. i w gotowiźnie	5,787	Tal,	1	sgr.	„ fen.
Azatem pozostało w kassie na końcu Grudnia 1856 roku: w Listach Zast. W. X. P. 3½% 260 Tal. i w gotowiźnie	2,825	Tal.	2	sgr.	11 fen.

Zastawione w Król. 2000 Tal. w Listach Zastawnych W. X. P. 3½% zostały w Styczniu 1857 roku za spłatą 1000 w gotowiźnie, kassie napowrót zwrócone.

Wykaz dochodów od 1 Stycznia do ostatniego Grudnia 1856. r.

№ kolejny.	Z Powiatów.	Ilość przychodu. Tal.	sgr.	fn.	№ kolejny.	Z Powiatów.	Ilość przychodu. Tal.	sgr.	fn.
						Z przeniesienia	2731	5	4
1	Babimostkiego........	658	—	—	16	Ostrzeszowskiego	130	20	—
2	Bukowskiego.........	324	7	6	17	Pleszewskiego........	107	—	—
3	Bydgowskiego........	94	—	—	18	Poznańskiego	36	—	—
4	Chodzieskiego........	42	7	6	19	Średzkiego...........	261	15	—
5	Czarnkowskiego.......	84	—	—	20	Śremskiego	1353	—	—
6	Gnieźnieńskiego.......	141	—	—	21	Szamotulskiego.......	136	15	—
7	Inowrocławskiego......	500	—	—	22	Szubińskiego.........	277	22	6
8	Kościańskiego.........	335	4	6	23	Wągrowieckiego......	272	25	—
9	Krobskiego *).........	—	—	—	24	Wrzesińskiego	—	—	—
10	Krotoszyńskiego	125	20	—	25	Wschowskiego	69	—	—
11	Międzychodzkiego	140	20	—	26	Wyrzyskiego	195	15	—
12	Międzyrzeckiego	20	—	—	27	ZPozn. z lew. brzegu Warty	775	10	—
13	Mogilnickiego........	130	10	—	28	„ z praw. „ „	95	12	6
14	Obornickiego.........	112	20	—		Razem	6441	20	4
15	Odolanowskiego	23	5	10		*Do tego Dochód nadzwycz.*	397	25	8
	Do przeniesienia	2731	5	4		W ogóle	6839	16	—

W zeszłorocznem Sprawozdaniu wykazane 300 Tal. w Listach Zast. $3^1/_2$ % na kaucyą dane, zostały do Kassy zwrócone.

Wyszczególnienie dochodu nadzwyczajnego.

		Tal.	sr.	fn.
1	P. Laskowski z Brzeźna w sprawie polubownej koszta	3	—	—
2	Procent od 2260 Tal. w Listach Zast. W. X. P. $3^1/_2$ % zasobowych za II. półr. 1855....................	39	16	6
3	P. Potworowski z Goli procent od 2000 Tal. z Legatu, za I. półr.	50	—	—
4	Komitet powiatu Czarnkowskiego składkę zebraną podczas Walnego Zebrania	13	18	—
5	P. Nepomucen Kurnatowski dywidendę bazarową za rok 1854.......	11	20	10
6	Dyrekcya Koła Towarzyskiego przychód z balu	58	21	—
7	P. Anastazy Radoński procent od Legatu ś. p. Białobłockiej za I. półr. .	50	—	—
8	X. Brzeziński Dziekan metropolitalny dywidendę bazarową za rok 1855.	13	11	—
9	P. Maciej Hr. Mielżyński dywidendę bazarową za rok 1855.......	26	22	—
10	Procent od Listów Zast. W. X. P. $3^1/_2$ % zasobowych za I. półr. 1856 .	35	—	—
11	Reszta procentu od Listów Zast. W. X. P. $3^1/_2$ % zasobowych za I. 1856.	4	16	6
12	P. Kęszycka dywidendę bazarową za rok 1855............	13	12	4
13	P. Laskowski z Brzeźna, darowane kary w sprawach polubownych	8	—	—
14	P. Moszczeński z Wiatrowa darował	10	—	—
15	P. Anastazy Radoński procent od Legatu ś. p. Białobłockiej za II. półr. 1856.	50	—	—
16	Procent od Listów zastawnych W. X. P. $3^1/_2$ % zasobowych	4	16	6
17	P. Rose kupiec z Poznania darował	5	21	—
	Razem jak wyżej . .	397	25	8

*) Każdego w tym wykazie uderzy że Powiaty Krobski i Wrzesiński nic nie złożyły. Okazało się później, że ten ostatni zebrał pewną summę, ale że jej nie odesłał przed 1szym Stycznia do Dyrekcyi, która z ostatnim dniem roku zamyka swe rachunki, niema tu o nim wspomnienia. Pozostaje więc tylko jeden powiat Krobski, który się tak nieszczęśliwie z ogółu wyróżnia nic nie dając, chociaż należy do najobszerniejszych i najbogatszych, a stosunkowo jest najludniejszym i co rok pewną liczbę stypendyatów Towarzystwu na utrzymanie dosyła. (Przyp. Red.)

Wykaz szczegółowy wydatków w roku 1856.

		Tal.	sr.	fn.
1	Dla uczniów na Uniwersytecie w Berlinie	87	15	—
2	" " w Wrocławiu	1890	—	—
3	" " w Greifswalde	70	—	—
4	" w Szkole agronomicznej w Proskowie	112	15	—
5	" " leśnej w Tarandzie	200	—	—
6	Dla Uczniów w Gymnazium św. Maryi Magdaleny w Poznaniu	685	—	—
7	" " Fryderyka Wilhelma w Poznaniu	117	—	—
8	" " w Lesznie	315	—	—
9	" " w Trzemesznie	299	—	—
10	" " w Ostrowie	120	—	—
11	" w Szkole Realnej w Poznaniu	207	—	—
12	" w Seminarium Nauczycielskiem w Poznaniu	574	—	—
13	" " " w Paradyżu	160	15	—
14	" sposobiących się do wyższego przemysłu	302	22	6
15	Na opłatę szkolną dla uczniów Gymn. św. Maryi Magdaleny w Poznaniu	134	21	3
16	" " Szkoły Realnej w Poznaniu	14	15	—
17	Na książki i materyały piśmienne dla Uczniów Gymnazium św. Maryi Magdaleny w Poznaniu	24	27	6
18	Na oporządzenie Uczniów w Gymnazium św. Maryi Magdaleny w Poznaniu	17	5	—
19	" Ucznia w Gymnazyum w Trzemesznie	7	12	6
20	" " Seminaryum Nauczycielskiego w Poznaniu	3	—	—
21	" " do wyższego przemysłu sposobiącego się	2	15	—
22	Na materyały piśmienne dla kassy i registratury Dyrekcyi	3	—	—
23	Na pensye dla kancelistów Dyrekcyi	120	—	—
24	Na pensyą dla Woźnego Dyrekcyi	36	—	—
25	Na portorium	5	19	6
26	Na wydatki nadzwyczajne	351	21	9
	Razem	5860	25	—

Lista Stypendyatów w ciągu roku 1856.

№ kolejny.	Wyszczególnienie Instytutów.	Na końcu r. 1855 pozostało Stypendyatów	W ciągu r. 1856 przy-było.	uby-ło.	pozo-stało w końcu r. 1856.	Uwagi.
1	Na Uniwersytecie w Berlinie	1	1	1	1	1 przeszedł do Seminarium duchownego w Poznaniu.
2	Na Uniwer. w Wrocławiu	15	1	6	10	2 ukończyło Studia. 2 przeniosło się na insze Uniwersytety. 1 podziękował za dalsze wsparcie. 1 utracił wsparcie.
3	Na Uniwers. w Greifswalde	—	1	1	—	przestał być Stypendyatem.
4	W Szkole agronomiczn. w Proskowie	1	—	1	—	złożył popis agronomiczny.
5	W Szkole leśnej w Tarandzie	1	—	—	1	
6	W Gymnazium ś. Maryi Magdaleny w Pozn.	15	—	10	5	9 utraciło wsparcie. 1 przeszedł na Alumnat młodzieży sposobiącej się do stanu Duchownego.
7	W Gymnazium Frydr. Wilhelma w Poznan.	2	1	2	1	2 utraciło wsparcie.
8	W Gymn. w Lesznie	6	1	1	6	1 utracił wsparcie.
9	W Gymn. w Trzemesznie	10	1	5	6	1 złożył popis dojrzałości. 4 utraciło wsparcie.
10	W Gymn. w Ostrowie	3	—	1	2	1 nie zgłosił się po dalsze wsparcie.
11	W Szkole realnej w Poznaniu	5	—	4	1	3 utraciło wsparcie. 1 obrał sobie inny zawód.
12	W Seminariu Nauczycielskiem w Poznaniu	54	22	28	48	12 złożyło popis na nauczycieli elem. 14 utraciło wsparcie. 2 umarło.
13	W Seminarium Nauczycielsk. w Paradyżu	13	—	9	4	9 złożyło popis na nauczycieli elem.
14	Do wyższego przemysłu sposobiących się	2	—	—	2	
15	Rzemiosła się uczący	1	—	1	—	przestał być Stypendyatem.
	Razem	129	28	70	87	

Lista stypendyatów wedle powiatów.

№ kolejny.	Nazwisko powiatów w których się Stypendyaci urodzili.	Na końcu roku 1855 pozostało Stypendiatów.	W ciągu roku 1856. przybyło.	ubyło.	pozostało w końcu roku 1856.
1	w Babimostskim	1	—	—	1
2	w Bukowskim	6	—	3	3
3	w Bydgoskim	2	—	—	2
4	w Chodzieskim	1	3	—	4
5	w Czarnkowskim	1	2	1	2
6	w Gnieźnieńskim	9	—	6	3
7	w Inowrocławskim	4	—	2	2
8	w Kościańskim	8	1	3	6
9	w Krobskim	6	1	4	3
10	w Krotoszyńskim	8	2	3	7
11	w Międzychodzkim	4	—	2	2
12	w Międzyrzeckim	2	—	1	1
13	w Mogilnickim	3	3	2	4
14	w Obornickim	1	1	—	2
15	w Odalanowskim	7		4	3
16	w Ostrzeszowskim	7	1	3	5
17	w Pleszewskim	7	2	4	5
18	w Poznańskim	21	9	14	16
19	w Średzkim	4	—	1	3
20	w Śremskim	10	1	6	5
21	w Szamotulskim	3	—	1	2
22	w Szubińskim	4	—	1	3
23	w Wągrowieckim	3	—	3	—
24	w Wschowskim	1	1	1	1
25	w Wrzesińskim	4	—	4	—
26	w Wyrzyskim	2	1	1	2
	Razem	129	28	70	87

Po wyższych Zakładach naukowych kształci się Stypendyatów:

Na Uniwersytecie w Berlinie, w naukach filozoficznych i filologii 1

Na Uniwersytecie w Wrocławiu:

a) w naukach filozoficznych 8

b) w nauce prawa 1

c) w nauce lekarskiej 1

W Szkole leśniczej w Tarandzie 1

W Szkole rytowniczej w Berlinie 1

W Mechanice w Berlinie 1

W Poznaniu dnia 20 Stycznia 1857.

Dyrekcya Towarzystwa Pomocy Naukowej dla młodzieży Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

Komissya archeologiczna w Wilnie.

Od lat kilku obudziło się w kraju mocne zajęcie dla archeologii. Wielu zamożniejszych obywateli skrzętnie zbiera pamiątki narodowe, dzieła tej nauce poświęcone coraz częściej wychodzą, potworzyły się stowarzyszenia wyłącznie przedmiotowi temu oddane. Warszawa doczekała się w przeszłym roku świetnej wystawy starożytności i przedmiotów sztuki, którą urządzono w pałacu Hr. Aug. Potockich. Zdaje się jednak że Litwa, dzięki staraniom i hojności hr. Eustachego Tyszkiewicza, wyprzedzi

wszystkie inne usiłowania w tym kierunku. Daje to poznać przemówienie hr. Tyszkiewicza przy zagajeniu wileńskiej kommissyi archeologicznej na dniu 11go lutego 1857, którego ważniejsze części przytaczamy:

Obecne posiedzenie, oprócz zwykłego miesięcznego zebrania naszego towarzystwa, ma jeszcze inne, nader ważne dla nas znaczenie; jestto otwarcie nowego oddziału w naszem muzeum. Widzicie tutaj bibljotekę naszej kommissyi już do 11,000 tomów urosłą; pozwólcie następnie zwrócić waszą uwagę na nasz nowy, znakomity nabytek, jakim jest jedyny w swoim rodzaju gabinet ornitologiczny, zebrany przez znanego europejskiego ornitologa, hrabiego Konstantego Tyzenhauza, który poświęcał całe swe życie na badanie ulubionej przez się nauki. Godny syn jego, a nasz współczłonek hr. Rajnold Tyzenhauz, przyniósł nam tę bogatą ofiarę. Cześć niech będzie szlachetnemu współuczestnikowi rozkrzewienia nauki! Ja który położyłem węgielny kamień tej instytucyi, dziękuję w imieniu całego kraju, w imieniu naszych potomków, którzy mają dzisiaj możność specjalnie zgłębiać tak ważną naukę. Oceniam całą ważność ofiary, którą przynosi, widzę wspólność myśli jaka ożywiała nas obu, gdyśmy nasze dary składali aby zbiory nasze, służąc na użytek narodowy, stały się nieodłączną własnością Wilna.

Od dziś dnia rozpoczynamy drugi rok bytu naszej kommissyi. Przy jej otwarciu zwracałem uwagę waszą, panowie moi, na znakomite ofiary, jakie już wtedy napełniały salę dolnego piętra. Cóż mam rzec teraz? W podobnych razach fakta mówią głośniej i dobitniej niż słowa.

Kiedy myślą przebiegam rok upłyniony, gdy przypominam wszystko co mi nadawało nowy popęd, albo stawiło przeszkody na mej drodze, gdy widzę urzeczywistnienie moich nadziei, utrwalony byt nowego przybytku nauki i jego wzrost codzień znakomitszy, winienem wyrazić żywą wdzięczność wam, szlachetni opiekunowie nauki, wam moi szanowni współ-członkowie i wszystkim współziomkom, którzy z taką miłością i poświęceniem składali swe ofiary na ołtarzu rodzinnej ziemi.

Pomimo siatki drobiazgowych przeszkód, jużeśmy posunęli rozpoczętą pracę i uwieńczyć ją skutkiem mamy dobrą nadzieję. Ukażmy ją na wzór mieszkających u stóp Wezowjusza. Zaledwie niszcząca wulkaniczna lawa obróci w perzynę ich domy, oni już budują nowe mieszkania, na nowo uprawiają pola, silni wiarą i nadzieją, wstępują znowu na drogę, jaką pracowity i pożyteczny obywatel kraju iść powinien. Więcej powiem, jeśliby w przyszłości ogień lub jaka nieprzewidziana klęska zniszczyła nasze muzeum (bo nic niemasz trwałego na świecie) i wtedy żałować tego nie będą; bo nasiona rzucone na niwę urodzajną, daleko pierwej wydadzą obfite plony. Już mamy te plony i dzisiaj. Ludzie, którzy niemieli żadnego wyobrażenia o archeologicznych starożytnościach znajdowanych w ziemi, którzy je niszczyli lub przerabiali na rolnicze narzędzia, dzisiaj widząc z jakiem poszanowaniem zachowujemy te przedmioty oddają je ochoczo do naszej starożytniczej skarbnicy. Młode zaś pokolenie nasze, zwłaszcza tu biorące wychowanie, dla którego drzwi naszego muzeum stoją otworem, bada z ciekawym interessem każdy nowy nabytek, uczy się pojmować znaczenie każdego przedmiotu, — a w przyszłości wstąpiwszy samo w zawód obywatelski, już niewątpliwie potrafi zachować i upożytecznić te wymowne szczątki zgasłych pokoleń. Nakoniec gabinet ornitologiczny, zapełniając próżnię która tak dawała się uczuwać i której zapełnienia spodziewać się nie było można — tak znakomicie zbogacając uczone pomoce tutejszego naukowego okręgu, ułatwia ścisły i bardziej systematyczny wykład nauk przyrodzonych.

Posiedzenie publiczne Towarzystwa Naukowego Krakowskiego.

Po czteroletniej blisko przerwie Tow. Naukowe Krakowskie odbyło posiedzenie publiczne na dniu 28 lutego. Przerwa ta nie okazała się bez korzyści. Towarzystwo, zostające dotąd w połączeniu z uniwersytetem Jagiellońskim, odrębnie się urządziło, nowy sobie statut przepisało i od rządu potwierdzenie uzyskało. Wybór nowego prezesa w osobie czcigodnego kasztelana Franciszka Wężyka ma niemałe znaczenie i daje rękojmię pomyślności i znakomitego na kraj wpływu. Nie dziw więc że bar-

dzo liczne zgromadzenie i głębokie zajęcie towarzyszyło temu pierwszemu po reorganizacyi publicznemu Towarzystwa posiedzeniu. Oto ważniejsze szczegóły tej uroczystości, które z *Czasu* wyjmujemy:

Dr. Piotr Bartynowski dotychczasowy prezes Towarzystwa Nauk. odczytał sprawozdanie, w którem skreślił dzieje Towarzystwa od roku 1853 do dziś, a mianowicie koleje reformy jakie przechodził statut, który oddzielił Towarzystwo Naukowe od uniwersytetu — następnie skreślił pełne posiedzenie na dniu 25 października 1856 odbyte, gdzie głosy wyborcze powołały na dostojność prezesa szanownego Franciszka Wężyka, na sekretarza Dra. Stefana Kuczyńskiego, a na podskarbiego ks. Adama Jakubowskiego.

Na temże posiedzeniu nastąpiły wybory w trzech oddziałach składających towarzystwo; i tak: w oddziale nauk moralnych prezydującym obrano Józefa Muczkowskiego, sekretarzem Karola Mecherzyńskiego; w oddziale nauk przyrodzonych i ścisłych Józefa Mayera na prezydującego, a na sekretarza Fryd. Skobla; w oddziale zaś sztuki i archeologii, prezydującym Pawła Popiela, sekretarzem Karola Kremera. Następnie w zastosowaniu się do przepisu §. 31 statutu objętego, zaprosiły też oddziały na członków do składu głównego komitetu członków: Wiktora Kopfa, Wincentego Pola i Lucyana Siemieńskiego.

Tak tedy zorganizowane wewnętrznie Towarzystwo rozpoczęło posiedzenia swoje w trzech oddziałach. W oddziale nauk moralnych na posiedzeniu grudniowem członek Karol Mecherzyński czytał rozprawę o ks. Andrzeju Radowickim Dominikanie, z uwagami o kaznodziejstwie polskiem w 17 wieku, w której usiłował dowieść, że wiek ten w dziejach piśmiennictwa naszego najmniej dotąd zbadany, nie może być uważany za przerwę w umysłowym postępie; przyczem ocenił dzieła kaznodziejskie ks. Radowickiego.

Na posiedzeniu styczniowem okazał temuż oddziałowi czł. Antoni Zyg. Helcel dzieło swoje, właśnie wychodzące z pod prasy pod napisem: *Starodawne pomniki prawa polskiego i t. d.*, przyczem wyłuszczył zwięźle treść tej pracy, jako oddawna oddając się historyi prawa polskiego, nie mógł pominąć najważniejszych źródeł ustawodawstwa; dla tego zebrał te pomniki w części znane, przywracając teksty do ich autentycznego brzmienia, w części nieznane, które po raz pierwszy ogłasza. Tym sposobem dzieło jego obejmuje: 1) ustawodawstwo Kazimierza W.; 2) wycinki z najdawniejszych ksiąg sądowych ziemskich, jako ślad praktyki sądowej z końca 14 wieku; 3) statuta i uchwały mazowieckie książąt linii płockiej, mało znane dotąd; 4) Wład. Jagiełły statut wartski z r. 1420 do 1423; 5) ustawodawstwo kościoła polskiego, a mianowicie nieznane dotąd statuta synodalne gnieźnieńskie od 1233—1406 r. Przy ogłoszeniu najcelniejszego źródła tak zwanych statutów wiślickich, ta zachodziła okoliczność, iż niedość było przywrócić tekst autentyczny onychże, lecz trzeba było przywrócić i skład ich pierwotny. Że trzeba było mianowicie wyosobnić kilka oddzielnych części składnich tego prawodawczego zabytku, które już w początkach 15 wieku zmięszane zostały w jedną całość znanej dotąd wulgaty, przepełnioną sprzecznościami i powtarzaniami. Wyrobił on cztery oddzielne pierwotne statuta, z których dwa małopolskie, jeden wielkopolski, a jeden powszechny — wszystkie zaś, choć różnej daty, którą im autor oznaczył, są zdaniem jego z czasów Kazimierza W.

Gdy zaś tak pod względem składu pierwotnych owych statutów, jako też ich dawności i pochodzenia, uczeni wprzód różne już objawili zdania, mianowicie Czacki, Kownacki, Lelewel, Jan Wincenty Bandtkie, Roepel, Maciejowski, Romuald Hube — przeto Ant. Zygm. Helcel w swym wywodzie historyczno-krytycznym wyłuszczył wprzód mniemania, badania i dowody tychże uczonych, następnie zbija je wszystkie choć główniej tylko w krytyce mniemań Lelewela i Hubego obszerniej się rozwodzi, a w końcu przedstawia dowody walczące za jego własnem mniemaniem. Zrestaurowanie tych czterech pierwszych statutów, które autor *Pomników* wyosobnił, lecz i w pojedyńczych artykułach uszykował na zasadzie poszukiwań i wniosków, tudzież udowodnienie, iż redakcya owych statutów nie wcześniej jak za Kazimierza W. nastąpiła, że więc są mylne owe upowszechnione w najnowszych czasach mniemania, jakoby w rzeczonych statutach mieściły się w całej osnowie ustawy i statuta bądź z wieku XIII, bądź Władysława Łokietka.

To są dwa główne rezultaty, które rozwiązała biegłość badacza i krytyka.

Na posiedzeniu lutowem r. b. ks. Waleryan Serwatowski odczytał rozprawę, w której wyłożył: *Główną myśl religii Mahometa;* autor dowodzi w niej, że Mahomet nie był ani mędrcem, ani zwodzicielem, ale wierzył w swoje posłannictwo od Boga dla stłumienia bałwochwalstwa i utworzenia królestwa bożego, przez urzeczywistnienie idei faryzejsko-rabińskiej o mesyaszu zbrojnym podbijającym ogniem i mieczem. Tę naukę postawioną od żydów przeciw Chrystusowi zwyciężającemu świat przekonaniem i miłością pochwycił Mahomet i usiłował przeprowadzić.

W oddziale nauk przyrodniczych i ścisłych, na posiedzeniu listopadowem Emil Czyrniański zdał sprawę z rozbioru chemicznego szczawy krynickiej, którą przed laty 50 rozbierał Dr. Schultes, i znalazł różnicę w ilościach cząstek składających tę szczawę. — Na temże posiedzeniu Józef Mayer rozpoczął rzecz o *Przestroju barw w oku*, którą prowadził przez następne posiedzenie. — W grudniu Ludwik Zeiszner odczytał *Opisanie geologiczne holi wiaternej* leżącej w Węgrzech w stolicy trenczyńskiej pomiędzy Zyliną a Rajcem. — Na posiedzeniu styczniowem czł. Skobel czytał pierwszą część swej rozprawy *Zdrojowisku krynickiem*, w której zastanawiał się nad sposobem skutkowania szczawy krynickiej ze źródła głównego. — W lutym czytaną była druga część tej rozprawy, oraz Jonatan Warszauer odczytał rzecz o *Leczeniu poronnem duszycy*.

Oddział sztuki i archeologii zajmował się korespondencyami tyczącemi się starożytności krajowych. — W tej kolei odebrał wiadomość o rozkopaniu mogiły przez R. Rungego we wsi jego Morawsku w obw. przemyskim, do którego to spisu były dołączone przedmioty znalezione w mogile. — Wileński uczony p. Adam Kirkor nadesłał opis ciekawego wykopaliska na Litwie wraz z rysunkami. — Oddział ten zajmował się dalszą restauracyą pomników krakowskich, aby ocalić pomniki Leszka Czarnego, Władysława ks. krakowskiego, księdza Henryka, Sebastyana Petrycego. — Krom tych prac czytał przez trzy posiedzenia Józef Łepkowski rozprawę swoją: *O broni siecznej w ogóle i w Polsce.*

Wśród tych nowo podjętych zatrudnień towarzystwa — jak się wyraża szanowny sprawozdawca — doszło go na dniu 7 stycznia r. b. zawiadomienie od prezydenta wys. c. k. rządu, że Najj. Pan raczył potwierdzić wybór czł. Franciszka Wężyka na prezesa Towarzystwa Naukowego. — „Od tej więc chwili — dodaje dotychczasowy prezes Dr. Bartynowski — uważając siebie za uwolnionego od dotychczasowych w Towarzystwie tem obowiązków, mogę je już z szczerą opuścić pociechą, bo nietylko widzę przed sobą zupełnie ukonstytuowaną i na nowo uorganizowaną tę korporacyą naszę, ale ani na chwilę nie wątpię, że c. k. Towarzystwo Naukowe, choć już niepozostaje w dawnem przymierzu z uniw. Jagiellońskim, przecież i w tej nowej fazie umysłowego życia zacnie i godnie odpowie zadaniu swojemu.“ — Poczem zwracając mowę do następcy swego sz. Franciszka Wężyka na prezestwo, kończył: „Zapraszam Cię szanowny Mężu imieniem nas wszystkich na to krzesło, przyczem niech mi wolno będzie upraszać Cię, abyś w tym wyborze widział że Towarzystwo nasze w Twojem imieniu ma rękojmią dalszego rozwoju prac umiejętnych w tem gronie, a zarazem abyś w tej chęci Towarzystwa uznał rzewny i serdeczny hołd, który ci składa młodsze lecz dojrzałe pokolenie.“

Zaproszony na prezesowskie krzesło nowo obrany prezes czł. Franciszek Wężyk przemówił do publiczności w wyrazach, które żywe na obecnych sprawiły wrażenie, dotknął bowiem i wiele wspmnień serdecznych dla naszej pamięci, i potrącił myśli mogące być skazówką w usiłowaniach, jakich się nigdy wyrzekać niepowinniśmy, nawet w najwątpliwszych chwilach. — Szczególniej zestawienie dwóch epok podobnych sobie, epok usprawiedliwiających zawiązki tego rodzaju, jak zawiązek Towarzystwa Naukowego, było pomysłem wyświecającym i potrzebę takiego ciała naukowego i cel onegoż zbawienny.

Przytoczenie wyrażeń samego mowcy wyręczy nas od streszczania, któreby niemogło mieć tej mocy, jaką miało żywe jego słowo.

„Ma starość swe niedostatki, ale ma również i pociechy. Te już gasnące oczy patrzały zbliska na wydarzenia ogromnego rozmiaru. Szły one pędem piorunu obok tych ramion co już niezdolne do dźwigania żadnego ciężaru. Nie wspomnę o tych, które spotęgowały się w dziejach. Jedno napomknę, jako mające powinowactwo z naszam Towarzystwem i celem. Gdy w końcu ubiegłego stulecia zapadł wyrok zagłady na cały

naród, całą wielomilionową rodzinę; gdy młodzież nasza strzaskane miecze przekuć musiała na lemiesze i radła; gdy osiwiali w usługach kraju starcowie kryli swą rozpacz w kąty domowe — kilku gorliwych mężów zebrało się do uratowania ostatniej przodków spuścizny — języka; przyzwoliła im władza a Bóg pobłogosławił czystym zamiarom.

„Ten jest początek Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie. Byłem wtenczas poświęconym naukom młodzianem. Na każde posiedzenie publiczne biegliśmy wszyscy, a gdy się ozwał głos jędrny Albertrandego, poważnego przewodnika Towarzystwa i sędziwego biskupa, gdy pełen nauki i żarliwości Czacki przemawiał, gdy niezbyt dawno pasterz tutejszej Chrystusowej owczarni Woronicz dostroił swą lutnię do wdzięków Jeremiasza proroka i wybrzmiał na niej pieśń wielką o sławie przodków — wszyscyśmy płakali. Ależ ci co Towarzystwo warszawskie założyli, byli to męże wielkiego poświęcenia się i wielkiej zasługi. Chreptowicz, Potoccy, obaj Śniadeccy, Osinscy, Poczobut, Jundziłł, Ossoliński, Krajewski, Skrzetuski, Kopczyński, Kołłontaj, Karpiński i Julian Ursyn — są to nasze do dziś dnia zaszczyty! Mógłżebym pominąć tę jędnę z najwydatniejszych tego Towarzystwa potęg — Staszyca? To posąg z różnorodnego kruszcu, ale od razu ulany. Dziejopis i ścigający najdrobniejsze wiadomości statystyk, geolog i poeta, ekonomista polityczny i filantrop, dróg budownik i twórca górnictwa! Oszczędny aż do skrzętności i zapomnienia o sobie, grosz do grosza gromadził, by z czasem miliony na użytek publiczny poświęcić. On zakupywał włości i osadzonych w nich włościan usamowolniał; on przepłacał domy i wznosił gmachy, a urządzone różnym zakładom rozdawał. Kiedy po zgonie Albertrandego Towarzystwo przyjaciół nauk swym go prezesem wybrało, gdy uznał, że darowany poprzednio przybytek jest już za szczupły, podniósł swym kosztem gmach okazalszy i przed nim posąg największego nauką ziomka (Kopernika) umieścił. I ten mąż tak zasłużony i wielki spoczywa dotąd na Bielańskiej pustyni pod skromnym, z darni ojczystym pomnikiem.

„Z jakich prac zasłynęło Towarzystwo przyjaciół nauk w Warszawie, o tem poświadczą rozdrukowane roczniki. Rychło po zgonie Staszyca i po trzydziestoletniem istnieniu, spotkała toż Towarzystwo cierniowa korona. Niedosyć: spotkała jeszcze zniewaga. Lecz gdyby do niej była przyczyna, wyrok stałby się zbytecznym. Nikczemność a samobójstwo — to jedno.

„Towarzystwo naukowe krakowskie powstało i kształciło się na wzór i podobieństwo tamtego. Mądra rachuba złączyła je z uniwersytetem jagielońskim. Kraków już nie był stolicą. Mogłoż gdzie indziej istnieć inteligencyi więcej, jak w szkole głównej, która już wtedy cztery wieki bytu swego liczyła? Tu każdy rektor uniwersytetu był z prawa prezesem Towarzystwa naukowego, członkiem każdy professor. — Resztę promieni naukowych roztrzelonych po kraju snadno było sprowadzić do wspólnego ogniska, a gmachy untwersytetu, księgozbiór, muzea, drukarnia służyć mogły zarówno obu zakładom. I tak istniało toż Towarzystwo przez lat przeszło czterdzieści. Przed rokiem zapadło postanowienie wiecznego z uniwersytetem rozdziału, a ztąd potrzeba nowych statutów i urzędników, których wybory spełnione pod koniec roku zeszłego i potwierdzone następnie, dozwoliły nam stanąć w obliczu powszechności krajowej dziś po raz pierwszy w nowej postaci.“

Mowca, jak widzimy, skreślił tu w krótkości dzieje Towarzystwa, opierając je na tradycyi pochodzącej z czasów wielce smutnych, kiedy z wielowiekowej pracy narodu została tylko biała karta, bo nic a nic nie było, coby widomie reprezentowało jego życie, choćby cień życia, żadnego ogniska ani dla interesów materyalnych, ani moralnych — jednostki tylko w rozbiciu, bez świadomości wyraźnej celu, ledwo przeczuciem go odgadujące. — Gdyby pomysł Albertrandego tylko na tej ograniczył się zasłudze, że się zainteresowano dla czegoś co z nas samych płynęło, co dawało świadectwo że jesteśmy — byłby godzien czci potomnych, a cóż dopioro urzeczywistnienie go w nakazanym koniecznością momencie. Umiał też mowca wyrazić całą wdzięczność N. Panu i ministrom jego, że pozwolił na nowe ukonstytuowanie się Towarzystwa naukowego, które będąc od uniwersytetu oddzielonem, traci przez to wszystkie prerogatywy i dogodności materialne, jakie z połączenia tych dwóch ciał wypływały.

W tem położeniu zostawiającem Towarzystwo naukowe prawie na bruku, bo nawet

sale na posiedzenia, składy na bibliotekę, na museum są mu tylko z łaski udzielane i to do chwili, póki uniwersytet sam niezapotrzebuje ustąpionego przytułku — w tem położeniu jedna dla Towarzystwa otucha, że jeśli nie znajdzie się nowy jaki Staszyc coby znaczny kapitał włożył na zakupno domu, gdzieby się Towarzystwo pomieścić mogło, to mogą się znaleść liczni Staszyce przynoszący cząstkowe ofiary na ten cel obywatelski. Trzeba bowiem widzieć, że fundusze Towarzystwa składające się jedynie z skromnych opłat wnoszonych kwartalnie przez kilkudziesięciu członków czynnych, ledwo wystarczają na druk roczników i książek ściśle naukowych; niepodobna więc myśleć nawet, aby samo mogło się zdobyć nietylko na godny dla nauk przybytek, ale nawet na przyzwoity kącik, gdzieby się posiedzenia prywatne i publiczne odprawiać mogły.

Mowca wystawiwszy to położenie Towarzystwa naukowego, a przeczuwając, że głos jego nie będzie głosem na pustyni, taki zwrot uczynił do zgromadzonych licznych słuchaczy:

„Ale jest źródło niewyczerpane zasobów, które widzę tak jak na dłoni, w sercach zacnych współziomków. Z tego to źródła płyną wszelkie szlachetne natchnienia i czyny. Dacież li jedynemu już narodowemu Towarzystwu naukowemu zmarnieć w nieuchronnem tułactwie? Oto z tą myślą i tym statutem w ręku, który nam w artykule 45 dozwala przyjmować dary pieniężne — wyciągam do was rodacy sędziwą prawicę! Są już szlachetni męże, co się z chęcią ofiar zgłosiłi — te zapisałem w głębokiej pamięci. Krótki jest zakres urzędowania mojego; rok już poczęty, niebawem upłynie. Lecz jeśli przed jego ubiegiem ujrzę choć jeden promyk nadziei, że z czasem mieć będziem własny przytułek, jeśli błyśnie otucha, że podołamy pod jednym dachem złączyć się z dwoma siostrami, które się po tutejszych ulicach tułają, to jest z Towarzystwem rolniczem i sztuk pięknych, jeżeli dożyję chwili położenia węgielnego kamienia na wspólny dla trzech towarzystw przybytek, wtedy błogosławiąc dalszym usiłowaniom moich następców, złożę spokojnie głowę moję do grobu.“

Ani wątpić, że ta odezwa szanownego prezesa do serc współrodaków odniesie swój skutek; zawsze bowiem przedsięwzięcie użyteczne, cel szlachetny, znachodzi u nas poparcie w obywatelstwie. Przecież w oczach naszych groszem takich ofiar prywatnych powstają szkoły rolnicze, ochronki, domy przytułku, wznoszą się fabryczne zakłady, młodzież zdatna do malarstwa lub rzeźby, przemysłu i handlu, wysyłaną bywa za granicę słowem cała ta wyższa opieka tak nad niedolą ludzką, jak nad gospodarstwem narodowem, jak wreszcie nad tem co kwiatem cywilizacyi zowiemy, pozostaje zawsze w ręku wiernych tradycyonalnemu posłannictwu ziemian. Cokolwiek bądź ma stanąć dobrego, nie obejdzie się bez pomocy tej duchowej reprezentacyi, która swoją gotowością do ofiar i usług najlepsze daje świadectwo, że nic tak nieuszlachetnia jak szlachetne czyny. Dzielimy przeto niepłonną otuchę szanownego prezesa co do licznych darów pieniężnych na wystawienie domu dla Towarzystwa naukowego, pamiętając szczególniej z jaką łatwością większe nieraz summy składała hojność obywatelska, ilekroć odwołano się do serc w imieniu publicznego dobra.

Już nawet, jak słyszeliśmy, początek zrobiło kilka dostojnych osób, podpisując się na znaczne kwoty; za tym przykładem, choć i przykładu nie trzeba gdzie jest tak jasny cel, pójdą zapewnie liczne podpisy w kraju, tem bardziej, że jak się wyraził szanowny prezes, pragnąłby równie Towarzystwo rolnicze jak i sztuk pięknych pod jeden dach zgromadzić. Tylu członków i akcyonaryuszów biorących udział w tych towarzystwach, będzie miało tem większy interes przyczynić się do zapewnienia własnego kącika owym trzem zakładom tak czysto krajowym, a tak ubogo uposażonym.

W dalszym toku mowy szanowny prezes wspomniawszy w krótkości o ostatnich pracach Towarzystwa naukowego, o czem jego poprzednik już się był rozszerzył w swojem sprawozdaniu, wymienił świeżo przyjętych członków do grona towarzystwa; i tak czynnymi są: pp. Walery Wielogłowski, Maurycy Mann, ksiądz Zygmunt Golian, Zieleniewski Michał Dr. med., Józef Mączyński; członkowie zaś korrespondenci: Maurycy hr. Dzieduszycki, Włodzimierz hr. Dzieduszycki, Karol Szajnocha, Wiktor hr. Baworowski, Jan hr. Załuski, Szczęsny Morawski, Franciszek Karliński i ks. Jakub Radliński prof. przy mantuańskiem gimnazyum, który acz urodzony we Włoszech i nieumiejący nawet oj-

czystego języka, a jednak przez prace swoje pragnie łączyć się z Towarzystwem naukowem.

W dalszym ciągu swego zagajenia odwołał się szanowny prezez do życzliwych chęci N. Pana protegującego nauki i sztuki we wszystkich krajach berłu jego podległych, a nakoniec i do obecnego na posiedzeniu naczelnika naszej prowincyi JW. hrabiego Clam-Martinica, z którym zostając w bezpośrednich stosunkach mógł się przekonać o najszlachetniejszych chęciach i pomocy jakiej nieodmawia usiłowaniom naukowego grona — poczem tak rzecz swą zawiązał:

„Oto są mocne zasady, na których nasze spoczywają nadzieje. Reszta od nas samych zależy. Pracujmy tylko poczciwie a szczerze, nieoglądając się na płonne poklaski i na wszelkie przeszkody. Wyższe są od nich wszystkie stowarzyszenia uczonych. Dla nich potomność gotuje wieńce, których się muszą wyrzec za życia. Najtwardsze zboże w biegu jednego roku zejdzie, zakwitnie i wyda owoce. Lecz ziarno nauk wsiąka w umysły powoli, a czas jego najwyższy czynnik — cierpliwy. Dla tego powtórzę jeszcze: Pracujmy póki nam sił i wątku wystarczy, bo tylko codzienne zajęcie uwolni nas od długu zaciągniętego przy naszym wpisie w to bractwo nasze. O czem się pięknie Szyller wyraził: Nieznużone zatrudnienie stwarza powoli, lecz nic nieobala i codzień znosząc ku budowie świata ziarneczko piasku do ziarnek złożonych, a przecież z długiem czasów niezliczonych, wykreśla chwile, dnie, lata."

Następnie z kolei odczytał członek Lucyan Siemieński rzecz o *Janie Jędrzeju Morsztynie w. podskarbim koronnym i jego pismach,* w której to rozprawie przebiegając żywot tego poety i męża stanu grającego niepoślednią rolę pod czterma królami, zastanawiał się oraz nad duchem jego poetycznych utworów tak drukiem ogłoszonych jak zostających w rękopiśmie, przyczem okazał, że w r. 1844 wydane w Poznaniu poezye Zbigniewa Morsztyna, niesłusznie temu Zbigniewowi przypisane zostały, są bowiem niepodejrzanym płodem w. podskarbiego Jędrzeja.

Posiedzenie zamknięte zostało odczytaniem pięknego ustępu z *Wita Stosa* poematu napisanego przez czł. Tow. Wincentego Pola.

We dwa tygodnie później Prezes ogłosił następujący okólnik:

Komitet c. k. Towarzystwa Naukowego krakowskiego. — Gdy myśl rzucona na posiedzeniu publicznem Towarzystwa naszego w dniu ostatnim lutego b. r. pobudowania w Krakowie domu ku naszym pracom i celom, w sercach szlachetnych odbrzmiała; kiedy przychylna tej myśli władza rządowa w dniu 8 b. m. i roku przyzwolić raczyła na zbieranie darów pieniężnych, dla powołania do życia tej myśli; cóż nam zostaje, jak cały ten zamiar poddać niniejszą odezwą pod wiadomość i sąd publiczny.

Przodkowie nasi wznosili świątynie Pańskie i przybytki nauk, zamki, wieże i baszty. Upadły drugie, a pierwsze trwają po dziś dzień i jeszcze wieki przetrwają. Bo to co święte, świecić się musi, dopóki świeci to słońce widome na niebie i słońce wiary — oświaty. — Złóżcież grosz wdowi na ręce tego, który je do Was w dniu 28 lutego b. r. nie nadaremnie wyciągnął, lub na tych ręce, co mu dopomogą w tem dozwolonem żebractwie, a jeżeli skutek usiłowaniom naszym odpowie, dwa dzieła na raz spełnicie: Stanie przybytek dla nauk, stanie pomnik dla tych, co go swym kosztem i staraniem wznosili.

Dary pieniężne na ten cel składane przyjmować będą na mocy §. 45 statutu towarzystwa naszego, prezes Franciszek Wężyk, podskarbi ks. Adam Jakubowski rektor zgromadzenia ks. Pijarów, sekretarz Stefan Kuczyński prof. c. k. uniw. krak., członek czynny Towarzystwa: Walery Wielogłowski. Imiona składających dary pieniężne, jako dobroczyńców Towarzystwa, podane będą do wiadomości publicznej. —

Kraków, dnia 14 marca 1857.

Prezes Komitetu i Towarzystwa *Fr. Wężyk.*
Stefan Kuczyński, Sekr. Tow.

Trzeba mieć nadzieję iż kraj godnie powyższemu wezwaniu odpowie. Sam Prezes daje mu pierwszy piękny przykład. Ogłosił bowiem przedpłatę na swe pisma dramatyczne, zatrzymując tylko połowę dochodu na

koszta druku a przeznaczając resztę ku pomnożeniu składki na zakupienie domu dla Towarzystwa. Pisma rzeczone zaczną wychodzić w drugiej połowie bieżącego roku, będzie ośm poszytów, pierwsza połowa obejmie utwory dotąd nieznane, druga dawniejsze, ale od lat dwudziestu już nieznajdujące się w handlu księgarskim. Wszystkie poszyty złożą dwa spore tomy. Prenumerata ustanowioną została na 8 złotych reńskich. Prenumeratorowie odbierać będą poszyty na piękniejszym papierze, a w końcu wydania otrzymają poszyt dziewiąty bezpłatnie z innych pism autora. Towarzystwo też gorliwie się zajęło zbieraniem składek. Pierwsza, przez miesiąc marzec zebrana, przyniosła około 5000 zł. reńskich. Między datkującymi znajduje się naczelnik zachodniej Galicyi, hr. Clam Martinitz. Daleko to jeszcze do summy potrzebnej na zakupienie domu, który najmniej 50,000 zł. reńskich będzie kosztował. Towarzystwo jednak, ufne w patrjotyzm i szczodrobliwość rodaków, już nabyło plac na rogu Sławkowskiej ulicy, na którym zamierza począć budowę domu przed końcem maja. Objawiły się rozmaite zdania co do wyboru miejsca. Radzono wystawić okazały budynek na jakiem głównem i otwartem miejscu tak aby się stał zarazem i wygodą dla Towarzystwa i ozdobą dla miasta, twierdząc iż miasto nie odmówiłoby ku takiemu celowi ofiarować jednego z placów plantacyjnych jak np. za Nową Bramą. Ale to pomnożyłoby koszta w dwójnasób. Towarzystwo postanowiło więc trzymać się w skromniejszych granicach. Dom przecież ma być tak obszerny że obok Naukowego Towarzystwa pomieści jeszcze bióro i galerye Towarzystwa Sztuk pięknych, a nawet i Towarzystwa Gospodarczego. Tymczasem pojedyncze sekcye Towarzystwa i głównego swego celu, to jest nauki, nie zaniedbują. Oddział sztuk pięknych i archeologii odbył posiedzenie 18 marca, na którem postanowiono uczynić odezwę do publiczności zachęcającą do współudziału w pracach archeologicznych przez nadsyłanie wiadomości o rozproszonych po kraju zabytkach artystycznych i historycznych, mianowicie zaś o mogiłach, aby ich przeznaczenie zbadać, i wyjaśnić czyli mogiły w Galicyi mają podobieństwo i związek z mogiłami w innych częściach kraju. Jako przedmiot do rozbioru na posiedzenie następne oznaczono pytanie: czy istnieje sztuka polska i jakie są jej cechy? W dniu 1 kwietnia na sekcyi nauk moralnych, prezydujący prof. Muczkowski przedstawił treść i ważność rękopisu łacińskiego z r. 1502, dzieła królowej Elźbiety, małżonki Kazimierza Jagiellończyka pod napisem; *De Institutione Regii Pueri.* Było to pismo wystosowane do Władysława króla węgierskiego i czeskiego, i zawiera nader zajmujące ustępy pod względem obyczajów i dziejów narodowych.

KRONIKA ZDARZEŃ
W ŚWIECIE KATOLICKIM.

RZYM.

Nabożeństwa papiezkie.

Ojciec Śty przez cały post i w ciągu świąt wielkanocnych brał gorliwy udział we wszystkich zwykłych nabożeństwach. Co piątek bywało w Watykanie kazanie kaznodziei apostolskiego O. Luigi da Trento, co niedziela msza w kaplicy syxtyńskiej i kazanie jednego z prokuratorów rozmaitych zakonów po kolei. W niedzielę 22 marca poświęcił papież ze zwykłą uroczystością różę złotą. W dzień Zwiastowania Najświętszéj Panny kaplica papiezka miała jak zwykle miejsce u księży Dominikanów w kościele Minerwy. Nabożeństwo wielkotygodniowe rozpoczęło się w niedzielę palmową u Ś. Piotra. W dniu tym Ojciec święty błogosławił i rozdawał palmy a potem odbywszy processyą assystował mszy świętej śpiewanej przez kardynała Haulik arcybiskupa zagrzebskiego. Passyą wedle świętego Mateusza odśpiewali śpiewacy papiezcy. We wtorek było jeszcze kazanie O. Luigi da Trento w Watykanie. W wielką środę po południu odśpiewano w kaplicy syxtyńskiej w przytomności Ojca Śgo, kardynałów, biskupów i t. d. Mattutiny ciemności z lamentacyami Palestriny i Miserere Bainiego. W wielki czwartek Ojciec Śty był obecny mszy śtej w kaplicy syxtyńskiej i sam Najśw. Sakrament processyonalnie do kaplicy paolińskiej przeniósł (baldachin trzymali arcybiskupi i biskupi). Potém w samo południe z okna fasady Śgo Piotra udzielił błogosławieństwa ludowi na placu. Następnie mył nogi pielgrzymom u Śgo Piotra w kaplicy ŚŚ. Processa i Martiniana. W końcu w sali nad przysionkiem posługiwał pielgrzymom do stołu. Po południu znowu assystował śpiewaniu Mattutinów ciemności i psalmu Miserere (kompozytora Allegri) w kaplicy syxtyńskiej. W wielki piątek i ranne nabożeństwo i popołudniowy śpiew matuttinów tudzież Miserere odbyły się w obecności Ojca Ś. w tejże kaplicy. W wieczór zeszedł Ojciec Śty do kościoła Śgo Piotra by uczcić wielkie relikwie kaplicy Śtej Weroniki. W wielką sobotę assystował papież mszy śtej w kaplicy syxtyńskiej. W wielką niedzielę, sam mszą świętą u Śgo Piotra uroczyście odprawił. Assystowali Ojcu Śmu kardynał Mattei jako biskup, kard. Antonelli jako dyakon ministrujący. Ewangelią śpiewano po grecku i po łacinie. Po mszy znowu uczcił papież wielkie relikwie a następnie udzielił z okna uroczyste błogosławieństwo *urbi et orbi.* Wszystkie obrzędy odbyły się z wielką świetnością; oprócz kardynałów

miejscowych, tudzież kardynałów Haulik i Geissel widziano zawsze w bliskości Ojca Śgo znaczną liczbę biskupów mianowicie francuzkich, trybuna książąt krwi panującej ciągle była napełniona (zajmowali ją zwykle panujący król bawarski, królowa Marya Krystyna hiszpańska, książe Karol pruski, wielka księżna Olga i jej mąż następca tronu wirtemberskiego, tudzież liczna świta) a tłumy cudzoziemców snuły się wszędzie. Błogosławieństwo papiezkie *urbi et orbi* nadzwyczaj było uroczyste. Jasna pogoda świeciła na niebie choć przez dwa dni poprzednie deszcz co chwila padał, plac bliżej kościoła napełniony był ludem, dalej koło obelisku stało wojsko francuzkie i papiezkie w ściśniętych szeregach, nad kolumnadą od strony Watykanu błyszczały uniformy książąt, wojskowych, ciała dyplomatycznego, gwar i ruch panowały wszędzie. Dopiero gdy się pokazał Ojciec Śty w tyarze na krześle niesionem, wszystko padło na kolana a zrobiło się tak cicho że można było słowa śpiewanej modlitwy papiezkiej dobrze słyszeć. W poniedziałek świąteczny i we wtorek były jeszcze nabożeństwa w obecności papiezkiej w kaplicy syxtyńskiej. Zwykłą illuminacyą kopuły Śgo Piotra i faierwerk na Monte Pincio musiano odłożyć dla niepewnego czasu; (cudzoziemcy zaraz rozgłosili że się to stało albo przez grzeczność dla mającej przybyć cesarzowej rossyjskiej, albo z obawy ruchu rewolucyjnego), i jedno i drugie odbyło się w dniach 18 tudzież 19 kwietnia i doskonale się udało.

Położenie pierwszego kamienia kościoła Ś. Alexandra.

Wspomnieliśmy już w *Kronice* naszej o szczęśliwem odkryciu w r. 1854 katakumb Ś. Alexandra papieża, szóstego następcy Ś. Piotra. Wiedziano z martyrologium rzymskiego, że Ś. Alexander I umęczony za Trajana około r. 106 razem z kapłanem Eventiusem i dyakonem Theodulem, pochowany był wraz z Eventiusem blisko miejsca męczeństwa, przez matronę Sewerinę *in prædio suo* i to *Via Numentana septimo ab urbe lapide* aż do chwili w której Ś. Celestyn Papież ciała męczenników do kościoła św. Sabiny przeniósł (w wieku IV), wszelako żaden ślad miejsca tego na nagim obszarze kampanii rzymskiej nie wskazywał. Owoż uczony archeolog rzymski P. Guidi postanowił odszukać katakumbę Ś. Alexandra i szczęśliwem natchnieniem wiedziony, właśnie tam kazał kopać, gdzie się zaczynały schody marmurowe prowadzące do niej. Odkopano niebawem kaplicę z ołtarzem pośrodku, w rodzaju konfessyi; ołtarz ten przykryty jest płytem porfirowym a na marmurowej jakoby kracie przechowała się do dziś dnia znaczna część napisu. Czyta się wyraźnie: *et Alexandro Delicatus voto posuit*, co kawaler Visconti tak stosownie do rozmiarów tablicy uzupełnia: *Sanctis Eventio et Alexandro Delicatus voto posuit.* Znaleziono też nogi od katedry papiezkiej. Odkopana kaplica jest pod gołem niebem, ale z jej strony wschodniej idą ciasne korytarze katakumb podziemnych, które coraz dalej oczyszczają. Znajdują tam ciągle groby męczenników z napisami, z wyrzeźbionemi wieńcami i palmami, z naczyńkami w których była krew (takie naczynia zwą *pro Christo*), znajdują rozmaite przedmioty. Ojciec Ś. rozkazał aby wszystko pozostawało na miejscu i to właśnie katakumby Ś. Alexandra niesłychanie zajmującemi czyni. Na grobie jednej z męczenniczek czyta się imie Sophia, ale to nie owa matka trzech córek.

W tej tedy kaplicy Ś. Alexandra, Ojciec Ś. w dniu 16 kwietnia uroczyście położył pierwszy kamień kościoła, który ją całą przykryje tworząc kościół wierzchni nad podziemnym. Obok kościoła ma stanąć klasztor dla Trapistów francuzkich.

Owoż dnia 16 kwietnia udał się najprzód papież do bazyliki Św. Agnieszki i tam jako w dzień bliski drugiej rocznicy przypadku z którego

tak szczęśliwie i sam wyszedł i inni wyszli*), odprawił dziękczynną mszę świętą, i rozdawał kommunię wielu osobom. Później oglądał Ojciec Św. wyrestaurowaną ozdobnie bazylikę i budynki przyległe należące do kanoników lateraneńskich, które ciągle naprawiają.

Od Św. Agnieszki do katakumb Św. Alexandra jest jeszcze 5 mil włoskich, przeszło mila polska, okolicy po za rzeką Anio pustej prawie i nagiej. Przejechał ją szybko Ojciec Św. Kaplicę Św. Alexandra okryto namiotem i pięknie przystrojono, otaczało ją mnóstwo osób, najbardziej cudzoziemców. Ojca Św. przyjęli na wstępie kardynałowie Barnabo prefekt propagandy (katakumby są na gruncie folwarczku należącego do propagandy), Marini i Patrizi na czele komissyi archeologicznej.

Kamień węgielny położony został i poświęcony ze zwykłą uroczystością. Umieszczono przy nim skrzyneczkę bronzową a w niej medal umyślnie odbity z popiersiem Piusa IX z jednej strony i z takim napisem z drugiej: *Templi extruendi Beatis † Martyrib. Alexandro Papæ Eventio et Theodulo Presb. Pius IX Pont. Max. primum fundam. lapidem rite posuit XVI. Kal. Majas anno MDCCCLVII vet. oratorii reliq. nova exed. comprehen. ut loci antiquiss. religio staret.* Jest także w skrzyneczce pargamin z podpisem Ojca Ś. W osobnej puszce umieszczono opis ceremonii z podpisami kardynałów, prałatów i członków komissyi archeologicznej, znajdujących się na miejscu.

Po skończonym obrzędzie Pius IX zasiadł na owej starej katedrze papiezkiej w kaplicy i przemówił do uczniów Propagandy, biorąc text z Ewangelii na dzień ten przypadający. Mówił im, że jak Magdalena przy grobie Chrystusowym przejęła się cała miłością Jego, a potem uczniom o Zmartwychwstaniu doniosła, tak i oni przeznaczeni na missye apostolskie, powinni w miejscu napełnionem relikwiami męczenników i wyznawców zapalić się wielką gorliwością na walkę z indyfferentyzmem panującym na świecie. Serdeczną przemowę zakończyło udzielenie błogosławieństwa apostolskiego.

Pomiędzy osobami przytomnemi obrzędowi uważano księcia Karola pruskiego. Wszystkich i pamięć na miejsce święte i cały obrzęd mocno poruszyły.

Przy tej okoliczności rozdawano okólnik drukowany, w którym Śta Kongregacya Propagandy wzywa wszystkich patryarchów, arcybiskupów biskupów i wikaryuszów apostolskich, do składek na mający się wznieść kościół.

Kardynał Falconieri Sekretarzem Memoryałów.

Biletem Sekretaryatu Stanu, Ojciec Św. raczył mianować Jego Em. kardynała Falconieri Sekretarzem Memoryałów. Rzeczony kardynał zatrzyma mimo tego arcybiskupstwo Rawenny.

Kardynał Morichini protektorem Szpitala w Jesi.

Takimże biletem mianował łaskawie Ojciec Św. Jego Eminencyą kardynała Morichini protektorem Szpitala Miłosierdzia i dobroczynnych zakładów ufundowanych w dyecezyi Jesi przez kawalera Spontini (sławnego kompozytora muzyki zmarłego przed kilku laty, rodem z Majolati w dyecezyi Jesi).

Odwiedziny Ojca Ś. w biórze Civilta cattolica.

Niewspomnieliśmy jeszcze o odwiedzinach papiezkich w nowym lokalu

*) Wszyscy pewnie pamiętają że dnia 12 kwietnia 1855 r. Ojciec Św. wracając od świeżo wówczas odkrytych katakumb Św. Alexandra, zatrzymał się u Św. Agnieszki i że się tam zapadła z całem a licznem jego towarzystwem podłoga sali na pierwszem piętrze położonej.

pisma *Civilta cattolica* w domu *dei convertandi*. W dniu 19 lutego O. Curci, przełożony Jezuitów trudniących się redakcyą a tworzących osobne kółko, zaniósł Ojcu Ś. nowy numer swojej publikacyi. Ojciec Ś. łaskawie przyjął poszyt i obiecał, że wkrótce zakład odwiedzi. Owoż niespodzianie tego samego dnia przybył. Chciał widzieć papież odbijanie pisma, a że to był karnawał, z biedą znaleziono dwóch drukarczyków. Papież przypatrywał się z zajęciem robocie drukarskiej i zabawił się bystrością małego drukarczyka, który mu powiedział: „Jestem z parafii Waszej Świą„tobliwości, należę do Watykanu, mój ojciec służy w gwardyi Szwajcarskiej.“

Restauracya lóż Watykańskich.

Wszyscy znają wspaniały krużganek lóż (loggie) watykańskich ozdobionych malowidłami Rafaela, Giulia Romana, Pierina del Vaga i Giovanni di Udine, ale mało kto dotąd uważał na loże poprzecznej galeryi o jedenastu arkadach, ciągnącej się zaraz za lożami Rafaela od podwoi sali Klementyńskiej do podwoi sali Konstantyna. W lożach tych ozdobionych na rozkaz Grzegorza XIII, Marco da Faenza odmalował rzeź niewiniątek, ucieczkę Pana Jezusa do Egiptu, Chrystusa z doktorami w kościele i predykacyą Jana Chrzciciela; Ottaviano Mascherini, gody kananejskie, Chrystusa w łodzi, Chrystusa i synów Zebedeuszowych: Chrystusa uzdrawiającego chorą; Jakób Palma młodszy uczeń Tyciana: Chrystusa uzdrawiającego sługę setnika, Chrystusa wskrzeszającego syna wdowy z Naim, Chrystusa gromiącego Faryzeuszów i Chrystusa na puszczy; Giacomo Semenza: Chrystusa rozkazującego Piotrowi zapłacić podatek, matkę Zebedeuszów przedstawiających synów Chrystusowi, uzdrowienie trędowatego i Chrystusa wskazującego na dziecko kiedy mówi że trzeba być równie niewinnym aby wejść do nieba; Paride Nogari, Raffaellino da Reggio i inni dziś już nieznani artyści inne chwile z życia Zbawiciela zawsze po cztery przedmioty w każdej loży. Owoż malowidła te i wszystkie ozdoby były znacznie nadpsute w niektórych miejscach, kiedy w innych już i śladu po nich nie zostawało. Uderzony tem Ojciec S. kazał wyrestaurować całą galeryę malarzowi Alessandro Mantovani. Dziś błyszczy ona złoceniem i stiukami, świeci jasnemi kolorami. Na początku Wielkiego tygodnia oglądał papież świeżo ukończone roboty i zadowolnienie swoje p. Mantovani oświadczył.

Pozwolenie księżom i korporacyom religijnym branie akcyi na drogi żelazne w kraju.

Umysły mieszkańców państwa rzymskiego mocno są zajęte kolejami żelaznemi z Civita Vecchia do Rzymu, z Rzymu do granicy neapolitańskiej i z Rzymu na Ankonę i Bononią do Ferrary, ile że roboty pierwszej już znacznie posunięto, drugiej dokonano w małej części (do Frascati) a trzeciej niedługo się rozpoczną. Owoż duchowni, korporacye religijne i administracye zakładów dobroczynnych chcąc się przyłożyć do przedsięwzięć tak ważnych dla kraju, jęły prosić Ojca Ś. o pozwolenie brania akcyi. Przychylając się do tego życzenia Ojciec Ś. upoważnił do tego księży świeckich i zakony także administracye zakładów dobroczynnych, do podpisywania się na akcye, z tem jednakże zastrzeżeniem, że pierwsi tylko z dochodów swoich własnych lub z dochodów beneficiów swoich, drudzy zaś tylko z przewyżki czystego dochodu akcye nabywać mogą. Że rozeszło się po gazetach obcych jakoby minister robót publicznych okólnik do duchowieństwa z wezwaniem do podpisywania się na akcye rozesłał, *Giornale di Roma*, pismo urzędowe, ogłosiło stanowcze zaprzeczenie. Minister wydał jeno okólnik do prezydentów pojedyńczych prowincyi zgoła o duchowieństwie nie wspominając. W tej chwili *Giornale di Roma* ogłasza

długie listy subskryptorów na akcye: na czele był zapisany Ojciec święty i wielu kardynałów. Klasztory dotąd mało się podpisują.

Biskupi francuzcy w Rzymie.

W roku bieżącym biskupi francuzcy nadzwyczaj licznie ad limina apostolorum przybywają. W czasie świąt Wielkanocnych oprócz biskupów Baillès i Luquet bawiących ciągle na miejscu i oprócz biskupów missyonarzy widziano w Rzymie biskupów z Meaux (Allou), z Evreux (Bonnechose), z Tarbes (Laurence) i z Sées; inni są zapowiedziani. Niektórzy z tych biskupów przyjechali z powodu iż zaprowadzają u siebie liturgię rzymską. Wielu z nich przemawiało u św. Ludwika, mianowicie do żołnierzy. Ojciec Ś. doskonale ich przyjmuje i mianował każdego assystującym przy tronie. Biskupi z Saissons (Garsignies) i z Nancy (Menjaud), ten jest pierwszym jałmużnikiem cesarza, wychejali przed samą Wielkanocą.

Nowy poseł hiszpański.

Przybył wreszcie do Rzymu dawno zapowiedziany poseł hiszpański Don Alexander Mon i w dniu 4 kwietnia na solennej audyencyi listy swoje wierzytelne Ojcu Ś. złożył. Po audyencyi wedle zwyczaju zeszedł do bazyliki śś. Piotra i Pawła by uczcić ich relikwie. Spodziewają się wszyscy że p. Mon, znany z roztropności człowiek, zdoła usunąć wszystkie trudności i dobre a regularne stosunki między Hiszpanią a Stolicą apostolską rychło przywróci.

Wielki post w Rzymie.

Nigdy bardziej nieznać że Rzym jest stolicą świata katolickiego jak w czasie wielkiego postu. Katolicy wtedy znajdują tyle środków pomagających do podniesienia się z grzechu, do zagrzania się w pobożności, oświecenia się i zbudowania, że trzeba wielkiej zatwardziałości, wielkiego zaślepienia żeby owocu naprawy nie osięgnąć. Rzym przez cały post przybiera odrębną, wyłącznie religijną fizyonomię. We wszystkich znaczniejszych kościołach codzień są kazania; stacye odbywają się z kolei po świętych miejscach, w bazylikach, u grobów męczenników, przy relikwiach wyznawców; mnożą się nowenny; domy rekollekcyi otwierają ciągle wrota swe dla pobożnych lub pokutników; wszystko do troskliwości o zbawienie pobudza. W tym roku z kaznodziejów najwięcej robił wrażenia O. Franco u OO. Jezuitów al Gesù. Prostota sposobu przy gorącem przejęciu i dojrzałość myśli przy świeżym kształcie zewnętrznym cechują wymowę tego zakonnika. Słuchano go też chętnie i kościół codzień był pełny. Na pospólstwie jak zwykle najwięcej robiły wrażenia krótkie gorące przemowy po ulicach (fervorini) zakonników *krwi przenajświętszej*, nowej kongregacyi wielebnego Buffalo. Rekollekcye odbywano w San Eusebio u OO. Jezuitów, na Monte Citorio u Lazarystów, w klasztorze ŚŚ. Jana i Pawła u Passyonistów, przy Ponte Rotto (zakład to głównie dla wojskowych armii papiezkiej przeznaczony), u pań Serca Jezusowego i w innych klasztorach żeńskich. Nowenny głośniejsze miały miejsce: na początku marca al Gesù (novenna della Grazia w rocznicę kanonizacyi św. Franciszka Xawerego z wystawieniem jego ramienia na pamiątkę przywrócenia do życia w r. 1663 za przyczyną świętego O. Marcella Mastrilli Jezuity neapolitańskiego i udzielonego mu rozkazu zaprowadzenia tej nowenny; O Mastrilli poniósł potém śmierć męczeńską w Japonii), — nowenna Św. Tomasza z Akwinu w Minerwie, nowenna Św. Józefa w wielu kościołach między innemi u Św. Klaudyusza, i t. d. W czasie postu wypadło kilka świąt znaczniejszych jak święta Św. Tomasza z Akwinu, Św. Franciszki rzymskiej, Św. Patryka, Św. Józefa, Św. Franciszka a Paulo, Św. Balbiny

i t. d. które wszystkie we właściwych kościołach uroczyście święcono. W tygodniu passyjnym odbywało się nabożeństwo N. Panny bolesnej w kościele Santa Maria in Via, wieczorne nabożeństwo w Chiesa nuova u Filipinów z przemowami małych chłopczyków i t. d. Ale najliczniejsze nabożeństwa miały miejsce w Wielkim Tygodniu; wszystkie kościoły tak były uczęszczane że się nieraz dziwić przychodziło zkąd się bierze tyle ludzi kiedy już u Św. Piotra i w kaplicy Syxtyńskiej także się tłumy zbierają. Budujący obrzęd mycia nóg pielgrzymom w Trinita dei Pellegrini, obrzęd którego dopełniają osoby wysoko położone, ściągnął wiele gości, między innemi książąt z rodzin królewskich obecnych w Rzymie. W wielki piątek było kilka nabożeństw z doskonałą muzyką, exekwowano siedm słów, Stabat Mater i t. d., ale jeźli wykonanie nie pozostawiało do życzenia, wybór kompozycyi źle świadczył o smaku publiczności. W tej mierze wiele jest do zrobienia, pomimo że już okólnik kardynała Wikarego z 18 listopada 1856 r. znaczną reformę zaprowadził. Jeszcze nie zaraz ludzie pobożni zasmakują na nowo w surowej powadze śpiewu gregoryańskiego. W wielką sobotę rezurrekcya ormiańska odbyła się w jednym z kościołów placu del popolo przy wjeździe na Corso. Pomimo deszczu kościół był pełny. Te kilka szczegółów bardzo niedostatecznie wielki post tegoroczny w Rzymie odmalują, ale wystarczą żeby pokazać że nigdzie na świecie święty ten czas lepiej i skuteczniej nie bywa obchodzony.

Obrzęd objęcia kościoła S. S. Quirico e Giulitta przez kardynała Haulik.

W poniedziałek Wielkanocny Jego Em. kardynał Haulik objął solennie tytuł prezbiteryalny ŚŚ. Quirico i Giulitta naznaczony mu przez Ojca Św. Przyjmował go jenerał OO. Dominikanów, gdyż kościół jest w posiadaniu tego zakonu. Były wzajemne przemowy i odśpiewano Te Deum.

Kardynał Geissel w parę dni później tytuł prezbiteryalny San Lorenzo in Pan e Perna objął.

Oba ci kardynałowie mają wkrótce Rzym opuścić.

Missye w Agro romano.

Od r. 1855 odbywają się za natchnieniem Ojca Św. a za staraniem kardynała Wikarego missye w kampanii rzymskiej, tam właśnie gdzie niezdrowe powietrze niepozwala osiedlać się stale. Co niedziela jeżdżą z Rzymu we wszystkie owe strony księża którzy odprawiają mszę świętą, słuchają spowiedzi, nauczają katechizmu i t. d. Osobna komissya zajmuje się tą rzeczą, a pojedyńcze kaplice obsługują OO. Passyoniści, Jezuici, zakonnicy krwi przenajświętszej, Dominikanie, Redemptoryści, Lazaryści i niektórzy księża świeccy. Tak ludność koczująca pasterzy nie jest pozbawiona wszelkiej religijnej pomocy.

Pomnik Tassa.

Donieśliśmy w swoim czasie że zebrano we Włoszech składkę na pomnik autora *Jerozolimy Wyzwolonej*, którego kości dotąd pod prostym kamieniem w San Onofrio spoczywały. Jak wiadomo Tasso umarł w klasztorze Hieronimitanów przy kościele San Onofrio. Że składka pokazała się niewystarczająca, Ojciec Św. ze swojej kieszeni co potrzeba dołożył. Pomnik z białego marmuru wykonał snycerz de Fabris a że grób znajduje się w ciasnym i ciemnym narożniku kościoła, rozkazał papież aby kaplicę powiększyć i ozdobienie tej kaplicy malarzowi Balbi powierzył. Roboty już są znacznie posunięte.

Kazania i bierzmowania u Św. Klaudyusza.

Do końca kwietnia nieustały niedzielne kazania polskie w kościele Św. Klaudyusza. Miewali je na przemiany OO. Kajsiewicz i Semeneńko a publiczność polska licznie się zbierała. Pod koniec tego czasu zrobiły wielkie wrażenie dwa kazania O. Semeneńki o działaniu szatana na świecie i o niebezpieczeństwie zakazanych przez kościół prób ze stołami, także o nagannej ciekawości tych co się ubiegają za widzeniem dziwów przez indywidua zwane medium pokazywanych.

W wielką środę bierzmował u Św. Klaudyusza kardynał Reisach i przy tej sposobności ujmująco po francuzku przemówił.

Oddanie księżom polskim klasztoru Monterella.

Pierwszych dni kwietnia kardynał Roberti oddał za upoważnieniem Ojca Św. księżom Zmartwychwstańcom kościół i klasztor Św. Eustachego zwany Monterella, położony o milę polską za Tivoli w górach. Jest to miejsce bardzo święte, historyą jego napisał sławny O. Atanazy Kircher, którego serce spoczywa w kościele. Dotąd co roku OO. Jezuici odbywali na jesień missyę w Montorelli. Podamy później szczegóły o kościele i klasztorze wedle dzieła O. Kirchera.

Odkopaliska w Rzymie i Ostyi.

Mówiliśmy już wyżej o nieustających robotach w katakumbach Św. Alexandra, pracują także bez ustanku w katakumbach Św. Kalixta i odkryto tam w ostatnich czasach dwa doskonale zachowane sarkofagi blisko krypty papieża Św. Euzebiusza. Sarkofagi są z marmuru, zdobią je płaskorzeźby. Domyślają się że sięgają one nie dalej jak IV wiek, kiedy Chrześcianie z nabożeństwa przy świętych miejscach grzebać się dawali. Rzeczywiście w czasach prześladowania nie stawiano pięknych nagrobków, tylko składano ciała w jamach (loculi) wykutych w ścianach katakumb.

Niedawno kawaler Visconti ogłosił zdanie sprawy o robotach przedsiębranych w Ostyi by miasto stare i dawny port Ankusa Martiusa odkopać. Znaleziono tam wiele medalów i rozmaitych naczyń, także ułamków rzeźb. Drogę z Ostyi do Rzymu odkopano na dość znacznej przestrzeni, z dwóch jej stron wznoszą się grobowce; odkopano także bramę miasta, silną budowę z trawertynu i plac z którego rozchodzą się ulice. Odszukują teraz głównego akweduktu.

Śmierć Elżbiety Sanna.

Rzym przyciąga do siebie wybrane dusze, to też w Rzymie zawsze prawie znajdują się osoby tak doskonale pobożne i umartwione że je już za życia prawdziwy urok świętości otacza. Do tego rzędu należała Elżbieta Sanna, która 17 lutego P. Bogu ducha oddała. Życie jej nie było głośne, ale jakże chrześciańskiemi cnotami ozdobione, jak pełne niepożytej zasługi! Pochodziła z wyspy Sardynii gdzie rodzice jej liczyli się do ludzi zamożnych i mając lat piętnaście przez posłuszeństwo matce i idąc za zdaniem spowiednika poszła za mąż; żyła z mężem wzorowo przez lat czternaście a dała mu siedmioro dzieci z których troje się wychowało; po śmierci męża zleciwszy opiekę nad dziećmi krewnym i zostawiwszy im cały majątek, udała się w r. 1831 do Rzymu. Tu zaczął się dla niej zawód doskonałości ewangelicznej. Osiadła w małej izdebce blisko zakrystyi Watykanu i żyjąc w największem ubóstwie cała się poświęciła nabożeństwu i dobrym uczynkom. Co rano szła do kościoła S. Piotra i tam aż do południa na modlitwie trwała. Do stołu pańskiego przystępowała codzień. Często chora, największą w chorobach pokazywała cierpliwość. Żyła z jał-

mużn o które nie prosiła, ale które jej opatrzność boska zsyłała, temi jałmużnami dzieliła się z ubogiemi. Wielu ludzi uznawało ją za świętą i po rady się do niej lub modlitwy uciekało, ale ona się miała za wielką grzesznicę i unikała głośności. Ją raczej cieszyły pogarda i prześladowanie. Celowała roztropnością, pokorą i cierpliwością, ubóstwo a umartwienie doskonale praktykowała. Zrazu chodziła boso, ale jej potém spowiednik kazał wziąść trzewiki. Miała za spowiednika wielebnego Vincentego Pallotti, którego proces beatyfikacyjny już rozpoczęty, aż do jego śmierci to jest do r. 1850. Śmierć swoją na kilka miesięcy naprzód zapowiedziała. Należała do wspólności modlitw z wielu zakonami wpisana była mianowicie między tercyarki Śgo Franciszka i ubiór tercyarki aż do zgonu nosiła. Zgasła spokojnie opatrzona wszystkiemi Sakramentami, budując do końca tych co ją nawiedzali. Skoro umarła, rzucili się ludzie ciało jej oglądać i modlić się przy zwłokach. Wszyscy w jej rysach wyraz anielskiej słodyczy i spokojności podziwiali. Wedle życzenia zmarłej a za pozwoleniem Ojca Śgo, pochowano ją w kościele del SS. Salvatore in Onda w którym wielebny Wincenty Pallotti spoczywa. Złożono ciało Elżbiety przed ołtarzem SS. Kozmy i Damiana i zawieszono obok ołtarza obraz N. Panny który miała w swojej izdebce. Grób odwiedzają tłumnie pobożni, a lud zmarłej nie mieni inaczej jeno świętą (la beata).

Księżna Ludwika Karlotta Saska.

Wspomnieliśmy już o śmierci księżnej Ludwiki Karlotty Saskiej, która zaszła w Rzymie 18 marca. Teraz udzielimy nieco wiadomości o zmarłej. Ludwika Karlotta de Bourbon infantka hiszpańska, była córką Ludwika króla Etruryi i Maryi Ludwiki hiszpańskiej córki Karola IV. Przyszła na świat na morzu w r. 1802. Wychowała ją pobożnie matka przy której pozostała kiedy cesarz Napoleon pozbawił tronu jej rodzinę. Od r. 1811 do r. 1814 młoda księżniczka mieszkała z matką w Rzymie, w klasztorze Dominikanek u SS. Dominika i Syxtusa na Kwirynale. Gdy po upadku Napoleona jej brat został księciem łukieskim przeniosła się z matką do Lucca. Wydana za mąż za księcia Maxymiliana saskiego była dlań dobrą żoną. Powiadają że się przyczyniła do nakłonienia go aby zrzekł się praw do korony na rzecz synowca. Gdy w r. 1838 książe Maxymilian zszedł z tego świata, wdowa wróciła do Lucca. We Włoszech poszła za mąż za komandora de Rossi a skoro ten umarł w r. 1854 z cholery w Wenecyi, raz jeszcze zawarła związki małżeńskie z hr. Vimercati z Medyolanu. Zwykle mieszkała w Rzymie. Pobożnością i dobroczynnością odznaczała się bardzo, odwiedzała chętnie chorych a dziewczynek w kościołach SS. Apostołów i S. Wita sama uczyła katechizmu. Co miesiąc jeśli jej choroba nie przeszkodziła, odprawiała dzień rekollekcyi u Pań Serca Jezusowego. Do Serca Jezusowego była bardzo nabożna, uczyniła nawet fundacyę na uroczyste święcenie tego święta w kościele del Gesù. Testamentem nakazała żeby ją pochowano bez żadnej pompy w kościele Śgo Karola ai Catinari. Zakazała karawanu, rozporządziła by trumnę na noszach zaniesiono. W kościele zabroniła muzyki; napisała w tej mierze: *in chiesa proibisco la musica, voglio solo canto fermo.* Gdy otworzono testament przy mężu i przy posłach Hiszpanii, Saxonii, Neapolu i Parmy, wszczęła się dyskussya czy usłuchać tej woli zmarłej. Że zdania były podzielone, odwołano się do Ojca Śgo a ten kazał by się stało jak chciała. Pogrzebowi towarzyszyli tylko Kapucyni i Arcybractwo Śmierci, ale tłum ubogich szedł za trumną, szły także dziewczynki z zakładu Opatrzności OO. Barnabitów, którym się księżna opiekowała, zaś z okien rzucano kwiaty co jest rzeczą niezwykłą. W tydzień po śmierci Arcybractwo dell' Orazione e Morte do którego zmarła należała, wypra-

wiło solenne exekwie w swoim kościele. Majątek swój zostawiła księżna jako fideikomis mężowi, który z powodu że się powszechnie rozeszło iż zapisane jest wszystko OO. Jezuitom, uznał za potrzebne oświadczyć w obec ambasadorów przy otwarciu testamentu, iż tak nie jest.

Ułaskawienia księdza Marcocci.

Ksiądz Mikołaj Marcocci kanonik z Frosinone skompromitowany w latach 1848 i 1849, udał się był do Ameryki. W Ameryce sprawował się przykładnie i w niczem charakteru kapłańskiego nienaraził. Pod koniec zeszłego roku Ojciec Śty udzielił mu ułaskawienia za pośrednictwem nuncyatury w Paryżu, pozwalając mu zarazem miejsce kanonika na powrót objąć. Kazał jeszcze papież aby mu całą zaległą pensyą wypłacono. Kanonik Marcocci wrócił już do państwa papiezkiego i łaskę papiezką odzyskał. Ojciec Sty poradził mu tylko aby dwumiesięczne rekollekcye u Lazarystów odprawił. W ogóle ułaskawienia ciągle jedne po drugich następują. Papież zawsze jest do nich skory i tylko w obec zaciętości fanatyzmu politycznego wstrzymywać się musi.

Zakon Barnabitów.

Wspomnieliśmy że Ojciec Śty ogłosił dekret o cnotach bohaterskich wielebnego O. Bianchi Barnabity. Teraz nadmienimy nieco o zakonie Barnabitów. Klerycy regularni Śgo Pawła nazwani Barnabitami od kościoła Ś. Barnaby towarzysza Śgo Pawła, przy którym zrazu osiedli, założeni zostali r. 1533 w Medyolanie przez wielebnego Antoniego Zaccaria za upoważnieniem Klemensa VII. Wielebny O. Zaccaria wiele zrobił dla reformy duchowieństwa w Lombardyi, to też Śty Karol Boromeusz kochał jego zgromadzenie i bardzo się niem opiekował. Sprawa beatyfikacyi wielebnego O. Zaccaria także się ma ku końcowi. Już w r. 1849 w Gaecie Ojciec Śty wyrok o cnotach bohatérskich tego sługi bożego wydał. W całych Włoszech napotyka się liczne klasztory Barnabitów. W Rzymie mają oni parafią i kościół Sgo Karola in Catinari, wybudowany przez nich na placu który im Grzegorz XIII nadał. Barnabici uważają Śgo Karola jako jednego ze swoich patronów.

Okólnik ks. biskupa z Enos.

Podaliśmy w ostatnim numerze kroniki, wyjątki okólnika ks. Guillemin apostolskiego z Kantonu, teraz podajemy wyjątki z okólnika ks. Bataillon wikaryusza apostolskiego Oceanii środkowej, biskupa z Enos.

„Lat temu dwadzieścia, pisze ks. Bataillon, Ojciec Chanel i ja przy„byliśmy do wysp Oceanii środkowej, które do owej epoki niemiały pra„wie stosunków z ludami oświeconemi. Wysadzono jednego z nas na wy„spę Wallis, drugiego na wyspę Futuna odległe jedna od drugiej o 40 lieues. „Za długo byłoby opowiadać o niebezpieczeństwach, niedostatkach, próbach „wszelkiego rodzaju któreśmy wytrzymać musieli. Towarzysz mój przy„płacił życiem. W trzy lata zamordowali go mieszkańcy wyspy Futuna „z nienawiści religii zaczynającej się tam rozpowszechniać. Myśleli oni „że w ten sposób wstrzymają postęp religii, boć nie wiedzieli że krew mę„czeńska to nasienie Chrześcian. Niedługo potém nawróciła się cała wy„spa na głos kilku neofytów których przysłałem z Wallis. Tak towa„rzysz mój śmiercią swoją uzyskał to czego niemógł otrzymać za życia „pracą usilną. Mniej szczęśliwy od niego niedostąpiłem dotąd korony mę„czeńskiej, ale tak jak on uzyskałem nawrócenie całej mojej wyspy. W sześć „lat mieszkańcy wysp Wallis i Futuna byli wszyscy ochrzczeni i odtąd „nowi ci Chrześcianie wszystkie praktyki religijne w budujący sposób cho„wają.

„Po dokonanem nawróceniu obu wysp Stolica Apostolska ustanowiła „wikaryat Oceanii środkowej i mnie ów ciężar nałożyła. Jakież to obszerne „pole! Missyę Oceanii środkowej tworzy około dwustu wysp, rozrzuconych „na przestrzeni 500 lieues, z ludnością 300,000 mieszkańców. Wallis i Fu„tuna położone w środku były już nawrócone; z tem wszystkiem w około „wielkie archipelagi Przyjaciół, Żeglarzy i Viti trwały w ciemnościach po„gaństwa albo przyjmowały herezyą której wysłańcy poprzedzili nas na „nieszczęście. Z wielką nam biedą przyszło, dostać się na wyspy tych „archipelagów i utrzymać się na nich. Długo musieliśmy walczyć przeciw „zabiegom i potwarzom ministrów błędu. Dziś przecież mamy tę pociechę „że walka skończona prawie. Liczymy obecnie znaczną liczbę neofytów „na wyspach głównych, wybudowano tam kilkanaście kościołów i wszystko „zapowiada missyi naszej szybkie a pomyślne rozwinięcie. Uznaliśmy więc „za rzecz potrzebną wrócić do Europy, raz aby u stóp Ojca św. życzenia „nasze i nadzieje złożyć, powtóre aby się postarać o robotników i środki „któreby nowym potrzebom odpowiedziały.

„Nie przyszło nam łatwo rozstać się z naszymi kochanymi neofytami. „Nie mogąc nas zatrzymać, wszyscy chcieli jechać. Biskupie, przekładali „nam w prostej swojej mowie, czemuż to wyspa nasza nie może się zmie„nić w wielki okręt, któryby nas wszystkich z sobą zabrał. Przynajmniej „weź z sobą serca nasze. Złóż wielkiemu naczelnikowi religii uczucia na„sze miłości i uszanowania. Powiedz braciom naszym w Europie że ich „bardzo kochamy, powiedz im także że im zazdrościmy, nie pięknego kraju „i pięknych rzeczy o których słyszeliśmy — myśmy zadowolnieni z naszej „małej wyspy, z naszych chatek i z naszych ubiorów z liścia — ale do„brodziejstwa wiary, której jeszcze wielu z naszych jest pozbawionych „i tylu środków zbawienia w które obfitują oni a których brak tutaj. Niech „więc nam ustąpią missyonarzy, niech nam przyszlą rzeczy potrzebnych „do odprawiania nabożeństwa, mianowicie obrazów do kościołów naszych. „Niech się też modlą za nas.“

Dalej wspomina ks. Bataillon że już był we Francyi i że tam niemało uzyskał. Kończy wezwaniem i prośbą o obrazy.

Okólnik nosi datę 19 marca.

Wyświęcenie ks. Amanton na biskupa.

W niedzielę 29 marca kardynał Villecourt wyświęcił w kościele dominikańskim św. Sabiny na Awentynie księdza Henryka Amanton Dominikana mianowanego biskupem Arcadiopolis *in part. inf.* Assystowali Jego Eminencyi w obrzędzie monsignor Bedini arcybiskup Teb sekretarz Propagandy i mons. Trioche arcybiskup Babilonu. W kościele znajdowało się wiele znakomitych osób.

Ksiądz Amanton czyli jak go także piszą Amenton obejmuje dyecezyę Ispahanu w Persyi i administracyę dyecezyi Babilonu, zarazem delegacyą Persyi i Armenii. Rezydencyą mieć będzie w Mossul nad Tygrysem.

O. Amenton jest Francuz, pochodzi z okolic Auxonne; urodził się w roku 1823, na księdza wyświęcony został w roku 1847, szluby zakonne złożył w roku 1850 w klasztorze Flavigny. Wybrany przeorem św. Sabiny w roku 1852 posłany został do Konstantynopola gdzie wielkie zakonowi oddał usługi. W ostatnich czasach był przeorem w Paryżu.

Po młodym tym i pełnym gorliwości a dziwnie roztropnym biskupie wszyscy się wiele spodziewają.

Ksiądz Trioche arcybiskup Babilonu pozostaje w Rzymie.

Szpital z zapisu księcia Doria.

Książe Karol Doria zostawił 72000 skudów na szpital chorób chro-

nicznych, pod warunkiem że połowa dochodu już teraz na ten cel obrócona zostanie, a druga połowa będzie kapitalizowana, dopóki kapitał nie dojdzie 100,000 skudów (900,000 złp.). — Pierwszy kamień szpitala położył O. Etienne przełożony jeneralny Lazarystów. Zarząd szpitala obejmą siostry miłosierdzia. Będzie ich zrazu sześć.

Doroczny obchód cudownego zdarzenia w rodzinie Massimi.

Dnia 16 marca obchodzono jak zwykle w pałacu książąt Massimi rocznicę cudu jaki się w tej rodzinie r. 1854 wydarzył. W dzień ów Paolo Massimo czternastoletni młodzieniec umierał otoczony rodziną a umierając prosił by posłano po Filipa Nereusza, który mu był obiecał pomoc duchowną w ostatniej chwili. Wyprawiono co prędzej sługę po O. Filipa, ale święty właśnie mszę odprawiał. Gdy skończył, przyszedł, lecz już Paolo był umarł. O. Filip ukląkł przy łóżku i zaczął się modlić, pokropił potem ciało i zawołał kilka razy z mocnem przejęciem: „Paolo! Paolo!“ Na ten głos podniósł się młodzian. „Czy chcesz umrzeć, czy chcesz żyć“ spytał go święty. „Zajrzałem w niebie matki i siostry, odrzekł Paolo, „wolę umrzeć“ i padł napowrót na łóżko.

Pokój gdzie się cud wydarzył, zamieniony został w kaplicę, którą co roku 16 marca otwierają dla wszystkich. W dzień ten portyk strojny jest w draperye, schody posypane zielonością a pokoje pełne kwiatów.

Cud tak niedawny, zaświadczony tylu poważnemi świadectwami żywo przemawia do serc pobożnych.

W tym roku kardynałowie i biskupi odmawiali mszę u ołtarza kaplicy, a między odwiedzającymi widziano króla bawarskiego i królową Krystynę.

Święto świętej Franciszki Rzymskiej.

Święto św. Franciszki Rzymskiej obchodzone bywa solennie i w kościele Santa Maria Nova na forum, u Oliwetanów, gdzie leży jej ciało i w klasztorze jej córek duchownych Oblatek na Tor dei Specchi, gdzie izdebka świętej wdowy, pełna sprzętów których używała. Przez całą oktawę można odwiedzać kaplicę i klasztor Oblatek. Między Oblatkami są osoby z najpierwszych rodzin rzymskich. W Ameryce w Baltimore istnieje od r. 1825 dom Oblatek złożony z samych kobiet czarnych.

Córki krzyża w Rzymie.

Kongregacya francuzka *córek krzyża* (les filles de la Croix) czyli Sióstr Św. Andrzeja, trudniąca się wychowywaniem ubogich dziewcząt i pielęgnowaniem chorych, założona została przed laty pięćdziesięciu przez księdza Andrzeja Huberta Fournet duchownego z dyecezyi Poitiers i przez Joannę des Ages w zakonie siostrę Sainte-Elisabeth. Główne siedlisko jest zawsze w dyecezyi Poitiers. Obecnie liczy ona we Francyi 300 domów w 30 dyecezyach a w nich więcej niż 2000 zakonnic. Groby założyciela i założycielki zaczynają słynąć łaskami i jest już mowa o rozpoczęciu procesu beatyfikacyjnego. We Włoszech *córki krzyża* miały od jakiegoś czasu trzy domy w księstwie Parmy, teraz od trzech miesięcy księżna Borghese matka w Rzymie, powierzyła im prowadzenie szkółki i ochronki w pałacu Borghese urządzonych. Do szkółki uczęszcza 300 dzieci.

Przełożony kongregacyi córek roztropności i missyonarzy towarzystw Maryi w Rzymie.

Kilkakroć już wspominaliśmy o kongregacyi *córek roztropności* (filles de la Sagesse) i missyonarzy towarzystwa Maryi zwanych także missyonarzami Św. Ducha, założonej na początku wieku zeszłego przez wiele-

bnego de Monfort, której główne siedlisko znajduje się we Francyi w St. Laurent-Sur-Sèvre przy grobie wielebnego założyciela. Obrany rok temu przełożonym jeneralnym O. Francois-Denis odbywszy wizytę domów zakonu we Francyi i w Belgii przybył do Rzymu, do grobu apostołów, po błogosławieństwo Ojca św. i aby przyspieszyć sprawę beatyfikacyi wiel. de Monfort. Sprawa ta znacznie już jest posunięta. Kongregacya ma zebrane materyały do obszernego żywota tego sługi Bożego, żywota obfitującego w łaski i w wypadki nadzwyczajne, ale się ociąga z publikacyą za ogłoszeniem beatyfikacyi.

Ksiądz biskup Charbonnel.

Jeszcze jeden biskup missyonarz przybył w ciągu postu do Rzymu. Mówimy o księdzu Charbonnel, biskupie dyecezyi Toronto w Kanadzie. Ks. Charbonnel był konsekrowany lat temu siedm przez Ojca św. w Rzymie. Od tego czasu wiele zrobił. Prawdziwy to apostoł, niepowstrzymany w gorliwości, wytrwały niezłomnie, miłujący ubóstwo. Przebiegł od kilku miesięcy Irlandyą i Francyą pracowników sobie szukając, w Rzymie stara się także o missyonarzy i w tym celu wszedł w bliskie stosunki z księżmi polskiemi u św. Klaudyusza. Dyecezya Toronto tyle w ostatnich czasach zrobiła postępów że Stolica Apostolska podzieliła ją na trzy dyecezye: Toronto, London i Hamilton. Ludność jest tam w znacznej większości angielska protestancka, między katolikami przeważa żywioł irlandzki ale znajdzie też Niemców i Czechów. Jak wiadomo francuzkie dyecezye w Kanadzie Quebec i Montréal zamieszkałe są wyłącznie przez katolików. Ks. Charbonnel mieszka w Rzymie w seminaryum francuzkiem św. Klary.

Księżna de Bauffremont.

Księżna de Bauffremont znana w świecie jako Paulina Leroux nabyła od księżnej Albrechtowej Pruskiej sławną Willę Matei, której ogród okrywa znaczną część góry Coelius i osiadła tam z kilku towarzyszkami, poświęcając się życiu ascetycznemu i dobrym uczynkom. Dwie jeszcze inne piękne wille przeszły z rąk protestanckich w ręce katolickie. Willę P. Hoz konsula Szwajcarskiego, położoną na Awentynie, nabyły siostry św. Andrzeja z Tournay w Belgii i mają zamiar urządzić w niej zakład wychowania, zaś w willi Mills dawnej willi Spada na Palatynie, osiadły Wizytki wygnane ze swojego klasztoru w mieście przez rzeczpospolitę rzymską (teraz ten klasztor Francuzi zajmują). Wizytki mają budować kościół na ruinach pałacu Cezarów.

P. Roselly de Lorgues.

Znany pisarz katolicki francuzki P. Roselly de Lorgues przybył do Rzymu i miał zaszczyt złożyć Ojcu św. piękną swoją historyę Krzysztofa Kolumba. Ojciec św. przyjął go bardzo łaskawie i dał mu krzyż komandorski św. Sylwestra. Dzieło to nowe P. de Lorgues już jest tłómaczone na kilka języków.

Wrażenie sprawy biskupa z Moulins w Rzymie.

Postępowanie rządu francuzkiego w sprawie biskupa z Moulins uderzyło i zasmuciło w Rzymie. Wszystkie mniej przyjazne kroki cesarza Francuzów w kwestyach religijnych, boć od trzech miesięcy nie pierwszy to dowód drażliwych usposobień, przypisują tam zawiedzionej nadziei sprowadzenia Ojca św. na koronacyą. I w samym Rzymie choć postępowanie wojska francuzkiego jest wzorowe, wymagalności władz wojskowych w uciążliwy się nieraz sposób objawiają. Wiadomo że Ojciec św. widziałby

z ochotą koniec okupacyi francuzkiej. Wiele osób poważnych zaczyna wątpić o trwałości obecnego porządku we Francyi od chwili kiedy się cesarz przeciw kościołowi obrócił, przypominają że tak się zwykle poczyna fatalne zaślepienie tych co się mają zgubić.

Seminaryum dla Ameryki północnej w Rzymie.

Wspomnieliśmy dawniej o mającem się założyć w Rzymie seminaryum dla młodych duchownych z Ameryki południowej. Wspomnieliśmy także że jest mowa o założeniu seminaryum dla duchownych Ameryki północnej. Ojciec św. podał pierwszy tę myśl biskupom tamtejszym którzy przybyli na ogłoszenie dogmatu Niepokalanego Poczęcia; pisał potém do biskupów prowincyi New York zatwierdzając dekreta Soboru prowincyonalnego z New York, żeby się starali o środki potrzebne. Rzecz już jest blisko wykonania. W ostatnich czasach pisma amerykańskie ogłosiły list P. Binsse konsula papiezkiego w Stanach Zjednoczonych z wywodem za założeniem kollegium amerykańskiego. P. Binsse przytoczywszy wszystkie pobudki wyższego rzędu, przypomina że kiedy znalazło się w Ameryce 320,000 złp. na uniwersytet katolicki dubliński a 216,000 złp. na świętopietrze w czasie pobytu Ojca św. w Gaecie, kiedy sami katolicy w New York złożyli 280,000 złp. na powiększenie swego szpitalu, niepodobna żeby się na kollegium w Rzymie dostateczny fundusz nie zebrał. Kollegium o którym mowa będzie dla Anglików, księża z francuzkiej niegdyś Kanady mogą się łatwo umieszczać w seminaryum św. Klary.

Obraz męczeństwa Św. Felicyty.

Professor Franciszek Coghetti z Bergamo, jeden ze znajomszych malarzy akademii rzymskiej św. Łukasza wymalował znacznych rozmiarów obraz z historyi męczeństwa św. Felicyty i jej synów. Obraz ten chwalą w Rzymie bardzo głośno.

Konkurs teatralny.

W r. 1853 ustanowiono w Rzymie komissyą do wyznaczenia nagród za najlepsze pod względem dążności moralnej i wartości literackiej sztuki teatralne. Prezesem jej był Monsignor Rosani. Do konkursu przedstawiono sztuk pięćdziesiąt. Dwie pierwsze nagrody otrzymali P. Massi professor wymowy w uniwersytecie rzymskim za tragedyą *Corso Donato* i adwokat Gherardi z Toskanii za trzy komedye. Z sześciu medali śrebrnych jeden dostał się P. Severa za tragedyę liryczną *Wanda*. Ojciec św. przedłużył istnienie komissyi. Zasiada w niej dwóch duchownych i siedmiu świeckich.

KOŚCIÓŁ POLSKI.

ARCHIDYECEZJA GNIEŹNIEŃSKA I POZNAŃSKA.

JO. Ks. Arcypasterz nasz Leo Przyłuski otrzymał od J. Królewskiej Mości order czerwonego orła II klassy z gwiazdą. JKs. proboszcz i dziekan Jaxiewicz został mianowany kanonikiem honorowym poznańskim.

Rozporządzenia ministeryum spraw duchownych.

Minister spraw duchownych pod d. 28 czerwca 1856 wezwał rejencye, ażeby na budowle kościelne, plebańskie i szkolne potrzebne pieniężne fundusze ratami składano dla uniknienia przedpłat z kas rządowych i straty

czasu. Rząd ma wreszcie żądać kosztorysów i wzorów budowlanych, następnie potrzebę budowy uzasadnić i o sposobie składek naradzić się z interesentami.

Królewskie ministeryum spraw duchownych i szkolnych pod dn. 20 sierpnia r. z. zadecydowało, że dominia według prawa krajowego §. 36 cz. II. tyt. 12 na budynki szkolne dostarczać muszą materyał w naturze, do czego produkcyjne wyroby n. p. cegły nie należą.

Zapis pobożny w Jedlcach.

Na założenie szpitalu w Jedlcach powiecie pleszewskim zapisała ś. p. Ewa z Pruskich Niemojewska summę 2000 talarów. P. Leopold N. dopełnił jej woli w ten sposób, iż wyporządził budynek o 6 izbach dla 6 niewiast biednych, przeznaczając dla nich żywność, opał i 24 tal. rocznie.

Ćwiczenia duchowne księży.

Co dawno nasz czcigodny JO. Arcy-Pasterz zamyślał i zaprowadzić pragnął, to jest roczne rekollekcye czyli ćwiczenia duchowne dla księży pod swym zarządem będących, to w roku zeszłym szczęśliwie do skutku doprowadził. — List pasterski wzywający na nie, przyjęło duchowieństwo z uszanowaniem i wdzięcznością, i gdy czas wyznaczony przyszedł, pospieszyło przybyć na miejsce, gdzie odprawiać się miały. I tak stosownie do Arcy-Pasterskiego rozporządzenia w archidyecezyi poznańskiej odprawiły się rekollekcye w lipcu i październiku w 6 oddziałach: 4 w seminarjum poznańskiem a 2 w klasztorze ks. ks. Filipinów w Gostyniu. Wszystkich księży, co wzięli udział w rekollekcyach było 191; pomiędzy niemi byli kapłani najszanowniejsi dla zasług i wieku; widziano tam i tych, co nad 50 lat kapłaństwa liczyli.

Podobnież i w dyecezyi gnieźnieńskiej odbyły się rekollekcye w 4ch oddziałach: znajdowało się na nich 82 księży, pomiędzy niemi widziano 11 dziekanów, nawet samych pierwszych dygnitarzy kapituły gnieźnieńskiej. Z tej liczby są JKs. officyał Sucharski, JKs. kanonik Dyniewicz, JKs. Dyament sekretarz i wreszcie JKs. biskup Brodziszewski. Ten jak i drudzy pomimo podeszłego wieku chciał zamknąć się w skromnem pomieszkaniu w seminarjum i z największem zbudowaniem znajdować się na wszystkich ćwiczeniach rekollekcyjnych, niechciał nawet odosobniać się w siedzeniu dla siebie przygotowanem, lecz obok drugich na prostej ławce seminaryjskiej siedzenie dla siebie obrał, przez długie godziny ćwiczeń rekollekcyjnych. Jak zaś była budującą do trzechset na rekollekcie zgromadzonych kapłanów regularność, gorliwość, do wszystkiego ochoczość, jaki z rekollekcyi zebranej pożytek, o tem trudno się rozpisywać, gdyż łaski boskie podziwiane być mogą, opowiedzieć ich niepodobna. Tak więc rok 1856 pamiętnym pozostanie na zawsze w kronice religijnej archidyecezyi poznańskiej i gnieźnieńskiej.

Ćwiczenia duchowne parafialne.

W dyecezyi gnieźnieńskiej odbyły się ostatniemi czasy rekollekcye dla ludu nakształt missyi. Pierwsze w Mielżynie od 3 do 9 grudnia r. 1856. Każdego dnia były dwie nauki przeplatane śpiewaniem pieśni kościelnych. Nabożeństwo każdego dnia kończyło się odśpiewaniem supplikacyi, błogosławieństwem Najśw. Sakramentu. Drugie podobne w Witkowie od 15 do 30 marca b. r. Garnął się lud nietylko z parafii mielżyńskiej i witkowskiej na nabożeństwo, lecz i z innych w okolicy tak licznie, iż w kościele pomieścić się nie mógł. Wielu z obywateli miejscowych i sąsiednich z wielkiem dla wszystkich zbudowaniem na naukach i nabożeństwach się znajdowali.

Przysposobiony był lud jednej i drugiej parafii do korzystania z missyjnego nabożeństwa przez gorliwych proboszczów miejscowych JKs. Koszuckiego i JKs. Krygera. Wszyscy słuchali opowiadania słowa bożego z pobożną uwagą i rozrzewnieniem. Przez cały czas kapłani wezwani z różnych parafii do pomocy, zajęci byli słuchaniem spowiedzi od rana do późnej nocy; a wiele osób stało do tejże późnej godziny nocnej na czczo, by jeszcze przystąpić do Ś. Komunii. Były i nawrócenia znaczniejsze; nie mało widziano takich, co przez długie lata od śś. sakramentów się oddalali, a z powodu tego nabożeństwa do nich się garnęli z wielką pociechą ich pasterzy i znajomych. Przewodniczył nabożeństwu w obojgu parafiach jeden z Ojców Missionarzy ze Śremu. Życzyćby należało, aby podobne ćwiczenia duchowne dla ludu i w archid. poznańskiej jak najczęściej się odprawiały.

Teofila Łuszczewska. Zacna i bogobojna ta pani, wzór wszelkich cnót i przymiotów, któremi jaśniała we wszystkich dobach i kolejach życia, w młodocianym i późniejszym wieku, w kraju i emigracyi, w dostatkach i mierności, umarła w Poznaniu w dzień Niepokalanego Poczęcia roku zeszłego. Chcieliśmy na razie oddać należną cześć jej pamięci, ale gdyśmy usłyszeli na pogrzebie mowę żałobną X. Prusinowskiego, postanowiliśmy zaczekać na jej ogłoszenie drukiem, by hołd dla zmarłej zapisać w naszej Kronice słowami wymownego kaznodziei, nad które serdeczniejszych, prawdziwszych i godniejszych przedmiotu trudnoby znaleźć. Mowa ta *) dopiero w tych dniach wyszła z druku. Oto ustępy opisujące zasługi tej wzorowej chrześciańki:

Teofila Łuszczewska urodziła się dnia 26 listopada r. 1807 w Warszawie z Maxymiliana Skarzyńskiego i Maryi z Łubieńskich, matki dziś jeszcze żyjącej i ciężkiem strapieniem dotkniętej. Wychowanie jej było chrześciańskiem, a w tym wyrazie zawiera się cały jego charakter. Rzadkie dziś takiego wychowania przykłady rzadsze jeszcze były w tym czasie, w którym młodość ś. p. Teofili przypada. Na wychowaniu chrześciańskiem polegała świętość chrześciańskiej rodziny w czasach, kiedy ze starej wiary kościoła rozwijało się szczęście społeczeństwa ludzkiego i narodów: a gdy niewiernych doradzców winą wstrząsnęły się sumienia i osłabiła wiara, gdy nowe, prawu bożemu przeciwne, a ludziom nieszczęsne nauki rozkrzewiły się i w naszym kraju, wszystkie życia posady się zachwiały, powaga kościoła osłabiona, powaga rodzicielska wywrócona, a prawo wychowania gwałt cierpi. — Wielki i święty obowiązek wychowania rodzice z ręku puszczają, albo niezdolność własną widząc do prowadzenia dziatek po drogach przewrotnych wymagań świata ówczesnego, albo sami zepsuciu oddani, nie znajdując przed grzechem czasu do pilnowania obowiązków przez Boga i naturę na ich sumieniu ciążących. Obcym, niewiernym, zepsutym przychodniom porzucono dzieci na łup złych zasad a gorszych obyczajów.

Karmiły się młode umysły przewrotnemi zasadami encyklopedyi francuzkiej albo niemieckiej filozofii i napawały pogardą wiary i lekceważeniem obyczajów narodowych; a z zasiewu takiego wyrosło zdeptanie świętych węzłów małżeńskich, zniewaga rodzicielskiej powagi, obojętność dla rodzinnego braterstwa, bo na miejsce cnót tych świętych wstąpiła nowa cnota nowego zakonu: miłość ciała samego. — Takiem było to nowe wychowanie; ale w domu, do którego zmarła ś. p. Teofila należała, takie nie było. — W rodzinie tej stary Bóg był Panem, a stara wiara zakonem i według tej wiary gromadziły się dzieci, wnuki i prawnuki około jednej głowy patryarchalnej, gdzie u wspólnego ogniska strzeżono przymierza Pańskiego, zaszczepiając w młode serca dorastającego pokolenia naukę Bożych objawień i przykazania Pańskiego. Z tej nauki rozwijały się piękne te cnoty pokory, uległości i posłuszeństwa dla rodziców i starszych, przywiązania

*) Mowa żałobna na pogrzebie Teofili z Skarzyńskich Łuszczewskiej miana w Oporowie dnia 11. Grudnia 1856 roku przez ks. A. Prusinowskiego. Grodzisk, czcionkami A. Schmaedickiego, 1857.

rodzinnego i miłości małżeńskiej, któremi później rozkwitnąć miało i rozkwitło serce drogiej nieboszczki. W takiem wychowaniu ś. p. Teofila nauczyła się być córką dla matki, kiedy ojca nader wcześnie utraciła, a jaką córką być umiała, tego dowodziło do ostatnich dni uległe dla matki posłuszeństwo tak świeże w dniach dojrzałości i macierzyństwa, jakby nigdy z domu rodzicielskiego nie była wyszła. Ciemnem jest to życie dla niedoświadczonego umysłu, a świat błędnym labiryntem dla młodego serca: o! szczęśliwa dusza, która w ojcu znajdzie przewodnika bezpiecznego i dosłyszy w słowie matki, że to głos Boga! Dosłyszała go ś. p. Teofila, a zawierzywszy mu w dniach niewinnej młodości, szła za nim do końca swego życia, pewna że nie zbłądzi, odnosząc się we wszystkich wątpliwych wypadkach i na wszystkich pokrzyżowanych kolejach do matki po wyrok. Nauczyła się być córką, więc umiała być małżonką i matką, kiedy ją Bóg do tego powołał.

Oddana w śluby małżeńskie ś. p. Adamowi Łuszczewskiemu, znalazła w nim droga zmarła przewodnika i towarzysza, którego cnoty i piękna dusza w połączeniu z takiem sercem, jakie posiadała ś. p. Teofila, uzupełniły obraz prawdziwie chrześciańskiego małżeństwa. Zasiedli u wspólnego ogniska na ojczystej włości, chcieli obdzielić tem szczęściem które od Boga odebrali, powierzoną im od Boga czeladkę, chcieli młodą rodziną nowy rozwinąć obraz tych cnót domowych, które odebrali w dziedzictwie od własnych rodzin. Aliści Bogu inaczéj się podobało rozrządzić ich losów koleją. — Ś. p. Adam Łuszczewski zasiadał jako poseł sochaczewski na sejmie narodowym w Warszawie r. 1831 i skutkiem tego wygnany z rodzinnego majątku, wygnany z ojczyzny poszedł w zastępie pielgrzymów tułaczych obwoływać skargę nięszczęśliwego narodu. — Poszła z nim na chlubną wędrówkę przywiązana żona i tutaj dopiero doznał i nieszczęściem ojczyzny i własną krzywdą przyciśniony mąż prawdę słowa świętego: *„dom i majętności dane bywają od rodziców: ale żona roztropna właśnie od samego Pana.“* — Zabrano dział od rodziców odebrany, ale to co mu Bóg dał, tego mu i nieprzyjaciel zabrać nie zdołał. Poszła z mężem dzielić trudy i ucisk wygnania, a jaką dla niego w ciężkich tego życia tułaczego kolejach była podporą, osłodą, pomocą, któż wypowiedzieć potrafi?......

W tych to cnotach dojrzała ś. p. Teofila Łuszczewska na dwudziestoletniej pielgrzymce narodowej, przybyła z rodziną już kilkorgiem dziatek bogatą do naszego zakątka ojczystej ziemi. Wielką to dla niej w strapieniu było pociechą, bo znalazła sposobność swe dziatki dla swego kraju wychować......

Już na wygnaniu dzieliła wszelkie trudy opieki nad ubogimi, chorymi, opuszczonymi wygnańcami a współtułaczami, często niewdzięczność odbierając w zamian za dobrodziejstwa świadczone; a zaledwo tutaj pomiędzy nami stanęła, wszystkie miłosierne przedsięwzięcia i prace o jej dom się opierały. Ona wspólnie z nieodżałowanym mężem najczynniej i najwytrwalej zajmowała się domami Ochrony w Poznaniu, przez kilka lat prawie bez wszelkiej innej pomocy chodząc około utrzymania tych przytułków ubogich dziatek. Ona czynną przynosiła pomoc założycielom Domu Sierót, pracę chętnie dając, ale zakrywając imie skwapliwie. Ona w czasie powodzi radą i uczynkiem wspierała pomieszczenie i wyżywienie nędzarzy wygnanych przez dotknięcie Pańskie z własnych mieszkań. W jej domu zawiązały się pierwsze początki Towarzystwa Śgo Wincentego w Poznaniu. Ona więźniom roku 1846 i 1848 wyjednywać umiała ulżenie ciężkiej ich doli, ona zajmowała się wspólnie z mężem przyodzianiem nagiego, karmieniem głodnego w więzieniu! A ile prywatnej, cichej, nikomu nieznanej nedzy złagodziła, osłodziła i zapobiegła! Co jej czasu, co jej sił pozostało po wypełnieniu obowiązków dla rodziny, wszystko poświęciła odwiedzaniu ubogich, chorych, strapionych, z równą ochotą niosąc słowo swej pociechy na wysokie pokoje zamożnych domów jak do sklepów wilgotnych lub ciemnych poddaszy. I tutaj znajduję ja miejsce podziękowania Tobie, szlachetna duszo Teofili, by ulżyć choć w części małej długu wdzięczności powinnej. Nie pozwoliłaś sobie dziękować za życia, niech dzięki na Twój grób złożone świadectwo dadzą Twej cnocie, a wiem że w chwili tej podzięki tysiące innych za mną stoi uczestników Twego miłosiernego serca, więc i w ich imieniu do Ciebie przemawiam. Tyś więźnia mi drogiego i bliskiego jako druga matka Twą miłością chrześciańską cieszyła w niedoli i Twoje zachody kraty mu więzienia rozwarły a wolność wróciły — Tyś sędziwą mą matkę przez kilka miesięcy

w chorobie bolesnej cieszyła i pielęgnowała, dniem i nocą niosąc ulgę i pomoc; przyjmij z podziękowaniem za to i modlitwę do Boga miłosierdzia, aby Ci to w niebie nagrodą niezwiędłą odpłacił, za co nagrody nie masz na ziemi!......

Takie sprawiedliwe życie śmierci się nie lęka, bo: *„droga przed oblicznością Pańską śmierć Świętych jego.“* To też śliczna śmierć przyszła uwieńczyć takie życie Teofili. Do ostatnich dni trwając w dobrych uczynkach, nie zrażając się nawet własnych sił upadkiem w bezwzględnem poświęceniu, od Boga znać miała odebrać tę nagrodę, by przy świadczeniu miłosierdzia a może nawet skutkiem jego popaść w ostatnią chorobę. Miało się to piękne, chrześciańskie życie tak zakończyć, jako je wiodła nieboszczka. Krótką była choroba, ale niebezpieczeństwo od pierwszych dni sama chora naprzód spostrzegła, przyjmowała pomoc czułej rodziny i lekarzy troskliwych, bo się jeszcze widziała potrzebną na ziemi dla nierozporządzonych dzieci; ale z drugiej strony ufając w opiekę Boga Opatrznego, Ojca sierót i uciśnionych, z uległością jak zawsze czekała wyroku Pańskiego. Jakiemiż ja wyrazami oddam tę świętą pogodę, ten pokój anielski, tę niezachwianą wiarę, z którą ś. p. Teofila ostatnie dni poświęciła na to, aby sama sposobiąc się stanąć przed Bogiem, przysposobiła i dzieci do pozostania sierotami na ziemi! — Tu się Bogu modli i z sumieniem rachuje, tu ostatnich sił dobywa, by dzieciom na serce włożyć testament wierności Bogu i przykazaniom cnoty, jedną ręką błogosławi tym których na świecie zostawuje, drugą sięga do nieba dokąd całe życie tęskniła. Wcześnie usprawiedliwiwszy swe sumienie w Sakramencie Pokuty, pokarmiona ciaiem i krwią Zbawiciela, namaszczona olejem mocy do ostatniej a najcięższej walki, rozrządza własny pogrzeb, skromność największą przy nim zastrzegając, oznacza dalszy bieg wychowania młodszych dzieci, błogosławi, napomina, dziękczyni, żegna i wśród modlitwy skonała jak zaczęła, Bogu ducha oddając w dzień uroczysty Najświętszej Panny Niepokalanego Poczęcia. — Poszła oglądać te święte tajemnice tutaj zasłoną otoczone od oblicza do oblicza i dziś, tak w Bogu ufamy, już szczęśliwa odebrała wieniec zwycięztwa za walkę świętą pobożnego żywota.

KOŚCIÓŁ POLSKI POD RZĄDEM AUSTRYACKIM.

Kościół dominikański w Krakowie.

Dziennik „Czas“ następującą umieścił odezwę, którą z powodu ważności przedmiotu podajemy:

Kiedy po powtórnym upadku kościoła XX. Dominikanów, mało kto rokował i dla Zgromadzenia i dla gmachów jakąkolwiek przyszłość, wtedy właśnie duch fundatorów i patronów zstępował na Zgromadzenie, zapalał ów ogień miłości i odwagi tak właściwej synom Świętego Dominika; — przywracał karność, urządzał hierarchią urzędów i budził ich czynności do nowych usiłowań. Jakoż wkrótce gmachy mieszkalne zaczęto porządkować i skutecznie dziś obronione od dalszego upadku; a w dniu wielkiego i Dominikanów i Polski patrona, zabrzmiała chwała Boska w prezbiteryum uporządkowanem tymczasowo, jak brzmiała przez sześć wieków, spełniając początek nadziei wyrzeczonych dnia pamiętnego, kiedy zaledwo po spaleniu kościoła zaciągano nowe na sklepieniach ankry.

To co do dziś dnia zrobiono, zrobiono szczupłą resztą funduszów składkowych i bieżącemi dochodami biednych zakonników, przy współudziale nader przychylnym i światłym Dyrekcyi budownictwa i bezinteresownej często pomocy panów majstrów miasta naszego, pamiętnych zasług jakie dla bractw i cechów krakowskich OO. Dominikanie położyli. Ale nie na tem powinien być koniec. — Kościół Dominikański w gruzach pozostać nie może: czujemy to wszyscy jako chrześcianie, jako miłośnicy sztuki, jako miłośnicy pamiątek dziejowych. Czują to dobrze Ojcowie, dla tego nie cofając się przed ogromem dzieła, ufni przedewszystkiem w łaskę Boską, nie chcą ustawać, ale natychmiast póki życie drga w tych kamieniach, póki same o pomoc wołają, póki jakby rozwaliny Syonu płaczą upadku i opuszczenia, pragną do dalszej fundamentalnej zupełnie na wzór pier-

wotnego kościoła przystąpić budowy, a w tym celu dawnym Zgromadzenia zwyczajem, dla rękojmi powszechności, dla pomocy swojej ustanawiają *Procurationem fabricæ*, która składać się ma z osób niżej wyrażonych, a które otrzymawszy od rządu krajowego na dniu 4 lipca r. b. Nr. 13,042 pozwolenie otwarcia list składkowych w zakresie tutejszego rządu krajowego i ukonstytuowawszy się w komplecie na dniu 9 grudnia r. b. odzywa się obecnie do wiernych, do miłośników sztuk i pamiątek dziejowych z uprzejmą prośbą, aby miłosiernem sercem a czynną pomocą opuszczoną poparli wdowę. Odarta z dawnej piękności, kiedy wszystko w mieście spalonem powstało albo powstaje, samaż będzie sierotą — owa córka Iwona, Jacka, Cesława, owa matka Bierkowskiego, Mościckich, Roxolana, Bzowiusza, czyż pomiędzy nami będzie sierotą? Nie daj tego Boże. Kości wielkiego monarchy, kości błogosławionego wielkiego pasterza i męża stanu ukryte w ziemi przez tyle wieków, wychodzą na świat jakby po to, aby napomnieć obecne pokolenie, że kraj bez pamiątek, podań, pomników, jest niczem. Czem byłoby nasze miasto, gdyby owi ludzie wielcy nie byli go ozdobili pomnikami, co obcym nawet uszanowanie przed wielką przeszłością wrażają: a my czyż nie potrafimy i tych pomników dochować potomności? Każdy wiek osobne ma do działania środki. W średnich osobistości były wszystkiem. Wówczas czy który z Gryfów, czy Dunin, czy Odrowąż zabudowywał kraj cały; dzisiaj zbiorowe tylko działanie jest możebne. Społeczność nie wciela się w indywidua: za siebie odpowiada. Do niej przeto udajemy się: do bogatych i do ubogich, aby się przyczynić chcieli do naszej pracy. Żądając zaufania, winniśmy donieść że nie postępujemy lekkomyślnie. Dla tego za pośrednictwem Dyrekcyi budownictwa która z dziwną uprzejmością przychodzi nam w pomoc, sporządzone zostały anszlagi kosztów odbudowania i pokrycia murów kościoła w tym kształcie zupełnie w jakim był pierwiastkowo wystawiony. OO. Dominikanie i *Procuratio fabricæ* zamierzają tylko odbudowanie, zasklepienie i pokrycie kościoła bez żadnych wewnętrznych ozdób. Dzieło to rozkładają na lat 20, nie robiąc sobie illuzyi co do wielkości celu i szczupłości środków. Anszlagi złożone u O. Przeora, dozwolone każdemu do przejrzenia, gdyby było żądanie, zostaną ogłoszone. Fabryka prowadzona będzie przez OO. Dominikanów; doświadczenie bowiem przekonało że korporacye taniej budują, aniżeli administracya albo entrepryza. Kierunek techniczny głównie co się tyczy zachowania czystości stylu, zostanie pod wyłącznym dozorem *Procurationis fabricæ* i podpisani stają się za to względem powszechności odpowiedzialnymi. Fundusze wpływać będą do kassy powierzonej dwóm członkom. Corocznie na sessyi stosownie do uzbieranych dochodów postanowione zostaną roboty mające być w roku następnym przedsięwzięte. Wypłaty uskutecznione przez tychże członków za assygnacyami X. Przeora. Corocznie ogłosi *Procuratio* rachunek z dochodów i rozchodów wraz ze zdaniem sprawy jakie zostały prace uskutecznione. Uzbierane fundusze użyte będą jedynie na budowę kościoła z wyłączeniem klasztoru. Krużganki uważamy za robiące jedność z kościołem. Odzywając się dzisiaj do powszechności, śmiemy przypomnieć, że nie na znaczne tylko i głównie rachujemy datki: liczba zwanych bogatymi jest tak ograniczoną, że sama podołać nie potrafi. Cechą naszych czasów upowszechnienie zamożności. Mało kogo niestać dać grajcara na tydzień; urządzenie podobnych składek po parafiach, po konwentach zakonnych, wieleby się przyczynić mogło do dzieła.

Nie uwolnią się zapewne i bogatsi od datków odpowiednich ich położeniu. *Procuratio* nie tai iż w obec dzieła na długi szereg lat rozpoczętego milejby przyjęła obietnicę wpłat rocznych przez lat 20, aniżeli ryczałtową summę, oświadczając z góry, iż każde przyrzeczenie lub nawet zobowiązanie w tym względzie uważać będzie tylko jako zobowiązanie dobrowolne, odwołalne, nie dające komubądź prawa do ściągania drogą przymusu obiecanych darów. — Miłość podobne ofiary winna natchnąć, miłość winna je utrzymywać, tej zasady trzymać się będą podpisani, strzegąc się wszelkiego moralnego przymusu lub natręctwa.

Kraków dnia 9 grudnia 1856 roku.

Podpisano: *Adam* Hr. *Potocki*, — *Piotr Moszyński*, — *Andrzej Seidler*, — *Franciszek Paszkowski*, — *Wincenty Kirchmayer*, — *Teofil Żebrawski*, — *Kazimierz Rutkowski*, — X. *J. Fabian Webelun*, — *Paweł Popiel*.

Kościół w Świątnikach pod Krakowem.

Dnia 8go grudnia r. p. w dzień Niepokalanego poczęcia Najśw. Maryi Panny odbyła się w Świątnikach pod Krakowem rzadka uroczystość. Było to przeprowadzenie nabożeństwa z kaplicy, do nowego kościoła świeżo przez parafian wymurowanego. Kościół ten wymurowali Świątniczanie z dobrowolnych składek, które w małej kwocie, lecz jako ślusarze od każdej kłótki przez 10 lat chętnie składali. Przez tyleż lat z przestankami w miarę uzbieranych składek, budowla kościoła albo posuwała się, albo ustawała, i dzięki P. Bogu po 10 latach kościół powstał nowy, obszerny, piękny z dwiema wieżami, kosztujący do dziś dnia 20,000 r. mk. Na powitanie tego kościoła, na zaprowadzenie doń pierwszego nabożeństwa zbiegli się liczni z sąsiednich parafii mieszkańcy wraz z pasterzami swymi. Wspaniały to był widok, gdy z małej kaplicy wśród tłumu ludu wszelkiego stanu, w uroczystej processyi Najśw. Sakrament już do nowego kościoła przenoszono. Pan nieba i ziemi przyjmował wśród tłumu ludu swego nowe mieszkanie. Nabożeństwo celebrował J. K. Osuchowski dziekan Wilicki w assystencyi licznego duchowieństwa, w obec znakomitych gości i tłumu ludu, a wśród summy przemówił z ambony ks. J. Komperda proboszcz z Podgórza, jako kaznodzieja zaszczytnie znany. Obficie podczas kazania płynęły łzy słuchaczy, lecz łzy radości. Bo jakże nie było się cieszyć i radować, widząc ten lud ubogi, nieliczny, bo tylko z jednej wioski, lud pracowity a cnotliwy, pasujący się lat 10 ze stalą, piłujący lat 10 żelazo, co rzadką wytrwałością dźwignął skałę z wnętrza ziemi i ułożył z niej godny przybytek Panu. Jakże nie było się cieszyć, gdy nowa świątynia stanęła na górze jak młodsza siostrzyczka spoglądająca na starsze swe siostry w okolicy i dumająca nad ubiegłemi pokoleniami! Chwała ci więc ludu katolicki, ludu Świątnicki, któryś z pracy ciężkiej rąk twoich wzniósł Bogu pomnik chwały i uwielbienia, sobie pomnik żywej wiary, a okolicy znak święty upomnienia do pracy i chwalenia Boga.

Przemowa ks. M. Gładyszewicza Administratora Dyecezyi krakowskiej.

Przy zagajeniu sądu biskupiego spraw małżeńskich dyecezyi krakowskiej w dniu 29 stycznia r. b. miał ks. M. Gładyszewicz następującą przemowę:

Najmilsi bracia w Chrystusie, współpracownicy moi! Powiedział Pan nasz Jezus Chrystus uczniom swoim: *Na świecie ucisk mieć będziecie.* (Jan 16, 33). *Tedy podadzą was w udręczenie i będą was zabijać i będziecie nienawidzeni od wszech narodów dla imienia mego.* (Mat. 24, 9). *Wyłączą was z bożnic, a idzie godzina że wszelki który was zabija, mniemać będzie, że czyni posługę Bogu.* (Jan 16, 7). Tak smutną na tym świecie zapłatę Chrystus Pan pierwszym swym posłannikom zapowiedziawszy, zaraz ich męztwo i odwagę podźwiga: *Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało a dusze zabić nie mogą.* (Mat. 10, 28). *Oto ja jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata.* (Mat. 28, 20). *Jeźli we mnie trwać będziecie a słowa moje w was trwać będą, czegokolwiek zechcecie, prosić będziecie i stanie się wam.* (Jan 15, 7). To też kościół święty tą najświętszego mistrza swego zapowiedzią ostrzeżony, na przyszłe przeciwności, klęski i burze przygotowany, nieprzełomnym orężem cierpliwości, modlitwy i ufności w Bogu uzbrojony, walczy ciągle, a zawsze zwycięzko walczy z tym nieprzyjaznym sobie światem i z onym odwiecznym swym zawistnikiem, który dla pychy z przybytków niebios strącony, chciałby nowych dziedziców nieba, wszystkich gdyby mógł ludzi potargnąć za sobą *do ziemi ciemnej i okrytej mgłą śmierci:... gdzie wieczny strach przebywa* (Job 10, 21—22) — *gdzie płacz i zgrzytanie zębów* (Mat. 8, 12). Lecz nie przepomniał Ojciec niebieski, żeśmy *ciało, wiatr idący i niewracający* (Psalm 77, 39), przeto niedołężności ludzkiej folgując, dozwala niekiedy świętej swej Oblubienicy nieja-

kiego odpoczynku i wytchnienia. Wtedy to kościół święty wiedząc że to tylko czas zawieszenia boju, tem spieszniej i z wysilniejszem staraniem opatrza i zbroi dziatki swoje, a uszkodzenia i szczerbiny, jakie w Boskiej budowie jego przeminiona burza poczyniła, skwapliwie naprawia. I dziś zaiste ma kościół święty nieprzyjaciół równie jak zawsze zawziętych, a może bardziej niż kiedykolwiek niebezpiecznych: i dziś to w tej, to w innej części świata doznawa udręczeń i prześladowań, na które Ojciec św. w przemowie swej na ostatnim konsystorzu tajnym mianej serdecznie utyskuje (15 grudnia 1856 r.).

Ale te niniejsze cierpienia kościoła świętego, koją się i nagradzają sowicie w innych stronach świata, a zwłaszcza w obszernych krajach monarchii austryackiej, w której miłościwie nam panujący najjaśniejszy cesarz i król apostolski Franciszek Józef I, przezacny sławnego domu Habsburgów potomek, naśladowca wielkich i świętych poprzedników swoich: Leopolda, Rudolfa, Karola IV i V, praprawnuk świątobliwej Maryi Teressy, wnuk Franciszka jeszcze w świeżej i wdzięcznej ludów swych pamięci tkwiącego, podług nauki Chrystusa Pana zachowując swoje co cesarskiego, oddał co boskiego Bogu, bo kościołowi należne i z Boskiej instytucyi pochodzące prawa powrócił i zabezpieczył. Któżby mię nie rozumiał, iż tu mówię o wiekopomnem dziele łaskawie nam panującego monarchy, które wszyscy prawowierni katolicy berłu jego podlegli z najżywszem uczuciem wdzięczności przyjęli, a cały świat chrześciański z poklaskiem i uwielbieniem powitał: mówię o konkordacie pomiędzy Jego Świątobliwością, widzialną głową kościoła świętego papieżem Piusem IX, a najjaśniejszym cesarzem Franciszkiem Józefem I w dniu 18 sierpnia 1855 r. zawartym. Byłem przy tem (a wspomnienie to będzie zawsze osłodą i pociechą pochylonych już lat moich), kiedy ten pan pobożny, biskupów w stolicy jego w roku zeszłym zgromadzonych, uroczyście zapewnić raczył (12 kwietnia 1856 r.), iż jak na cesarza przystoi, spełni konkordat z Stolicą św. zawarty: i kiedy ponawiając (18 czerwca 1856 r.) to zapewnienie, przydał słowa: *iż jedynem życzeniem jego, jedynem jest staraniem, aby poddani jego obfitując w dobra doczesne, wiekuistych nie postradali;* — słowa, które wspanialej i trwalej niż wszelkie granitów i spiżów pomniki, imie jego potomności przekażą. Jakoż nie ociągał się najjaśniejszy pan w spełnieniu swej monarszej obietnicy, gdyż w tymże samym dla kościoła i państwa pamiętnym roku 1856 na dniu 8 października, wydać raczył prawo, mocą którego najważniejszy przedmiot prawdziwą podwalinę społeczności ludzkiej stanowiący, sprawy małżeńskie oddał pod sąd biskupów.

W myśli zatem i w wykonaniu tego prawa działając, a obowiązkowi urzędu mego, jaki w tej cząstce winnicy Pańskiej na teraz sprawuję czyniąc zadosyć, postanawiam sąd biskupi spraw małżeńskich dla dyecezyi tutejszej. Was to najmilsi bracia w Chrystusie wzywam i powołuję do składu tego sądu, was przezacni współpracownicy moi, w których gruntownej nauce i biegłej w ustawach kościoła świętego znajomości, w gorliwości o dobro i zbawienie bliźnich, w cnocie i nieskazitelności charakteru dostateczną mam rękojmię, że za ten wybór przed sądem najwyższego Sędziego Boga nie będę odpowiadał. A w szczególności wzywam i powołuję:

Na sędziego i sądu przewodnika, to jest na prezesa: JW. JX. *Karola Teligę* S. T. D. kanonika katedralnego krakowskiego sędziego surrogata konsystorza biskupiego, professora publ. zwycz. wydziału teologicznego w uniwersytecie Jagiellońskim.

Na sędziów: JW. JX. *Sylwestra Grzybowskiego* S. T. magistra, kanonika katedralnego krakowskiego; W. JX. *Felixa Sosnowskiego* S. T. D. proboszcza kollegiaty i parafii św. Anny, professora publ. zwycz. i dziekana wydziału teologicznego w uniwersytecie Jagiellońskim; W. JX. *Michała Mioduszewskiego* professora SS. kanonów i obrzędów w zakładzie teologicznym dyecezalnym, assystenta Zgrom. XX. Missyonarzy domu Stradomskiego; W. JX. *Franciszka Piątkowskiego* S. T. D. kanonika hon. kaliskiego, rządcę domu kapłanów wysłużonych dyecezyi krakowskiej.

Na sędziego zastępcę: W. JX. *Eugeniusza Tupy* kan. zakon. premon., proboszcza parafialnego św. Salwatora na Zwierzyńcu.

Na obrońcę małżeństw: W. JX. *Filipa Gołaszewskiego* professora teolog. moral. w zakładzie teol. dyecezalnym, dyrektora seminaryum biskupiego.

Na notaryusza sądu: W. JX. *Leopolda Górnickiego,* proboszcza kościoła parafialnego w Pleszowie.

A teraz, bracia najmilsi! przed rozpoczęciem obowiązków jakie z mocy urzędu swego sprawować macie, raczycie dopełnić, czego się od wszystkich, którym ważniejsze jakie posłannictwo porucza, kościół domaga, raczycie mówię złożyć wyznanie wiary w osnowie przez św. Sobór Trydencki przepisanej, a następnie każdy wykonać przysięgę w rocie urzędowi swemu odpowiedniej.

O biednych rekonwalescentach szpitalnych w Krakowie.

Pod tym tytułem dziennik „*Czas*“ umieścił w dwóch artykułach, bardzo zajmującą, praktyczną, dobrze obmyślaną rozprawę, która dla ważności poruszonej kwestyi i w zagranicznych czasopismach rozgłos i uznanie znalazła. Autor pomienionej rozprawy silnie przemawia za potrzebą urządzenia zakładów dla biednych robotników, którzy wyszedłszy ze szpitalów, znajdują się przez pewny przeciąg czasu w stanie zupełnego opuszczenia i bez żadnej pomocy w tej właśnie chwili, gdzie człowiek osłabiony, nieodzyskawszy sił potrzebnych, w pracy dla siebie niemożliwej szukać musi sposobów do utrzymania życia. Kto nie widzi, że dzieło projektowane przez „Czas“, godnem jest ze wszech miar, aby obudziło troskliwość ludzi szlachetnie myślących? Nie tylko bowiem w Krakowie, ale i w wielu bardzo miejscach, los rekonwalescentów jest opłakany, i zwraca na siebie uwagę i staranie dusz miłością bliźniego przejętych. O dałby to Bóg! ażeby mieszkańcy Krakowa korzystając z podanych w pomienionej rozprawie uwag, zajęli się tą sprawą czynnie i żwawo. Kilku obywateli ożywionych duchem wiary i miłości bliźniego mogłoby się porozumieć w tym celu i uposażyć miasto instytucyą świątobliwą w oczach Boga i ludzi. Będzie to przykładem, który obfite przynieść może owoce. Naśladowany w innych miejscach stanie on jako nowy dowód nieustającej nigdy chrześciańskiej miłości bliźniego.

List apostolski J. W. księdza Arcybiskupa Ormiańskiego Lwowskiego.

Samuel Cirill Stefanowicz z Bożej i Stolicy apostolskiej łaski arcybiskup metropolita Lwowski Ormiański, J. C. K. Ap. Mości rzeczywisty tajny radca.

Wszystkim wiernym duchownym i świeckim dyecezyi naszej, pokój i pozdrowienie w Panu! Kilka lat temu, gdyśmy słysząc o bliskim upadku i zupełnym prawie zniszczeniu naszych parafialnych kościołów w Tyśmienicy i Stanisławowie, w troskliwości naszej o zachowanie tych najdawniejszych dyecezyi świątyń, do was o pomoc się udali, nie naprożno tuszyliśmy, iż jak zawsze tak i tym razem usłuchacie głosu pasterza waszego. Jakoż dziś z radością oznajmiamy wam najmilsi w Chrystusie, iż skutek tej odezwy przewyższył oczekiwania nasze! Złożone bowiem przez was w całej dyecezyi i za obrębem kraju naszego ofiary, dozwoliły nietylko pomienione kościoły od upadku ochronić, lecz dopomogły one na długie lata wzmocnić, wspaniale odnowić i przyozdobić; nadto kościół nowo wystawiony w Łyscu wewnątrz upiększyć, oraz pomieszkanie parafialne w Stanisławowie odbudować i rozszerzyć. Doniesiono nam również z jaką uprzejmością przyjmowaliście wysłańców naszych w tym celu, we wszystkich parafiach i wszędzie, gdzie tylko rodzina ormiańska zamieszkała; jak szczerze, hojnie i ochoczo składaliście wedle możności dary na ołtarzu Pana, dla ocalenia tych starodawnych zabytków naszej bogobojnej przeszłości.

Tem to najmilsi spełniliście najprzód święty obowiązek ku Bogu jako chrześcianie, którym czuwać należy nad utrzymaniem i rozszerzeniem chwały Bożej na ziemi; powtóre, jako nieodrodni pobożnych przodków naszych potomkowie.

Oni to wszędzie gdziekolwiek osiedli, najpierw stawiali Bogu kościoły, w mocnem przekonaniu, iż gdy Bóg z niemi zamieszka, pomyślność i wszelkie błogosławieństwo z niemi będzie. Oni też wraz z nieskalaną wiarą przekazali nam obowiązek zachowania tych świątyń, jako najdroższe po sobie pamiątki.

Niemniej daliście dowód gorliwości waszej, któren służy światu za przykład, nam zaś nad brzegiem wieczności stojącym, za przedmiot wewnętrznej radości.

Jeżeli bowiem zważymy, ile to kościołów już za naszej pamięci rozsypało się w gruzy, ile w chwili obecnej spieszy ku upadkowi bez najmniejszej ocalenia nadziei, a to dla powszechnej niemal obojętności chrześcian na rzeczy święte; owo zgoła jak myśl człowieka coraz bardziej ku ziemskim zwrócona rzeczom; jeżeli pracuje, to na doczesność; jeżeli się troszczy, to jedynie o wygody ciała; jeżeli buduje, to w celu ziemskim i dla ziemi; natenczas dziękujemy wam za każden i najmniejszy dar na ten cel złożony; lecz przedewszystkiem w uniesieniu radośnem dzięki składamy Panu miłosierdzia za was najmilsi, iż dał wam pojąć i uczuć to, co jest zbawiennem; udzielił łaskę pragnąć i wykonać dzieło święte; iż duch oziębłości, któren za dni naszych tak dotkliwe kościołowi przyniósł straty, nie oziębił serc waszych szczerych i Bogu wiernych, iż lubo oddaleni od nas przestrzenią miejsca, ściśle połączeni jesteście jednością wiary, siłą miłości wzajemnej i temto statecznem przywiązaniem do starodawnych zwyczajów, pamiątek i cnót ojców naszych! Jest to dla nas rękojmią, iż jesteście latorośl świeża i żywa zjednoczeni z Chrystusem Panem naszym, tą winną macicą dającą soki zdrowe i żywot duszy! Bo odcięta i odrzucona od niej, ażaliż wydałaby owoc tak święty i zbawienny?!

Oby też w odnowionych domach Bożych odnowiła się i podwoiła gorliwość wasza, rozgorzało serce tkliwą ku Bogu miłością, obudziła się i ożywiła nadzieja i ufność wasza w nieograniczoną dobroć Boga! Dałby Bóg, ażeby nauka Chrystusa w tych świątyniach głoszona, trafiała do przekonania i uczucia waszego, byście z tego źródła żywota czerpali pokój dla duszy waszej i natchnienie spraw świętych! a te cnoty anielskie staną się, wierzajcie nam, najprzedniejszą i najwspanialszą tych świątyń ozdobą!

Dziękujemy niemniej osobom duchownym i świeckim, którzy troskliwie i z poświęceniem zatrudniali się zbieraniem ofiar czynionych; a jako swe usługi Bogu poświęcając, nie szukaliście nagrody ziemskiej, ani dbaliście o względy ludzkie, tak też Pan sam niech będzie cząstką i nagrodą waszą wielką!

Wam zaś najmilsi bracia w Chrystusie, których jest wzniosłem powołaniem sprawować najświętszą ofiarę za żywych i umarłych, szczególnie polecamy i obowięzujemy, abyście za tych nowych dobrodziejów kościoła ofiarę świętą sprawowali, modłami waszemi Boski gniew przebłagać, a miłosierdzie Jego wyjednać starali się. Imiona fundatorów z wiernym opisem rzeczy, mają być zachowane na wieczną pamiątkę przy aktach kościelnych.

Wszystkim zaś z uprzejmego serca udzielamy błogosławieństwo nasze pasterskie:

W imie Ojca † i Syna † i Ducha świętego † Amen.

Lwów, dnia 27 grudnia 1856 roku.

(L. S.) *Samuel Cirill.*

Kajetan Kajetanowicz, jener. konsystorza kanclerz.

Śmierć J. ks. biskupa Bocheńskiego.

W niedzielę dnia 25 stycznia r. b. umarł we Lwowie najprzew. JM. ks. Jan Bocheński biskup Rożeński in partibus inf. sufragan J. Em. kardynała metropolity halickiego arcybiskupa lwowskiego obrz. gr. kat. jeneralny wikaryusz, prezes metrop. konsystorza, dziekan lwowskiej gr. kat. metrop. kapituły przeżywszy lat 74. Solenny obrząd pogrzebowy odprawił się 28 stycznia w gr. kat. archikatedralnej cerkwi św. Jerzego.

Nominacye kościelne.

Na konsystorzu tajnym odbytym 19 marca Ojciec św. między innemi mianował ks. Grzegorza Szymonowicza kapłana archidyecezyi ormiańskiej i kanonika katedralnego kościoła lwowskiego biskupem metropolitańskim in part. inf. z zapewnieniem przyszłego następstwa po JKs. Samuelu Stefanowiczu arcybiskupie lwowskim obrz. orm. — i księdza Spiridiona Litwinowicza kapłana archidyecezyi lwowskiej obrz. greckiego, proboszcza przy kościele św. Barbary w Wiedniu biskupem kanatańskim in part. inf. Po-

mieniony JKs. Litwinowicz przez J. C. K. Ap. Mość świeżo mianowany został dziekanem katedralnym przy kapitule lwowskiej.

Zapis dobroczynny ś. p. ks. Piotra Medyńskiego.

Godzi się podać do wiadomości powszechnej zapisy pobożne na cele miłosierne i edukacyjne uczynione przez ś. p. ks. Piotra Medyńskiego proboszcza grecko-katolickiego w Starej Jagielnicy w obwodzie czortkowskim. Przed śmiercią złożył bogobojny ten kapłan gotówką 100 złr. na zakład ślepych we Lwowie; 100 złr. na zakład głucho-niemych, tamże 200 złr. na szpital w Czortkowie; 285 dukatów na stypendyum dla jednego z uczniów gimnazyalnych obrz. gr. kat. Testamentem zaś zapisał: 645 rubli na szkołę trywialną w Starej Jagielnicy; 600 złr. na wdowy i sieroty po gr. kat. duchownych dyecezyi lwowskiej; 200 złr. na ruski dom narodowy we Lwowie; 200 złr. na kościół w Starej Jagielnicy, nakoniec bibliotekę swą przekazał g. k. dekanatowi w Czortkowie.

Zakłady dobroczynne we Lwowie.

Instytut ciemnych we Lwowie niedawno upadkiem dla braku funduszów zagrożony, teraz się podźwignął. Miasto Lwów wyszczególnia się w tej mierze, i zasługuje (równie gmina jak pojedyńczy mieszkańcy) na tem większe uznanie, iż należy do miast bardzo miernie uposażonych w majątki. Znajduje się tu kilkanaście zakładów dobroczynnych i wszystkie się utrzymują, a koszta łożone na te zakłady i na pojedyńczych ubogich wyniosą zapewne na kilka kroć stotysięcy złr. rocznie. Do najważniejszych należy niezawodnie zakład roboczy dla płci obojej. Siostry miłosierdzia mają zarząd tego zakładu i nie można nie widzieć zbawiennych skutków ich opieki. Wychowanie religijne młodszych, a naprowadzenie na tór obyczajności starszych, jeźli tego potrzebują, przyzwyczajenie ich do pracy, lub nastręczanie służby tym, które chcą pracować, oto główne zajęcie Sióstr miłosierdzia. Obok nauki religii udzielają tam początkowych szkolnych nauk, głównie zaś uczą robót niewieścich potrzebnych służebnym. Zakład ten dał w roku zeszłym 127 niewiastom schronienie, około 20 z nich oddał na służbę, a prawie takąż liczbę powrócił rodzicom.

Nie mniej starannej opieki doznają tam chłopcy. Uczą się religii i początkowych nauk, prócz tego zaś rzemiósł w miejscu, a znaczną liczbę oddają na naukę rzemieślników. Szkoda, że tym zakładem nie opiekuje się również świątobliwe męzkie bractwo, jak niewieścim Siostry miłosierdzia. Fundusz na wybudowanie gmachu wzrósł już do kilkunastu tysięcy, a koszta roczne utrzymania przenosiły 20,000 złr.

Katalog prowincyi Galicyjskiej zakonu OO. Jezuitów na r. 1857.

Z drukowanego katalogu prowincyi galicyjskiej wyjmujemy następujące obchodzące nas bliżej wiadomości:

Prowincya Galicyjska liczy 68 Ojców, 14 kleryków i nowicjuszów, 33 braciszków. Z innych prowincyi przydzielono do niej 3 Ojców.

Przy O. Józefie Brown prowincyale urząd konsultorów prowincyi sprawują OO. Jan Galicz, Mik. Baworowski, Henryk Candon i Maciej Czyhir Socyusz O. prowincyała.

W rezydencyi Lwowskiej przełożonym jest O. Galicz. Tu należą O. Kiejnowski, znany u nas O. Kasper Szczepkowski, Jan Biehl i O. Baworowski. — W rezydencyi Łancuckiej składającej się tylko z 5 Ojców i 2 braciszków przełożonym jest O. Michał Kawecki.

Do rezydencyi Sandeckiej zostającej pod przewodnictwem O. Pawła Ciechanowieckiego liczą się zasłużeni w Wielkiejpolsce OO. Proniewski, Perkowski, Czeżowski i Załęski. Z tej rezydencyi OO. Peterek, Czeżo-

wski i Załęski, zajęci są w Krakowie przy więzieniu i przy klasztorze Norbertanek, OO. Perkowski i Obrąpalski przy klasztorze zakonnic w Staniątkach.

Missya Śremska liczy 9 Ojców i 3 braciszków. Wymieniamy ich z kolei: O. Kamil Praszałowicz, superior, OO. Michał Śliwowski, Antoni Kurowski, Karol Snarski, Jerzy Kułak, Józef Wawreczka, Max. Klinkowstroem, Michał Harder i Teofil Baczyński. Braciszkowie Ignacy Pietrzycki, Jan Hawerdlik i Jan Plaski.

W domu nowicyatu w Starej Wsi jest 5 Ojców i 6 braciszków. Przełożeństwo sprawuje tam O. Józef Siedmiogrodzki.

Konwikt tarnopolski ma za rektora O. Franciszka Kautny. Tu się liczą O. Ignacy Poczobut, O. Wład. Kiejnowski, O. Fryd. Kolinek, O. Jan Zranicki, tudzież znani u nas O. Adolf Kamieński, O. Alex. Markiewicz, O. Karol Benisch i O. Fryd. Schiketanz. Ogółem jest w Tarnopolu 17 Ojców i 12 braciszków.

Pozostaje czasowo w innych prowincyach Ojców 9, kleryków i nowicjuszów 13 (między niemi Michał Mycielski w prow. Austr.)

Umarli w ciągu r. 1856: Kazimierz Kasper braciszek w Śremie, OO. Markiewicz i Markijanowicz w Sączu, Mikołaj Budźko w Tarnopolu słynny niegdyś na Białejrusi missyonarz i Kasper Małoga w Ameryce.

Z dawniejszej prowincyi ruskiej pozostaje jeszcze 62 Ojców i 15 braciszków, a między niemi O. Fryd. Krupski i O. Franciszek Scherer w prowincyi Austr. O. Maurycy Nizard w prowincyi Franc. OO. Brown, Chmielowscy, Ciechanowiecki, Czyhir, Galicz, Kiejnowscy, Kułak, Obrąpalski, Perkowski, Snarski, Zaleski, Załęski, Zranicki i t. d. w prowincyi Galicyjskiej, Ledergorw w prow. Niem., Balandret w prow. Lugduńskiej, Peters w prow. Niederlandzkiej. Pierling Jakób (assystent Jenerała Zakonu) Chodykiewicz, Dłotowski, Dmowski Józef (professor filozofii niegdyś w Coll. rom.) Janiszewski, Leśniobrodzki, Suszyński i t. d. w prow. Rzymskiej; OO. Bukaciński, Chreptowicz, Felkierzambowie, Pniewski, Raduszkiewicz, Suryn i t. d. w prow. Tauryńskiej, Niewiarowski i Sieńkiewicz w prow. Weneckiej.

KOŚCIOŁ POLSKI POD RZĄDEM ROSSYJSKIM.

KRÓLESTWO POLSKIE.

Dom przytułku dla niemowląt ubogich rodziców w Warszawie.

Od dnia 1 czerwca 1856 roku, zaprowadzonym został sposobem próby na lat trzy pod wiedzą i zawiadywaniem Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, dom przytułku dla niemowląt, w zamiarze przyjmowania na codzienne pielęgnowanie dzieci ubogich rodziców od 6 tygodni do 3 lat mające, któremi się rodzicie, z powodu zarobkowania swego za domem, zajmować nie mogą. Pani hrabina z Tyzenhauzów Uruska ofiarowała na utrzymanie tego zakładu kapitał wieczysty 2000 rubli śr. z którego 5% płacić się obowiązała, a prócz tego, co braknie w pierwszym roku do uzupełnienia kwoty 450 r. s. koniecznej na utrzymanie projektowanego instytutu z własnych funduszów dostarczyć.

Bractwo czci nieustannej Najśw. Sakramentu i inne oznaki pobożności w Warszawie.

Na wzór założonego w Belgii przez ks. Boone Soc. Jes. i bardzo się szerzącego bractwa Czci nieustannej Najśw. Sakramentu, zaprowadzone zo-

stało takowe i w Warszawie. Celem tego bractwa jest wynadgrodzenie nieczci i obelg Chrystusowi Panu, które od grzeszników i złych Chrześcian odbiera. Ku temu końcowi osoby tego stowarzyszenia obowiązują się na przemian do godzinnej przed Najśw. Sakramentem lub też i w domu modlitwy. Inny cel tego bractwa jest uposażenie w ozdoby kościelne, zniszczone i ubogie kościoły wiejskie. Kilkadziesiąt dam pracuje jak niegdyś nasze prababki nad sporządzeniem ornatów i przyborów kościelnych, lub ze składek utworzonych z wystawy corocznej tych pięknych robót, zakupuje nowe materyały do nowych ozdób ołtarzy, i tym sposobem już około 60 kościołów w stolicy i na prowincyi przyozdobiono.

Zawiązało się także w Warszawie stowarzyszenie Felicyanek, którego patronem św. Franciszek Seraficki, reguła tercyarska, cel opatrywanie starych kobiet i wychowywanie małych dzieci. Liczy dotąd 12 sióstr, lecz gdyby opatrzony został dostatecznym funduszem na zakupienie domu z ogrodem, zebrałoby się ich kilkadziesiąt dla prowadzenia tego dzieła w całej rozciągłości. Przełożona wiele musiała kandydatek odprawić dla braku miejsca i funduszu.

Także zaprowadzony został różaniec żywy; to jest 15 osób się zbiera i tworzą jedną różę, rozbierając między sobą tajemnice różańca. W ogólności fizyonomia Warszawy pod względem religijnym coraz bardziej pocieszająca; codzień napełnione kościoły, konfessionały zawsze zajęte, wszędzie panująca cisza uroczysta, nieprzerywana szeptami i przechadzaniem się po kościele, mniej więcej jednostajne ubiory, wszyscy się modlą z książek, a nawet mężczyzni skromnie zajęci modlitwą, i bynajmniej niewidać tego, aby przychodzili w dom Boży w celach na dom Boży nieprzystojnych, jak to niestety! dzieje się gdzie indziej. Łaska Boża spoczywa widocznie nad Warszawą.

Instalacja arcybiskupa Warszawskiego JKs. Ant. Fijałkowskiego.

Kurijer Warszawski podaje następujący szczegółowy opis instalacyi Arcybiskupa Warszawskiego JKs. Fijałkowskiego odbytej w dniu 11 stycz.:.

„Uroczystość wzięcia paliusza jako oznaki godności arcybiskupiej, przez X. Antoniego Melchiora Fijałkowskiego, nowo mianowanego arcybiskupem warszawskim, odbyła się w kościele archi-katedralnym i metropolitalnym św. Jana z wielką solennością. Książe Gorczakow namiestnik królestwa, wraz z swoją małżonką i rodziną, oraz znakomitemi damami zajął miejsce na tej uroczystości, w tak zwanej loży królewskiej; członkowie rady administracyjnej, senatorowie, członkowie senatu, wysocy dygnitarze, członkowie władz rządowych, oraz liczni pobożni, napełnili świątynię Pańską aby uczestniczyć na tym uroczystym obrzędzie. O godzinie 10½ dostojny arcybiskup przybrany w ponsową metropolitalną odzież, przybył przed kościół metropolitalny św. Jana, gdzie przy drzwiach wielkich tego przybytku Pańskiego oczekiwała na Jego Excellencyą prześwietna kapituła metropolitalna, włącznie z duchowieństwem świeckiem i zakonnem archidyecezyi tutejszej. Po wejściu do przedsionka świątyni Pańskiej, JX. prałat Dekert archidyakon metropolitalny, podał przybyłemu arcypasterzowi kropidło, którem dostojny arcybiskup pobłogosławił tak duchowieństwo jako i lud obecny. Po dopełnieniu tego Jego Excellencya wprowadzony został processyonalnie do wnętrza kościoła, gdzie na przygotowanym klęczniku oddał adoracyą najświętszemu Sakramentowi, i postąpiwszy do prezbiteryum zajął miejsce na przygotowanym również w tym celu klęczniku. Wtedy biskup Łubieński rozpoczął celebrę pontyfikalną ofiary świętej w obec JX. Michała Marszewskiego, biskupa nominata dyecezyi kujawsko-kaliskiej; X. Benjamina Szymańskiego, biskupa nominata dyecezyi podlaskiej; X. Tomasza Myślińskiego, administratora dyecezyi płockiej; X. Macieja Majerczaka, administratora dyecezyi kieleckiej; prałatów i kanoników metropolitalnych i innych dyecezyj.

Po kommunii św. złożono na ołtarzu paliusz, to jest oznakę godności arcybiskupiej, a dostojny arcypasterz powstawszy z klęcznika, przybrał się w pontyfikalne aparaty.

Po ukończeniu mszy św. X. prałat Białobrzeski, scholastyk metropolitalny, wszedłszy na ambonę, odczytał duchowieństwu i zgromadzonemu ludowi bullę Ojca św. Piusa IX papieża, prekonizującą Jego Excellencyą X. Fijałkowskiego, arcybiskupem metropolitą warszawskim; poczem przed siedzącym na faltistoryum X. biskupem Łubieńskim, jako celebrującym, Jego Excellencya arcybiskup metropolita wykonał klęczący przysięgę na wierność Stolicy Apostolskiej i przysięgę na wierność cesarzowi Alexandrowi II w obec radzcy tajnego Muchanowa, dyrektora głównego prezydującego w kommissyi rządowej spraw wewnętrznych i duchownych. Tu nastąpiła chwila włożenia na arcybiskupa paliusza, tej oznaki władzy metropolitalnej, czego dopełnił imieniem Ojca św. X. biskup Tadeusz Łubieński. Przyjąwszy paliusz dostojny arcybiskup metropolita, wszedł na stopnie ołtarza i udzielił duchowieństwu, oraz zebranemu ludowi pasterskie błogosławieństwo. Następnie udał się na tron arcybiskupi i z całą rzewnością i namaszczeniem religijnem, przemówił do duchowieństwa i ludu. Po skończonej przemowie Jego Excellencya przyjmował od duchowieństwa mającego na czele biskupa Łubieńskiego, hołd uszanowania. Zszedłszy zaś z stopni tronu przed wielki ołtarz, arcybiskup zaintonował „Te Deum laudamus," a po ukończeniu tego hymnu, odśpiewane zostały zwyczajne modły za Ojca św. i monarchę. Tak dokonaną została ta uroczysta ceremonia, po której najdostojniejszy arcybiskup metropolita zdjąwszy aparata, odprowadzony został przez duchowieństwo do drzwi wielkich archikatedry i powrócił do pałacu swego."

W *Kronice Warszawskiej* czytamy mowy miane przy installacyi arcybiskupa warszawskiego.

Mowa X. biskupa Łubieńskiego przed włożeniem paliusza:

„Spełniam miłe dla mnie posłannictwo, którem w imieniu Ojca św. Piusa IX papieża obarczę twe plecy tem godłem twej nowej w kościele Bożym dobroci, tem jarzmem nowej dla ciebie pracy, tym węzłem umyślnie dla ciebie z grobu świętych apostołów Piotra i Pawła przysłanym, który jak jednym końcem wiązać cię będzie z temiż apostołami w osobie ich prawych następców, a naszych Ojców świętych papieży, tak drugim końcem wiązać cię będzie z nami, którzy twój kościół, twą oblubienicę, twą trzodkę stanowimy, z całym krajem, w którym będziesz stanowić ten punkt jedności naszej z powszechnym kościołem.

Dwanaście już upłynęło lat, jak chociaż zastępczo, ale jako prawdziwy pasterz przewodniczyłeś nam i dałeś dowody twej starannej pieczołowitości i sprawiedliwości, mocy i wytrwałości, a najwięcej ku nam miłości; ztąd też mamy już niepłonną nadzieję, lecz pewność, że dziś odebrawszy za pośrednictwem i łaską Stolicy Apostolskiej od samego Boga ku nam posłannictwo, tem skuteczniej nas na drodze zbawienia prowadzić będziesz. My zaś, tak jak ten paliusz otoczył twe barki, tak i my przylegniem do ciebie i otoczym naszą pracą, uległością, posłuszeństwem, a przedewszystkiem naszą wdzięcznością i miłością, i Boga nieprzestannie błagać będziemy, ażeby dzieło które w tobie rozpoczął, i dokonał: a utrzymując ciebie w czerstwem zdrowiu w jak najdłusze jeszcze lata, utwierdzał w dobrem i coraz nowych sił dodawał, ażebyś był naszą chwałą; my zaś chociaż niejaką ozdobą do twej w wieczności korony."

Mowa X. biskupa Łubieńskiego przed hołdem duchowieństwa składanym arcybiskupowi:

„Excellentissime, Illustrissime ac Reverendissime Archipræsul! Gaudium magnum est nobis, hodie enim hæc Ecclesia Metropolitana, viginti ferme jam ab annis, suo orbata pastore, — Te suum sponsum, ac rectorem lætabunda suscipit, gratias agens Deo omnipotenti, quod ejus viduitati respexerit, et cooperantibus voluntate Potentissimi Imperatoris ac Regis nostri Alexandri II, sed maxime Sanctissimi Domini nostri Pii IX Papae, Te nobis Pastorem designaverit.

Ideoque nos hic præsentes primogeniti ex nunc et in posterum filii Tui, non solum nostro, sed etiam et totius Cleri ac populi Tuæ commissi vigilantiæ Deum Summum deprecantes, ut Te salvum, sanum ac incolumem ad multos adhuc annos ad sui nominis gloriam nostramque salutem conservet. — Te prout nostrum Patrem, Rectorem ac Pastorem veneraturi accedimus, Tuam exoptantes benedictionem, atque ut nos nomine omnium ad osculum pacis admittere digneris."

Duchowieństwo Warszawskie.

W duchowieństwie Warszawskiem wiele ostatniemi czasy zaszło awansów spowodowanych wyraźną wolą cesarza, który baczne zwraca oko na obsadzenie wysokich godności kościelnych. Kanonie metropolitalne obsadzone zostały, jako też i inne dostojeństwa kościelne dotąd wakujące. Ks. Tadeusz Łubieński ma zostać sufraganem warszawskim. Bratanek jego ks. Konstanty Łubieński, który słynął w Petersburgu ze swoich kazań francuzkich bawi obecnie w Warszawie. Wielki tu brak kaznodziei. Ks. Mętlewicz dotąd jedynym jest kaznodzieją, co prawdziwie uczy i wzrusza swoich słuchaczy. O. Anicet prowincjał OO. Kapucynów, zajęty nowemi obowiązkami, rzadko na ambonę wstępuje, z której dawniej tak wymownie święte prawdy głosił.

Pomnik dla ks. Kordeckiego w Częstochowie.

Jeszcze w roku zeszłym w czasie bytności Cesarza, księża Paulini z Jasnej Góry w Częstochowie podali prozbę o pozwolenie wzniesienia pomnika sławnemu obrońcy Częstochowy ks. Kordeckiemu, a ich niegdyś przełożonemu, i zebrania potrzebnego na to funduszu przez składki prywatne. Cesarz przychylił się do prośby pod warunkiem, jeżeli władza miejscowa nie będzie miała nic przeciwko temu. Lecz właśnie władza miejscowa miała wiele przeciw temu, a nawet zarządziła jakieś śledztwo na podających prośbę księży Paulinów. Gdy o tem prześladowaniu Cesarzowi doniesiono, monarcha oświadczył swe nieukontentowanie miejscowej władzy, udzielił bezwarunkowe pozwolenie na stawianie pomnika; a nawet polecił wypłacić z własnej szkatuły 30,000 złp. na składkę w celu jego wzniesienia dozwoloną.

DYECEZYA KUJAWSKA.

Poświęcenie JKs. Michała Marszewskiego na biskupa dyecezyi kujawskiej.

„*Kronika*“ z dnia 26 stycznia umieszcza następujący artykuł z Warszawy:

W dniu wczorajszym odbył się w arcykatedrze świętego Jana uroczysty obrzęd poświęcenia nowego biskupa dla dyecezyi kujawskiej, ks. *Michała Marszewskiego.* Konsekratorem był Jego Excelencja ks. Antoni Fijałkowski, arcybiskup warszawski, do czego mu według rytuału kościoła rzymskiego assystowali księża biskupi rodopolitański i bełzki, suffragan chełmski.

Nominat biskup, który obecnie na stolicę kujawską wstępuje, jest jeszcze w samej sile wieku i może długo pracować około dobra i zbawienia owieczek swoich. Urodził się w tej samej dyecezyi, której teraz zostaje duchownym ojcem, w Gdańsku, d. 13 sierpnia 1800 roku. Ma więc dzisiaj 56 lat życia. Ukończywszy seminarjum we Włocławku, poświęcony dnia 17 sierpnia 1823, już wtedy został pisarzem konsystorza kujawskiego. Był następnie wikarym katedralnym, kapelanem biskupim, wreszcie proboszczem w Wieńcu. Kanonikiem kaznodzieją katedralnym mianował go biskup Tomaszewski, a w roku 1848 scholastykiem kapituły. Wreszcie w konsystorzu był jakiś czas sędzią surrogatem i officjałem jeneralnym kujawskim, a po śmierci przed-ostatniego biskupa, w styczniu r. 1850 obrany przez kapitułę administratorem dyecezyi, już od lat siedmiu rządzi tem biskupstwem na które dzisiaj rzeczywiście wstępuje. Poznał swoich i znają go swoi.

Marszewscy, herbu Rogala i za czasów dawnej Rzpltej mieszkali ciągle i dobra posiadali na Kujawach; rodzina to ściśle miejscowa i jak widzimy, od kilkunastu pokoleń jakby przyrosła do ziemi, wśród której wychowała się i żyła. Jeden z Marszewskich był posłem z Kujaw, jeszcze na sejm lubelski 1569 roku.

Katedra zaś, na którą nowy biskup wstępuje, należy do najstarożytniejszych w ca-

łej Polsce. Wprawdzie historycy krytyczni przypisują stanowczo dźwignienie biskupstwa kujawskiego, dopiero Kazimierzowi odnowicielowi, ale dawne legendy i podania, początek biskupstwa odnoszą do Mieczysława pierwszego. Pierwsze jego siedlisko i stolica była jednak w Kruświcy, nie we Włocławku i biskupstwo długo nazywało się kruświckiem, lubo i temu zaprzeczali i podobno nie bez zasady uczeni. Wtedy granice dyecezyi bliżej oznaczył Eugenjusz III w roku 1148 wcieliwszy do niej okolicę Wolborską, kościół Najświętszej Panny w Zawichoście, probostwo Śgo Michała na zamku krakowskim i Gdańsk, Lemburg i Bytow tutaj również należały, w ziemi Kaszubów. Biskupstwo rozciągało się zatem długim a wązkim pasem od Wolborza aż po Gdańsk, ale zawsze miało więcej przestrzeni ku północy jak południowi: katedra czy w Kruświcy czy we Włocławku leżała wtenczas pośrodku pasa, dzisiaj zajmuje najpółnocniejszy kąt dyecezyi, bo się biskupstwo odłączyło od morza, a ku południowi więcej się rozciągnęło w naszych dopiero czasach, t. j. za ostatniego rozgraniczania dyecezyi królestwa. Biskup Onoldus (um. 1160) pierwszy przeniósł się do Włocławka. Odtąd w Kruświcy została się tylko kollegjata, ale porównana w godności z katedrą, na godnościach kościelnych miała zawsze znakomitych ludzi i miała takie stanowisko w dyecezyi kujawskiej, jakie posiadał kościół Śgo Jana warszawski dziś metropolitalny, w poznańskiej. Maciej Golanczewski (um. 1360) wybudował dzisiejszą katedrę włocławską. Wreszcie przywilejem datowanym w Łęczycy dnia 4 sierpnia 1418 r. Wład. Jagiełło podwoił znaczenie tego biskupstwa, zrównawszy prawa jego z prawami arcybiskupstwa gnieźnieńskiego: przywilej jest w dyplomatarjuszu Rzyszczewskiego.

Kujawy odznaczają się zawsze duchowieństwem: w samym XIXtym wieku dziesięciu prałatów i kanoników włocławskich wyszło na dyecezyalnych biskupów, nie rachując biskupów in partibus: takiej liczby żadna z dyecezyi dzisiejszego królestwa nie wskaże. Świetni też mężowie zajmowali tutejszą stolicę: Michał Godziemba, Maciej z Golanczewa, Mikołaj Lasocki, niedoszły kardynał, Jakób z Sienna, Stanisław Karnkowski, Hieronim Rozrażewski, Piotr Tylicki, Florjan Czartoryski, dwaj Szembekowie Stanisław i Krzysztof, Adam Grabowski i t. d. Mnóstwo nazwisk pominąć tu przyszło. Dwóch książąt szląskich tutaj zasiadało, Jan Opolski i Henryk Lignicki. Wzorem biskupów był na tej katedrze Hieronim Rozrażewski, który kardynałem miał być polskim po Radziwille. Jakób Uchański siedział również na tej katedrze: myślał o soborze narodowym jak kilku przed nim biskupów; Antoni Sebastjan Dembowski, o czem najmniej wiedzą nawet nasi uczeni, biskup za czasów saskich, kiedyś w świecie rejent koronny, należał do literatów, którzy przyszli razem z reformą Konarskiego i nowy wiek w piśmiennictwie zwiastowali. Pisma jego znajdują się w bibljotece publicznej w Petersburgu (między innemi są i komedje) a ci co je czytali zapewniają że mają swoją wartość. Za czasów Stanisława-Augusta Antoni Ostrowski biskup tutejszy założył suffraganję gdańską (1765—6). Od czasów ostatniej regulacyi biskupstwa, to jest od ks. Malczewskiego, dzisiejszy pasterz jest szóstym biskupem kujawskim: po Malczewskim szedł Jędrzej Wołłowicz (um 1822); Józef Koźmian (1831). Bezpośrednio zaś dzisiejszego pasterza poprzedzali: ks. Tomaszewski (um. 1850) i Mikołaj Błocki, który był tylko przez jedenaście dni biskupem nominatem (prekonizowany 17 listopada, umarł 28 tegoż miesiąca w roku 1851). Ksiądz Marszewski administrator wtenczas miał złożyć w ręce biskupa władzę, a zatrzymał ją od tego czasu jeszcze lat sześć, ksiądz Marszewski następuje zatem po sześcioletniej przerwie; tyleż lat prawie trwała przerwa pomiędzy biskupem Koźmianem a Tomaszewskim. Ksiądz Marszewski rachując w to dwóch pierwszych bajecznych biskupów, których krytyka odrzuciła, jest siedemdziesiątym ósmym biskupem w swojej dyecezyi. W dawnych czasach biskupi przezywali się imionami, a imiona odróżniali liczbą zupełnie jak papieże, stary to zwyczaj kościelny; otoż ks. Marszewski jest Michałem IIgim, jak ostatni ks. Błocki był Mikołajem VI. Pierwszym Michałem już ów przez nas wspomniony Michał Godziemba, który umarł w końcu r. 1252, a którego postać znakomita wspaniało świeci na tle dziejów. Znakomity to był obywatel i kapłan do którego charakterystyki wiele światła nam dostarczył dyplomatarjusz kujawski Rzyszczewskiego.

Dzisiejsza dyecezya kujawska największa jest z dyecezyi Królestwa i przestrzenią i liczbą swoich kościołów. Dawniejsza liczyła o sto mniej parafii.

DYECEZYA PODLASKA.

Dnia 30. stycznia odbyła się w kościele księży Missionarzy u Śgo Krzyża uroczystość religijna poświęcenia nowego biskupa dla dyecezyi podlaskiej ks. Benjamina Szymańskiego z zakonu ks. Kapucynów.

Żadne z biskupstw polskich nie jest tak młode jak podlaskie. Powstało dopiero za ostatniej regulacyi stosunków duchownych i dyecezyi królestwa, to jest w roku 1818. Wprawdzie wtenczas urządzono jednocześnie i dwa inne biskupstwa, które dodawano do sześciu dawniejszych, to jest sandomierskie i augustowskie, a jednak mimo to podlaskie będzie najmłodszem, bo sandomierskie było że tak powiemy dalszym ciągiem kieleckiego, augustowskie wigierskiego: podlaskie zaś dopiero w roku 1818 naprawdę się zaczynało. I przed rokiem 1818 biskupem dyecezyalnym był w Kielcach Wojciech Bożawola Górski, a w Wigrach sprawiali rząd duchowny Michał Karpowicz i Jan Klemens Gołaszewski. Erekcya biskupstw kieleckiego i wigierskiego sięga zaraz pierwszych chwil upadku Rzeczypospolitej, ostatnich lat zeszłego a pierwszych bieżącego wieku; księstwo warszawskie już obiedwie te stolice biskupie zastało.

Jeżeli jednak Podlasie nie dawno ma biskupstwo, dawno już pamięta biskupów. Janów nad Bugiem, który wybrano na stolicę dla nowej w r. 1818 dyecezyi od kilku już wieków, a od dwóch najmniej, ma ten przywilej, że jest mieszkaniem biskupów. Leżało to miasteczko litewskie w dawniejszém województwie brzeskiem, a zostawało pod duchowną władzą biskupów łuckich, którzy szczególniej upodobawszy sobie to miejsce wiele pamiątek do Janowa przywiązali, a wreszcie założyli tam sobie rezydencyę, bo ztąd nierównie bliżej im było przebierać się do stolicy: Janów na półdrogi przynajmniej leży pomiędzy Łuckiem a Warszawą. Trudno nam krok za krokiem w dorywczym okolicznościowym artykule śledzić za tem, co zrobili biskupi łuccy dla Janowa: dosyć będzie powiedzić, że tutaj umierali i chowali się, że tutaj byli bliżej wielkiego ołtarza, że mieli w Janowie sądziectwo z Radziwiłłami na Biały i t. d. Powoli miasteczko nabyło takiego znaczenia, że zostało prawie drugą stolicą biskupstwa łuckiego: Jan Lipski podkanclerzy koronny, ten sam co później był biskupem krakowskim i kardynałem, kiedy naprzód otrzymał infułę łucką, nie miał nawet czasu wjeżdżać do swojej katedry, bo już go druga goniła nominacya i już jako biskup nominat krakowski wjeżdżał tylko do Janowa (1732). Wreszcie od czasu kiedy kościół parafialny janowski podniesiono na kollegiatę, mieszkanie biskupów łuckich utwierdziło się jakby urzędowo w tych stronach. Stało się to za króla drugiego Sasa w roku 1740. Od tego czasu cały nawet środek ciężkości dyecezyi łuckiej przeniósł się do Janowa, biskupi tutaj ciągle siedzieli i rzadziej już zaglądali do katedry. Tutaj umarł Franciszek Kobielski, Antoni Wołłowicz i Adam Naruszewicz, wszyscy w Janowie pochowani.

Od czasu erekcyi kollegiaty janowskiej na katedrę, trzeci dopiero biskup podlaski ma rozpocząć pasterski swój urząd. Pierwszym był ksiądz Felix Lewiński, przedtém suffragan kujawski; wyszedł z owej dyecezyi, co to jak powiedziliśmy już, najwięcej biskupów w ostatnich czasach naszemu kościołowi dostarczyła, z Kujaw wyszedł i umarł na Kujawach (5. kwietnia 1825 r.) Drugim biskupem był ksiądz Jan Marcelli Gutkowski, trzecim jest dzisiejszy pasterz ksiądz Benjamin Szymański.

Ksiądz Benjamin urodził się w Warszawie r. 1793 w parafii Ś. Krzyża. Ma więc w obecnej chwili prawie 64 lat życia. Wstąpiwszy do zakonu Kapucynów pobierał u nich nauki duchowne w Lublinie, Warszawie, Lubartowie i Krakowie przez lat ośm. Ksiądz Woronicz biskup krakowski wyświęcił go na kapłana w roku 1816. Obrany kaznodzieją warszawskim w roku 1818, odtąd już ciągle zamieszkał w stolicy, i tylko zmieniał z kolei godności w zakonie. W r. 1828 został gwardjanem warszawskim i definitorem prowincji, w r. 1836 obrany prowincjałem, przez pięć trzyleci, godnie przewodniczył Kapucynom w Królestwie. Wtedy zrobiony kommissarzem jeneralskim zakonu (w listopadzie 1851) do obecnej chwili zatrzymał tę godność, którą znów połączył z prowincjalstwem w r. 1853. Prowincjalstwo złożył dopiero w ostatniej kapitule, która się odbyła w Nowem mieście nad Pilicą w lipcu 1856 roku, gdy miał już zostać biskupem podlaskim. Oprócz tego prefektem missyi był przez lat dwadzieścia. Świetne są zasługi wzglę-

dem zakonu swojego i względem kościoła O. Benjamina. Zacny ten, skromny zakon, który zawsze świątobliwymi odznaczał się ludźmi, podniósł jeszcze więcej w szacunku katolików: odtąd każde piękne exekwje u Kapucynów, każdy pogrzeb u Kapucynów, Kapucyni być muszą na każdej radośnej i smutnej uroczystości, bo bez tych ubogich braci św. Franciszka jakby coś brakowało. Staraniem ks. Benjamina, oraz ks. Wiatora Piotrowskiego, z daru cesarza Mikołaja I, wzniesiona została kaplica Sobieskiego w kościele warszawskim, później ks. Benjamin odnowił całkiem wewnętrzną postać klasztoru (1845). Kościół nasz nie zapomni nigdy ks. Benjaminowi tej wielkiej zasługi, że piękne, wspaniałe ruiny pozostałe po Cystersach w Lędzie przywrócił czci Bożej i że tam w nich Kapucynów osadził: za powtórnego fundatora klasztoru lędzkiego historja zawsze mieć go będzie, pierwszy żył przed kilkuset laty. Wreszcie ks. Benjamin pozostawia i pamiątkę w literaturze. Piękne dzieło poświęcone historji wszystkich zakonów katolickich męzkich i żeńskich, które u nas wyszło przed kilku laty z wielu rycinami, jego jest pióra.

Dzisiejszy biskup podlaski jest dopiero drugim Kapucynem polskim, który od lat dwustu blisko, jak zakon u nas osiedlony, otrzymał infułę. Pierwszym był ks. Antoni Kornel na Zdzianach Odrowąż Przedwojewski, także niegdyś prowincjał, a nareszcie biskup bolinieński, poświęcony na pasterza w r. 1768, umarł 1793 roku.

Poważny i uroczysty akt poświęcenia mieszczący Ojca Benjamina na szczycie kapłaństwa i hierarchii postanowieniem Chrystusa w kościele urządzonej, odbył się w tym samym zupełnie porządku, jak tydzień temu konsekracya ks. Marszewskiego na biskupa kujawsko-kaliskiego. Konsekrujący arcybiskup metropolita wprowadzony został do kościoła z wielką uroczystością przez zgromadzenie księży Missyonarzów mające na czele swoim ks. Andrzeja Dorobis, wizytatora jeneralnego i proboszcza kościoła Ś. Krzyża. Ks. Benjamin Szymański celebrował przed ołtarzem Ś. Felicissimy panny i męczenniczki. Po wykonaniu przysięgi na wierność stolicy apostolskiej, przysiędze na wierność cesarzowi i królowi Aleksandrowi II. był obecny radzca tajny Muchanów. Co zaś do ofiar składających się z dwóch świec jarzęcych, dwóch baryłek wina i dwóch chlebów, te, przed processyą nieśli: radzca tajny senator hr. Skarbek, radzca tajny Łaszczyński, radzca stanu hr. Aug. Potocki, radzca stanu Solnicki i hr. Andrzej Zamojski. Po ukończeniu Mszy św. metropolita udzielił arcypasterskie błogosławieństwo. Nastąpiło *Te Deum*, a nowo konsekrowany biskup w pontyfikalnym ubiorze przedstawiony został ludowi przez biskupów: hr. Łubieńskiego i Teraszkiewicza, poczem udzielił pasterskie błogosławieństwo.

Wyjątek z listu z dyecezyi Chełmskiej.

Z alumnów naszych seminaryjskich wyprawionych na uniwersyteta rossyjskie, wróciło teraz dwóch z kolei najpierwszych, Pociej i Szelemetko (Pociej syn ks. Jana Pocieja kanonika). Ks. biskup chełmski Teraszkiewicz odmówił im święceń co jest rzeczą bardzo ważną.

Starożytności kościelne.

Pan Aleksander Przeździecki zamieścił w *Gazecie Codziennej* następującą wiadomość, wyrażając życzenie, by ją inne dzienniki powtórzyły:

„*Muzeum chrześciańskie* w Rzymie wzbogaca się co dzień przedmiotami z pierwszych wieków chrześciaństwa, odkrywanemi w katakumbach na około wiecznego miasta. Pomniki grobowe oznaczone są prawie wszystkie napisami których zbiór stanowiłby ważny przybytek dla literatury archeologii chrześciańskiej. — Zbiór ten rozpoczął od lat kilkunastu uczony kawaler Jan Chrzciciel de Rossi w Rzymie. Nieodstępny towarzysz wielebnego Ojca Macchi, któremu papież poruczył poszukiwania po katakumbach rzymskich, kawaler de Rossi pierwszy nowo odkryte napisy postrzega, odczytuje i do swoich tabliczek przenosi. Jego zbiór napisów do kilkunastu tysięcy dochodzący, systematycznie na wieki i rodzaje podzielony, kosztem Stolicy Apostolskiej drukuje się w Rzymie. —

Pragnąc zbiorowi temu największą możebną doskonałość zapewnić, kawaler de Rossi zwrócił uwagę na wysyłane do wszystkich krajów katolickich relikwie, po większej części z katakumb wyjęte, czasem wraz z kamieniem grobowym i napisem autentycznym przesyłane. Zdarzało się także, że w listach dowodzących autentyczności przesyłanych relikwii (w autentykach), umieszczano kopie z napisów znalezionych w katakumbach. Z prożbą o takie napisy przy relikwiach przysyłanych do Polski udał się kawaler de Rossi za pośrednictwem mojém do uczonych kraju tutejszego.

Już jeden napis taki z kolegiaty łowickiej uczonemu archeologowi rzymskiemu posłałem. — W kaplicy św. Wiktoryi bowiem złożone są relikwie Świętej w trumnie śrebrnej a czaszka jej w złotej tece, sprowadzone z Rzymu w pierwszych latach wieku XVII przez Henryka Firleja, proboszcza miechowskiego, później biskupa płockiego, nareszcie arcybiskupa gnieźnieńskiego i prymasa. W ołtarzu św. Wiktoryi na marmurze wyryty napis:

Victoria quae vixit annos XVIII quiescit in pace. (Wiktorya, która żyła lat 18, spoczęła w pokoju).

Haec tabula cum sua inscriptione reperta fuit supra corpus S. Victoriae in Criptis Romanis via Salaria extra portam. (Tablica ta ze swoim napisem znaleziona została nad zwłokami św. Wiktoryi w katakumbach rzymskich, przy drodze Salaria po za bramą).

Kto podobne napisy albo ślady napisów znalazł, proszony jest o nadesłanie ich w kopii dla uzupełnienia zbioru i dzieła kawalera de Rossi, bądź niżej podpisanemu, bądź redakcyom pism peryodycznych, a zwłaszcza „Pamiętnika religijno-moralnego,“ które raczą zapewnie niniejszą wiadomość w szpaltach swoich powtórzyć.“

Aleksander Przeździecki.

Zmiana prawa o małżeństwie w Królestwie Polskiem.

Gazeta Rządowa Król. Polsk. z 17. lutego ogłasza akt, który uważać można za początkowe wykonanie jednego z warunków konkordatu czyli układu tymczasowego zawartego jeszcze w roku 1847 3go sierpnia między Stolicą Apostolską a rządem rossyjskim, ogłoszonego zaś dopiero r. 1856 w listopadzie. Akt ten stanowi, iż sprawy małżeńskie podlegaja sądom biskupim. W akcie tym ogłoszone jest zdanie rady państwa zatwierdzone przez Cesarza, a przeto zamienione w zasadę nowej ustawy, która usunie kilka artykułów obowiązującego dzisiaj prawa o małżeństwie z roku 1836, stanowiąc natomiast instancye sądu duchownego w sprawach małżeńskich osób rzymsko katolickiego wyznania, zgodnie z nowym porządkiem rozpoznawania tychże spraw przyjętym wspólnie ze Stolicą Apostolską. Akt ten brzmi jak następuje:

„Cesarz zdanie objawione w ogólnem zgromadzeniu Rady Państwa w przedmiocie zmienienia niektórych artykułów prawa o małżeństwie w Królestwie Polskiem, najwyżej zatwierdził i spełnić rozkazał. — Za prezesa Rady Państwa (podpisano) hr. Błudow.

Zdanie Rady Państwa. Wypisano z żurnalu departamentu spraw Królestwa Polskiego z dnia 16 maja i ogólnego zgromadzenia 11 czerwca 1856 roku.

Rada Państwa w departamencie spraw Królestwa Polskiego i w ogólnem zgromadzeniu, rozpoznawszy wniesione z rozkazu najwyższego przez b. ministra sekretarza stanu Królestwa wspólne jego i byłego namiestnika Królestwa przedstawienia o zmianie niektórych artykułów prawa najwyżej zatwierdzonego pod dniem 16 (28) marca 1836 roku o małżeństwie w Królestwie Polskiem, celem ustanowienia na nowo wspólnie z dworem rzymskim przyjętych zasadach, instancyj sądu duchownego w sprawach małżeńskich osób wyznania rzymsko-katolickiego, objawiła zdanie:

I. Celem zgodzenia przepisów prawa o małżeństwie z nowo ustanowionym, za zgodą dworu rzymskiego, porządkiem rozpoznawania spraw małżeńskich, zamiast artykułów 78, 79, 81 i 82 pomienionego prawa, postanowić co następuje:

a) Pierwszą instancyą sądu duchownego, w sprawach małżeńskich w Królestwie

Polskiem, stanowią miejscowi biskupi dyecezalni, w archidyecezyi warszawskiej arcybiskup ze swemi konsystorzami.

b) Drugą instancyą sądu duchownego stanowią: w sprawach osądzonych w pierszej instancyi przez biskupów, — arcybiskup warszawski, a w sprawach które były rozpoznawane w pierwszej instancyi przez tegoż arcybiskupa, — biskup jednej z sąsiednich dyecezyj według poprzedniego wyznaczenia przez dwór rzymski.

c) W razie niezgadzania się wyroków dwóch pierwszych instancyj sądu duchownego, również i w skutek apelacyj, skarg i protestacyj, rozpoznawanie spraw małżeńskich w trzeciej instancyi należy do Stolicy Apostolskiej.

d) Skargi na wyroki sądów duchownych Królestwa w sprawach małżeńskich podawane będą do sądu trzeciej instancyi w konsystorzu warszawskim, który przedstawia takowe do Rzymu porządkiem przepisanym za pośrednictwem poselstwa cesarsko-rossyjskiego.

II. Moc obowięzującą artykułów 69, 70 i 71 prawa o małżeństwie z r. 1836 należałoby uchylić i

III. Zamiast artykułu 72 prawa o małżeństwie z r. 1836 postanowić: Duchowny któryby dopełnił obrzędu ślubu religijnego małżeństwa z przekroczeniem zakazu artykułem 68 prawa o małżeństwie z roku 1836 postanowionego, podpadnie karze porządkowej pieniężnej i oprócz tego karze kościelnej.

Zdanie w oryginale podpisane zostało w żurnalach przez prezydującego i członków.

Zgodno z oryginałem: sekretarz państwa (podpisano) *W. Butkow.* Za zgodność: minister sekretarz stanu, radzca tajny (podpisano) *J. Tymowski.*"

PROWINCYE ZABRANE.

Nowe lub restaurowane kościoły w Litwie.

Wyjmujemy z Pamiętnika Relig. Mor. następujące wiadomości:

Dla serc religijnych, dla których wszystko to drogie co się tyczy wiary naszej, pocieszający i miły widok dzisiaj przedstawia Litwa; kędy albowiem po jej rozległych obszarach pojedziesz, wszędzie, dzięki gorliwości naszych, znakomitych cnotami i pięknemi czynami, pasterzy dyecezalnych, i obudzonemu w obywatelstwie naszem duchowi religii, spostrzeżesz już to wznaszające się nowe świątynie Pańskie, już to odnawiające się i upiększające dawniejsze.

Wilno samo nie miało nigdy tak pięknie i starannie utrzymywanych kościołów, jak obecnie. Najwięcej przyczynił się do tego dawniejszy biskup Wileński a teraźniejszy metropolita Jks. Wacław Żyliński, prawdziwy opiekun i stróż Bożych przybytków, który w czasie kilkunastoletniego swego sterowania tą starożytną i obszerną dyecezyą odbywając pracowite wizyty dycezalne umiał nakłaniać duchowieństwo i obywateli do niesienia ofiar na budowę i ozdobę świątyń Pańskich. W skutek usiłowań i zachęceń Jego, liczne już powstały świątynie, i jeszcze wznoszą się liczne; co też wiekopomnym pozostanie dowodem Jego gorliwości i poświęcenia się dla dobra kościoła, a razem najpiękniejszym pomnikiem zasług i dobrodziejstw, jakie czcigodny ten pasterz, wyświadczył dyecezyi Wileńskiej.

Jeszcze przed pięciu laty przejeżdzającego traktem pocztowym z Wilna do Mińska, w wiosce Krasnesioło zwanej uderzały wysoko sterczące mury z przyczepioną do nich kapliczką Pana Jezusa oddawna słynną cudami; były to już nadpsute ściany rozpoczętego przed 60 laty przez ówczesnego proboszcza ks. Charewicza kościoła parafialnego, a który zbiegiem nieszczęśliwych okoliczności po jego śmierci został niedokończonym i opuszczonym. Bolało serce parafian, że nabożeństwo odprawiało się w dre-

wnianym kościołku na cmentarzu, bardzo ubogim i już nachylonym ze starości do upadku; bolało i serce wylane dla kościołów pasterza dyecezalnego. Po jednej ze swych wizyt biskupich postanowił te nagie, zczerniałe i podziurawione mury, podług pierwiastkowego ich przeznaczenia przerobić na kształtną i ozdobną świątynię. Wezwał przeto do uskutecznienia tego pobożnego zamiaru, szanownego proboszcza ks. Tarollewicza i pobożnych parafian. Powolni głosowi powszechnie ulubionego pasterza wszyscy z ochotą wzięli się do tak świętego dzieła. Każdy wedle mienia i możności się przyłożył, lecz najgorliwszym w tej mierze był ś. p. P. Tyszyński Kazimierz. Sam zajął się doglądaniem budowy, dostarczał materyałów, kwestował, cieszył się z postępu fabryki; lecz o niezbadane Opatrzności wyroki! w chwili, gdy już stanęła świątynia, i tylko niedostawało wewnętrznego jej urządzenia, ażeby poświęconą była na służbę Bożą, śmierć nieubłagana wydarła go rodzinie, ziomkom, ludzkości, na kilka miesięcy przed konsekracyą kościoła, jedynego celu jego życzeń, myśli i zabiegów. Zwłoki jego spoczęły w Kraśnem-siole, na miejscu, które dlań było najulubieńszem, a gdzie tablica marmurowa skromnym napisem na długie czasy przypominać będzie tę wielką dla spółeczeństwa stratę.

Gdy nareszcie został ukończony kościoł wraz z kaplicą Pana Jezusa cudownego, połączoną z nim korytarzem, i umiejętnemi rękami pobożnej płci ozdobiony, i ustrojony jako oblubienica na gody weselne, zjechał JW. biskup Żyliński i konsekrował go w niedzielę 28go Sierpnia. Dziś świątynia Krasno-sielska, choć niewielka, mogłaby niechybnie zająć niepoślednie miejsce między przybytkami Bożemi w Wilnie lub Warszawie; wszystko w niej zdolne jest podnieść ducha pobożności. W wielkim ołtarzu obraz Wniebowzięcia Najśw. Panny jest kopią obrazu sławnego Murilla, znajdującego się w pałacu cesarskim, wykonaną po mistrzowsku przez znakomitego artystę tutejszej akademii sztuk pięknych P. Jusiewicza. Antepedia, poduszki i inne ozdoby ołtarzowe odznaczają się rysunkiem, delikatnością i gustem, a szczególniej antepedium z imieniem Maryi przy wielkim ołtarzu, na materyi srebrnej wyszyte przez wielebne panny Maryawitki Witebskiego klasztoru z wielką pracą, wdziękiem i bogactwem.

Przed dziesięciu laty Pan Najwyższy chcąc ludziom ukazać, jak mu są miłe miejsca, gdzie przebywają osoby jemu szczególniej upodobane, raczył zwrócić swe łaski na miasteczko o cztery mile odległe od Kraśnego-sioła Lebiedziów zwane, położone w gubernii Wileńskiej. Objawił się tu Pan Jezus jednemu z prostaczków; ludzie poczęli doznawać łask skutecznych i miejsce to stało się odtąd celem pielgrzymek z najodleglejszych okolic osobliwie w piątki każdotygodniowe. Dzisiejszy dziedzic tego miasteczka P. Cyprian Cywiński mąż pełen wiary i gorliwości o cześć Boską, znacznym nakładem własnym, odnowił kościół, upiększył drogiemi sprzęty, i nakoniec wyjednał u JW. ks. Biskupa Żylińskiego, pozwolenie zaprowadzenia czterdziesto godzinnego nabożeństwa w ostatnie trzy dni zapust. Na odgłos o tém nowem religijném dobrodziejstwie dla okolicy, kilkunastu kapłanów i liczne tłumy ludu zebrały się, a wymowne i pełne namaszczenia kazania niepospolitego kaznodziei księży Bernardynów z klasztoru Wołożyńskiego, i ks. Marcina Augustynowicza, proboszcza i dziekana słynnege z kaznodziejskiego talentu, wielkie przyniosły owoce w poprawie obyczajów ludu.

Cieszyć się i dziękować Najwyższemu należy, że w Litwie tylu znajduje się obywateli, którzy nie szczędzą swoich dostatków i pracy na chwałę Bożą. W tymże powiecie Wileńskim dwie nowe okazałe wznoszą się świątynie, jedna w miasteczku Dołhinowie za niezmordowaném staraniem i usilnością zacnego i światłego proboszcza ks. Józefa Lwowicza ze zgromadzenia księży Pijarów, którego imię dość wspomnieć, by każdy

w nim uwielbiał wzór kapłana pełnego wiary, i uczuć szlachetnych; druga zaś w miasteczku Radoszkowicach, na miejscu drewnianego kościoła, który ledwo co odnowionym będąc przez tamecznego proboszcza i dziekana ś. p. Jana Draudzika spłonął od piorunu w r. 1853. Następca jego ks. Piotr Żyliński, który już pierwej dał dowody, że umie przy małych środkach, dzwigać i wznosić świątynie Pańskie, chociaż z szczupłemi zasobami, ale z całym zapałem ducha wiary, wziął się do postawienia kościoła murowanego, którego ściany dotąd już pod dach wyprowadzone. Będzie to piękny i obszerny kościół z dwiema wieżami, mogący mieścić w sobie kilka tysięcy ludu, a lubo zacny ks. proboszcz ścieśniony jest w środkach materyalnych, Opatrzność litościwa pobłogosławi niezawodnie staraniom jego niezmordowanym.

Należy tu jeszcze wspomnieć o konsekracyi zeszłorocznego lata kościoła w Wołożynie, miasteczku dziedzicznem hr. Tyszkiewicza. Rozgłośne to miasteczko ze swej synagogi żydowskiej, powinno było mieć wspanialszą świątynię katolicką. Jakoż bogobojny przodek dzisiejszego właściciela, wystawił na środku miasteczka ogromną i kształtną bazylikę w nowym stylu budownictwa, i osadził przy niej OO. Bernardynów. Teraźniejszy dziedzic hr. Jan Tyszkiewicz w roku zeszłym odnowił ją bardzo ozdobnie, a w miesiącu lipcu JW. ks. Biskup Wileński dopełnił przy licznym zbiorze duchownych, obywatelstwa i ludu, obrzęd konsekracyjny.

Dukszty małe miasteczko pomiędzy Wilnem a Kiernowem o 5 mil od pierwszego, miało kaplicę w mur pruski zbudowaną r. 1647; w miejsce jej Pijarowie Wileńscy, których własnością zostały Dukszty, wybudowali kosciołek z takiegoż muru w r. 1772, i utrzymywali tu parafią nowo przez ks. biskupa Massalskiego erygowaną, gdzie też się przenieśli po zamknięciu szkół w Wilnie. Proboszczem teraźniejszym jest były rektor wileński, a pomocnikiem i współpracownikiem ks. Joachim Dębiński były prowincyał; rektor, znany tłomacz „*Filozofii życia*“ przez Szlegla. Jego to szczególnej gorliwości i zabiegom zawdzięcza zgromadzenie księży Pijarów wybudowanie wspaniałego w guście gotyckim kościoła w Duksztach. On to postarawszy się o zatwierdzenie planu budowy, Tomasza Tyszeckiego, w ciągu lat sześciu zbierał potrzebne fundusze z niezmordowaną pilnością, i od dnia 19 czerwca 1850 roku, gdy położono kamień węgielny, aż do 21 paźdź. r. 1856, w którym nowy kościół został poświęcony, dał on dowody, co może dokazać zaufanie w Opatrzność Boską. Nowa ta wspaniała świątynia, okazała zewnątrz, kryta blachą, wewnątrz niemniej świetne ma ozdoby. Organy, okna kolorowe, ołtarz w stylu gotyckim, do których obrazy wygotowali amatorowie, wszystko to prześliczne. Do tego jeszcze szpital przy kościele dla ubogich o sześciu izbach, wszystko to dzieło ks. Dębińskiego na wieczną jego zasługę, i cześć tym, co jego usiłowania hojnie wspierali, w których liczbie szczególniej także JW. Wacław Żyliński metropolita teraźniejszy z stanowczą pospieszył pomocą.

Nie tylko zaś w tym to obrębie Litwy, lecz i wszędzie widzieć się dają usiłowania pasterzy w podźwignieniu i odnawianiu świątyń; bo też i Litwa widzi dzisiaj z daru Boskiego w swych biskupach prawdziwych posłanników Chrystusa, wiernych włodarzy winnicy Pańskiej, umiejących pełnić wysokie obowiązki powołania swojego. Imiona też ich zasłyną w dziejach kościoła naszego.

W Mińsku katedra potrzebowała zupełnego odnowienia; uczuł tę potrzebę zaraz po objęciu rządów dyecezyi teraźniejszy jej pasterz JW. Adam Wojtkiewicz, biskup wielkiej nauki, wzniosłych przymiotów, sprawujący wysoki urząd ze wzorową roztropnością i umiarkowaniem, przez co potrafił sobie zjednać powszechną miłość i szacunek. Rozpoczął swoje pasterstwo od ozdoby duchownej swej oblubienicy, do czego nie mało sam

się przyłożył, wspólnie z JW. nominatem biskupem Pawłem Rawą, prałatem pełnym świątobliwości, cnót i miłości chrześciańskiej. Za ich przykładem wierni pobożni obfite składali ofiary i pieniężne datki, i tym sposobem zdołano ukończyć całkowite jej do najmniejszego szczegółu przerobienie i bogate przyozdobienie. Pieczołowity o dobro trzody swej pasterz odbywał w miesiącach letnich wizyty kościelne; na wieść o tem ogromne tłumy ludu zewsząd się ściągały, z wielką radością witano uwielbianego Pasterza. Ta radość i uniesienie ludu z powodu przybycia JW. ks. Biskupa szczególniej widoczną była w Nieświeżu, gdzie przez trzy dni niezmordowany w świętej pracy bawił. Trudno było przecisnąć się przez miasto; po ulicach bezustannie krzyżowały się pojazdy panów i wozy włościan, lud zalegał całe place przed kościołami, a w licznych oberżach trudno było znaleść przytułku dla później przybyłych. Wszystko w świątecznym stroju spieszyło do Nieświeża. W mieście tem szczególną opieką Opatrzności wszystkie ocalały kościoły i klasztory, piękna fara, klasztory OO. Bernardynów, Dominikanów, Panien Benedyktynek, a za miastem w lesie sosnowym klasztor S. Krzyża księży Benedyktynów. JW. ks. Biskup celebrował 2go Sierpnia w uroczystość Porciunkuli u ks. Bernardynów, wieczorem i nazajutrz bierzmował wiernych, a 4go w uroczystość S. Dominika celebrował u synów tego S. Patryarchy. Zebrało się też i wiele duchowieństwa, a pobożny orszak kilku tysięcy tłumił się po kościołach. Wspaniały i rozczulający był to widok! Dni te były dla Nieświeża dniami prawdziwej chluby i radości. Ruch i niezwykłe życie przypominało czasy ubiegłe z przeszłych stuleci, kiedy się huczne odbywały fety w zamku Radziwiłłowskim, wesela, obchody zwycięztwa pod Wiedniem, pobyt Stanisława Augusta, pogrzeby, uroczystości Jezuickie, albo już w nowszych czasach popisy młodzieży w słynnej szkole ks. Dominikanów, na które gromadnie zjeżdżano się w dzień S. Piotra, aby ucieszyć się rozdawaniem nagród i celującemi postępy młodzieży. Miały bo też szkoły Dominikańskie światłych nauczycieli: Czapliców, Pietraszkiewiczów, Zielonków, Glińskich, Laskowskich, Selwanów, Szostowickich, księdza Augustyna Zahorskiego dziś przeora w Agłonie, ks. Szkiłłądzia prefekta szkół w Petersburgu z chlubą wspomnianego przez P. Syrokomlę w Wędrówkach. Rzeczywiście też ze szkół zakonnych wychodziła młodzież światła, skromna, bogobojna, wolna od tylu, obecnej epoce właściwych wad i nałogów.

Zapisujemy jeszcze kilka świeżo wzniesionych kościołów. W Brześciu Litewskim już na ukończeniu piękna świątynia o dwu wieżach, kosztem rządowym wystawiona. W miasteczku Widziszki za Wilkomierzem w dyecezyi JW. biskupa Macieja Wołonczewskiego nowego Apostoła Żmudzi, na samej drodze z Kowna idącej, mile oku przedstawia się kościołek murowany z napisem: „Dajcie Panu chwałę“ w stylu gustownym wzniesiony przed rokiem pobożną gorliwością JW. Kostki marszałka powiatu Wilkomirskiego. Pod Wilnem w górach Ponarskich dobroczynna ręka powiększa i odnawia kaplicę słynącą w okolicy łaskami Pana Jezusa cudownego.

Drewniany kościół w mieście Ławkowie w gubernii Kowieńskiej od stolicy biskupiej Worń o 3 mile odległy; w roku 1623 przez Tallatów fundowany i zbudowany, przetrwał w pierwotnym swym kształcie 229 lat, to jest do 1852 roku, w którym dnia 10. maja JW. ks. Maciej Wołonczewski, biskup Żmudzki kamień węgielny na nową z muru postawić się mającą świątynię pod dawniejszym tytułem Znalezienia świętego Krzyża położył i poświęcił. Proboszczem miejscowym jest od lat 7 ks. Narkiewicz znany ze swej gorliwości, albowiem w przeciągu swego 37letniego kapłaństwa już trzeci kościół szczęśliwie zbudował. Przy rozpoczęciu fabryki miał do rozporządzenia nie więcej jak 1700 rubli, które już ze skarbu, już ze składek pobożnych parafian do kassy kościelnej wpłynęły. W roku

1855 dnia 22. czerwca gdy już ściany nowej budowy wyżej okien były wzniesione, pożar wszczęty w miasteczku, pochłonął stary kościół wewnątrz nowego dla odprawiania nabożeństwa pozostały, i z wielką szkodą zniszczył wiele przygotowanego materyału i rusztowania. Klęska ta tak dotkliwa, zamiast coby miała zniechęcić i spowodować opuszczenie rąk w tem przedsięwzięciu, ocuciła gorliwość parafian, iż ci z większą skwapliwością zaczęli nieść pomoc starannemu plebanowi. Oczyściwszy mur z pogorzeliska znowu wzięli się do pracy, i w roku upłynionym budowę kościoła ukończyli i cynkiem pokryli. W niedzielę 21 po świątkach po urządzeniu potrzebnem wielkiego ołtarza, gdzie nad cyborium umieszczono cudami słynącą figurę Pana Jezusa, kościół ten z polecenia Jw. Pasterza, ks. Otto Proniewski kanclerz dyecezalny słynny kaznodzieja, pobenedykował, i doń nabożeństwo wprowadził. Celebrans przyniosłszy Najśw. Sakrament do kościoła, w tem samem miejscu, gdzie przed 4 laty na kupie żwiru przemawiał przy poświęceniu węgielnego kamienia, już na stopniach ołtarza, dziękował licznie zgromadzonym parafianom za zbudowanie domu Bożego i zachęcał do dalszych ofiar na ozdobę świątyni Pańskiej. Po nabożeństwie wielu przyniosło swoje ofiary, i do książki na to sporządzonej zapisało się na kilkaset rubli śr. — W ogólności gorliwość o chwałę Bożą w dyecezyi żmudzkiej, ciągle wzrasta i objawia się nie mniej w duchownych, jako i obywatelach. Prawie nie napotkać kościoła, w którymby nie było coś nowego, już w reparacyi zewnętrznej, już wewnętrznych ozdobach. Niedawno ukończono budowę wspaniałego z muru kościoła, staraniem i kosztem bogobojnego hr. Benedykta Tyszkiewicza w czerwonym dworze pod Kownem. Również w Poszwytyniu w Poniewiczkim powiecie staraniem miejscowego plebana Jk. Antoniego Węckiewicza nowy z muru dom Boży stanął.

Obecnie wznoszą się też nowe murowane wspaniałe i kosztowne świątynie w Retowie, Birzach i Towianach, staraniem i kosztem wspaniałomyślnych i czcigodnych kollatorów JO. księcia Irenego Ogińskiego, Jw. hrab. Jana Tyszkiewicza i Jo. księcia Radziwiłła.

Wszędzie napotkać można troskliwość pasterzy dyecezalnych i panów o świątynie Boskie; co najlepiej przekonywa, że w wielkiej części minęła na Litwie obojętność dla rzeczy wiary, i że na przyszłość piękne jeszcze można wróżyć nadzieje. W skarbcach także kościelnych, kosztowne z nowszych czasów napotkać można ofiary wiernych z śrebra, a w niektórych miejscach z prawdziwą przyjemnością oglądać można arcydzieła mistrza srebra kościelnego p. Bojanowskiego Karola, artysty akademii sztuk pięknych, który dzisiaj jest niechybnie najpierwszym przedstawicielem tej sztuki w kraju naszym. Pan Bojanowski urodzony w Krakowie na początku bieżącego stulecia, blisko 30 lat mieszka w Petersburgu. Wszystkie jego utwory celują rozmaitością, elegancyą wynalazku, przewybornym gustem, i mogłyby zająć pierwsze miejsca na wystawach sztuk i przemysłu wszystkich narodów; dość widzieć kielich przed kilku laty prześlicznie zrobiony dla ś. p. arcybiskupa Hołowińskiego lub monstrancyi, pastorały i t. d. żeby zachwycić się artystycznem wykonaniem naszego ziomka.

Zakład dobroczynny w Wilnie.

Towarzystwo Wileńskich dam przy współdziałaniu małżonki pana gubernatora Anastaji Nazimów, przejęte uczuciami dobroczynności ku biednym, urządziło w Wilnie nowy dobroczynny zakład, którego cel jest następujący:

Z powodu mnóstwa ubogich zajmujących się robotami ręcznemi, które stanowią jedyne źródło ich utrzymania, lecz nie mających środków dla

zbycia ich w przyzwoity sposób otwiera ono sklep dla sprzedaży tych robot, z których każda bywa przyjęta, wystawiona publicznie na sprzedaż, i zapisana do księgi z wyrażeniem nazwiska i miejsca pobytu osób wnoszących, którym wzięte za ich prace pieniądze bez najmniejszych potrąceń oddane zostają. Wszelkie ofiary na rzecz tego zakładu, czy to w robotach ręcznych, czy w innych jakich darach przyjmują się z wdzięcznością, a pochodzące ze sprzedaży pieniądze stanowią własność zakładu, dla użycia ich na korzyść ubogich, dla których sprzedaje się także ciepła odzież po cenie najtańszej. Małoletnie ubogie dziewczynki mają wolny wstęp do tegoż zakładu, dla uczenia się szycia odzieży i bielizny, tudzież rozmaitych robót ręcznych. Dziewczynki te zostają pod dozorem osobnej mistrzyni, odpowiedzialnej przed wyższą zwierzchnością zakładu za ich postęp w nauce, tudzież za ich religijne i moralne wykształcenie. Każda z tych wychowanic obowiązaną jest uszyć pewną ilość sukien dla zaopatrzenia w nią osób ubogich, już to znajdujących się w zakładzie, już po za obrębem onego.

Miejscy i wiejscy mieszkańcy mogą zamawiać przedmioty robót ręcznych w sklepie dla ubogich.

ROSSYA.

Instalacya ks. Metropolity Wacława Żylińskiego w Petersburgu.

Dnia 9go Grudnia r. p. odbyła się w kościele katedralnym w Petersburgu uroczysta installacya Jks. Wacława Żylińskiego świeżo mianowanego metropolitą kościołów rzymsko-katolickich w Rossyi i arcybiskupem mohilewskim. *Tygodnik Petersburgski* opisuje tę uroczystość w następujący sposób:

„Po nieodżałowanej stracie uczonego i wymownego arcybiskupa Hołowińskiego, odznaczający się rzadką zdolnością do rządów biskup wileński X. Wacław Żyliński, który w przeciągu lat ośmiu, przeszło 300,000 osób pobierzmował, około 300 kapłanów wyświęcił i 41 kościołów pokonsekrował, mianowany przez panującego cesarza, arcybiskupem mohilewskim, i zatwierdzony przez Stolicę Apostolską, palliuszem, jako zamieniem arcybiskupiej dostojności, zaszczycony został. Oczekiwany przez osieroconą dyecezyę, przybył dostojny arcypasterz do Petersburga dnia 4go grudnia i niedzielę drugą adwentu, to jest dzień 9ty b. m., na przyjęcie palliusza wyznaczył. Przybyli też wezwani na tę uroczystość ks. Borowski, biskup łucko-żytomierski, i ks. Wojtkiewicz, biskup miński.

W dniu naznaczonym, kościół Ś. Katarzyny wspaniale, ale z majestatyczną prostotą przybrany został. Środek kościoła od drzwi aż do kratek wybity był ponsowem suknem, a całe presbyterium kosztownemi kobiercami wysłane. Naprzeciw tronu arcybiskupiego przygotowane były dwa wspaniałe siedzenia, jedno dla metropolity z asystencyą, drugie dla biskupa mińskiego, a przed kratkami przyrządzone były miejsca dla posłów katolickich i dygnitarzy państwa.

O godzinie 11tej arcybiskup, przybrany w ponsową metropolitalną odzież, rokietę, mucet i biret, przybył do kościoła. Asystowali mu dwaj prałaci mohilewscy i jeden kanonik wileński w togach swoich kapituł. Rzymsko-katolickie kollegium, akademia duchowna i całe duchowieństwo z krzyżem i wodą święconą, spotkało go u drzwi kościelnych. Arcypasterz ukląkł z pokorą na progu kościoła, do którego wchodził w imie Pańskie i błogosławiąc lud swojej nowej owczarni, przeszedł do wielkiego ołtarzu, gdzie otoczony asystencyą zasiadł na przygotowanem siedzeniu. Mszę św. celebrował pontyfikalnie biskup Borowski, a lud cały, w którego sercu nie wygasła jeszcze pamięć zmarłego przedwcześnie arcybiskupa Hołowińskiego, błogosławiąc Boga, pocieszył się widokiem nowego arcypasterza. Po kommunii wniesiono na bogatem wezgłowiu palliusz i złożono

na środku ołtarza, a arcypasterz, jakoteż biskup Wojtkiewicz, jak do celebry ubierać się poczęli. Po zakończonej ofierze Mszy św., dwaj biskupi z mitrami na głowach usiedli przy wielkim ołtarzu na faldystoryach, a kanonik wileński ks. Krasiński, w kapę przybrany, odczytał po łacinie bullę Ojca ś. Piusa IX. do arcybiskupa, do biskupów suffraganów, do kapituły mohilewskiej, do całego duchowieństwa i ludu, do biskupa mającego wkładać paliusz i nakoniec bullę o palliuszu. Następnie przez trzech kapłanów odczytaną została bulla do ludu po polsku, po francusku i po niemiecku. Tu arcypasterz zbliżył się do ołtarza bez mitry i uklęknąwszy wykonał przysięgę na wierność Stolicy Apostolskiej, a po niej przysięgę na wierność cesarzowi Aleksandrowi II, której, zbliżywszy się do ołtarza, raczył asystować minister spraw węwnętrznych Łanskoj. Po wykonaniu przysięgi arcypasterz klęcząc podług formy pontyfikału rzymskiego z rąk biskupa Borowskiego, w asystencyi biskupa Wojtkiewicza, przyjął palliusz i dał błogosławieństwo nowej swojej owczarni, a kościół zabrzmiał dziękczynnym hymnem *Te Deum laudamus*, po którym odśpiewane były modlitwy za N. Cesarza i Ojca św., za arcypasterza Wacława i cały kościół. Poczem metropolita, zasiadłszy na tronie, przyjmował powinszowania biskupów, ministrów i dygnitarzy, którzy ten obrzęd swoją obecnością uświetnić raczyli, oraz całego duchowieństwa.

Oddanie hołdu przez akademiję duchowną w Petersburgu Jks. Metropolicie Żylińskiemu, i wyświęcenie na biskupa ks. Wincentego Lipskiego.

Tygodnik Petersburgski umieszcza artykuł następujący:

„Kościół parafialny św. Katarzyny w Petersburgu, łącznie ze wszystkimi katolikami, dwa uroczyste akty w grudniu z religijną odbył radością i rzymsko-katolicka duchowna akademia tem żywszy brała udział we wspólnej radości, im ją bliżej i jeden i drugi akt, choć pod różnym względem obchodził.

Dnia 9 b. m. w osobie JW. *Wacława Żylińskiego*, arcybiskupa mohilewskiego i metropolity wszystkich rzymsko-katolickich kościołów w Rossyi, po wzięciu paljuszu, akademia powitała go głową swojego zakładu, składając publicznie hołd uległości i posłuszeństwa, jako nowemu zwierzchnikowi. Przez zgon albowiem nieodżałowanej pamięci arcybiskupa *Hołowińskiego*, który będąc najtroskliwszym jej orędownikiem, wielkie w niej przez osobiste kształcenie młodzi położył zasługi, zakład ten został osierocony ze swego głównego przewodnika; akademia przeto naoczny świadek życzeń nieboszczyka metropolity we względzie jego następcy, szczerze pragnęła iżby one jak najprędzej do skutku przyszły. I teraz modląc się za duszę ś. p. *Ignacego*, modli się też razem za zdrowie, pomyślność i długie lata jego następcy, czci najdostojniejszego arcypasterza *Wacława*.

Drugim wypadkiem niemniej radośnym dla akademii jest, iż rektor jej JW. prałat archidyakon wileński ks. *Wincenty Lipski*, potwierdzony został przez Stolicę Apostolską na biskupa jonopolitańskiego, suffragana dyecezyi tiraspolskiej. Nie mamy potrzeby mówić, ile ta wiadomość ucieszyła tych wszystkich, którzy mieli zręczność bliższego poznania tego czcigodnego kapłana. Wspomnę tu tylko o młodzieży sposobiącej się do stanu duchownego, na wychowaniu której JW. prałat dziś biskup, cały prawie swój wiek przepędził: bo z górą 30 lat jako najbliższy przełożony, w jednym z nią domu mieszkając, bez przerwy i wyłącznie się nią zajmował. Od roku albowiem 1825 w seminaryum wileńskiem a później w akademii, naprzód w Wilnie a 1842 r. do tutejszej stolicy przeniesionej, aż do dnia dzisiajszego, żaden z alumnów bez jego opieki, rad i pomocy nie obszedł się, żaden bez jego świadectwa na kapłana wyświęconym nie był. Niezwyczajna cierpliwość, przezorna oględność w obejściu się, ojcowskie pobłażanie, JW. *Lipskiego* tak dalece przywiązywały uczniów, dziś już różne stopnie w hierarchii kościelnej zajmujących, iż nazwisko jego stając się we wszystkich dyecezyach naszych popularnem, stało się w ustach kapłanów synonimem niezwykłej i delikatnej dobroci. Niepospolita znajomość nauk teologicznych, a mianowicie nadzwyczajna biegłość w obrzędach i śpiewie kościelnym uczyniły go niezbędnym przewodnikiem we wszystkich uroczystościach ceremonialnych kościoła naszego.

Wszakże nie ta tylko strona przemawiała za JW. prałatem *Lipskim*. Bulla Ojca św.

Piusa IX, wynosząca go na biskupstwo, między innemi tak doń mówił: „Na radzie którą mieliśmy z braćmi naszymi św. kościoła rzymskiego kardynałami, zwracając oczy nasze na ciebie, który z katolickich i szlachetnych rodziców śluby małżeńskiemi połączonych, w dyecezyi mohilewskiej urodziłeś się i dziś liczysz 61 rok życia a 30 kapłaństwa, pełniłeś z chlubą obowiązki kapłana i spowiednika, kaznodziei, wikaryusza katedry wileńskiej, egzaminatora dyecezalnego, bibliotekarza i cenzora ksiąg duchownych, adjunkta pisma św. i inspektora w rzymsko-katolickiej duchownej akademii, a czystością życia, nieskażonemi obyczajami, roztropnością tak w duchownych jak doczesnych interesach, my ciebie na biskupa jonopolitańskiego potwierdzamy i suffraganem tiraspolskim stanowimy."

W skutek tej bulli JW. metropolita *Wacław Żyliński*, niedzielę 3 adwentu t. j. 16 grudnia b. m. na konsekracyę jego na biskupa przeznaczył. W wigilią obrzędu alumni rzymsko-katolickiej duchownej akademii, chcąc choć słaby dowód uszanowania i przywiązania ku niemu okazać, ofiarowali mu na pamiątkę pontyfikał wytwornie oprawiony: nie sam dar małej wartości, ale dostojny biskup oceniając serca młodzieży duchownej, która mu z uczuciem rozrzewnienia tę księgę oddawała i sam od rozrzewnienia wstrzymać się nie mógł.

W dzień naznaczony zrana o godzinie 11tej, JW. arcybiskup zachowując tradycyę swoich poprzedników, zaprosił uprzednio do siebie JW. ks. *Lipskiego* i razem z nim do kościoła przybył. My w tem widzimy symbol, iż stosownie do bulli papiezkiej święcący się suffragan, za wierność i uszanowanie dla swego metropolity, pomocy, rady i opieki jego pewnym być może.

Całe świeckie i zakonne duchowieństwo, łącznie z alumnami akademii u drzwi kościelnych spotkało swego arcypasterza i elekta biskupa i kiedy kler rozpoczął antyfonę: *Benedictus qui venit in nomine Domini* (błogosławiony który idzie w imię Pańskie), arcypasterz przechodząc świątynię, lud tłumnie zgromadzony z obu stron błogosławił. Tu mimowolnie wpadały w oko ten ubiór i szaty świąteczne, w które z niemałym kosztem od przeszłej niedzieli dom Boży był przybrany. Dziekan stolicy i przeor kss. Dominikanów, najprzewielebniejszy Jmć ks. Staniewski, pojmując głęboko myśl kościoła, który chce iżby kult katolicki w podobnych mianowicie zdarzeniach, odznaczał się właściwą sobie wystawną ozdobą i na ten raz jak zwykle, niczego tu nie pożałował.

Oto jest zarys obrzędów kościelnych, mocą których JW. ks. *Lipski* na biskupa poświęcony został. JW. metropolita po oddaniu w najgłębszej pokorze czci najświętszemu Sakramentowi, zasiadł na swoim tronie i przy stosownych modlitwach ubrał się pontyfikalnie, a elektus biskup udał się na lewo do osobnej kaplicy, zkąd po przywdzianiu aparatów kapłańskich, przez JW. biskupa łucko-żytomirskiego *Borowskiego* i JW. biskupa mińskiego *Wojtkiewicza*, przed wielki ołtarz do arcypasterza przyprowadzony został.

JW. biskup *Borowski*, przedstawiając elekta w imieniu kościoła katolickiego, prosił arcybiskupa konsekratora, iżby obecnego kapłana na biskupa wyświęcić raczył.

JW. metropolita zapytawszy, czy ma na to listy apostolskie? kazał je czytać. Po odczytaniu bulli przez prałata *Jakubielskiego*, elekt ukląkł przed arcypasterzem mającym obok siebie assystentów biskupów, i wykonał przysięgę Stolicy Apostolskiej, a potem na wierność dla najjaśniejszego cesarza Aleksandra II.

Po egzaminie zwykłym przy poświęceniu biskupów, arcypasterz mszę św. rozpoczął, a elekt w assystencyi dwóch biskupów, w swojej kaplicy, wziąwszy św. szaty biskupie, również mszę św. aż do ewangelii odprawił.

Tu znowu biskupi przyprowadzili elekta do arcybiskupa konsekratora, który wyliczywszy mu obowiązki przyszłe, zabrał się do samego aktu poświęcenia. W tej to uroczystej chwili elekt upadł na twarz przed ołtarzem, i gdy arcypasterz odmawiał litanią do Wszystkich Świętych, święcący się biskup krzyżem leżał. Znak ten pokory silnie się odbić musiał w przytomnych, patrząc na taką postawę kapłana w posłudze duchownej osiwiałego, i słysząc wspólną za nim do Boga modlitwę, a mianowicie kiedy arcybiskup z biskupami w imię Pańskie go żegnali.

Włożono potem na głowę elekta mszał, iżby ciężar tej księgi przypominał mu nie lekkie jego przyszłe obowiązki. Wszyscy biskupi kładąc ręce na głowę elekta, modlili się iżby Duch św. wszelkiemi go potrzebnemi przymioty, jak niegdyś Mojżesza, Aarona i innych,

ozdobić raczył. Po odśpiewaniu pierwszej strofy najstarożytniejszego hymnu św. Ambrożego *Veni Creator Spiritus*, arcypasterz usiadł na faldistorium i przy stosownych modlitwach naprzód głowę elekta, a potem obie dłonie olejem chryzmatu św. namaszczył.

Nastąpiło poświęcenie pastorału, i podanie go przez JW. arcybiskupa w ręce Elekta, na znak jego pasterstwa. Pierścień, który jest symbolem ślubu zawartego z oblubienicą-kościołem, poświęcony przez samego konsekratora, włożony mu został.

Potem wszyscy biskupi, wręczając mu księgę Ewangelii i przypominając obowiązek opowiadania Słowa Bożego, dali mu pocałowanie pokoju.

Kontynuje się Msza święta, którą arcypasterz na tronie, a Elektus w swojej kaplicy odprawia.

Przed ofiarowaniem, arcybiskup usiadłszy na faldistorinm przez ołtarzem, oczekiwał na Elekta, który w assystencyi biskupów, poprzedzany przez sześciu kapłanów niosących dary, zbliżył się do ołtarza i klęcząc przy ucałowaniu ręki konsekratora, ofiarował mu na znak wdzięczności, naprzód dwie wielkie świece, potem dwie bułki chleba, i na ostatek dwie baryłki wina.

Od tej chwili, już wszyscy pozostali przy wielkim ołtarzu, i Elekt pośród biskupów, razem z konsekratorem, Mszę świętę odprawił. Po zwyczajnej benedykcyi przez arcypasterza we Mszy św. udzielonej ludowi, nastąpiło poświęcenie i włożenie mitry i rękawiczek Elektowi.

Arcybiskup w assystencyi biskupów podając rękę nowo wyświęconemu biskupowi posadził go na faldistorium, dotąd przez siebie zajmowanem, dał mu pastorał i hymn dziękczynny *Te Deum laudamus* rozpoczął.

W czasie hymnu nowy biskup, pontyfikalnie przybrany, w mitrze i z pastorałem idąc przez kościół, żegnał katolików zebranych; wróciwszy do ołtarzu, siedząc, czekał końca hymnu; po czem poraz pierwszy udzielił pasterskiego błogosławieństwa.

Nowy biskup, arcypasterzowi i biskupom stojącym w mitrach przy trzykrotnem przyklęknieniu, na podziękowanie życzył lat najdłuższych, śpiewając *ad multos annos*.

Dałby Pan Bóg, aby ten, który uroczyście przy ołtarzu życzył innym długiego życia, i sam też najpóźniejszej dożył starości!“

Kościółek nowy w Dirszlagar na Kaukazie.

Wśród gór Dagestanu na Kaukazie jest mała forteczka Dirszlagar. W niej od r. 1846 znajdował się Julian Surzycki z Lublina, jako szeregowiec przeznaczony do Samurskiego pułku. Młodzieniec ten pełen uczuć religijnych obudziwszy podobne uczucia w towarzyszach swoich tegoż co on wyznania, powziął myśl założenia kościółka, gdzieby w braku innego nabożeństwa, jak na miejscu odludnem, przynajmniej modlitwą wspólną wierni mogli się pokrzepiać w duchu, i cześć oddawać Panu Bogu. Owczasowy dowódca pułku Samurskiego pułkownik Kessler, pochwaliwszy zamiar, wyjednał zatwierdzenie władz wyższych; i w roku 1853 pierwszy założono fundament. Surzycki i jego towarzysze własnoręcznie pracowali w chwilach wolnych od służby rządowej kopiąc glinę, wyrabiając cegłę, sprowadzając i ociesując drzewa, wszystko to z szczupłych zasobów, jakie z oszczędności własnych żołnierskich mieć mogli. Ściany tego kościółka są z surowej cegły z gliny ze słomą urobionej i wysuszonej na słońcu, jakie tam używają i do budowli fortecznych. Dach jest trzciną kryty, a nad nim wznosi się wieżyczka z sygnaturką. Dla braku funduszów i rozmaitych przeszkód, a mianowicie że Surzycki z obowiązku służby musiał opuścić Dirszlagar, poświęcenie uroczyste kościółka dopełnionem zostało dopiero w roku 1856 w dzień S. Stanisława przez ks. Pruszkowskiego kapelana z Temir-Chan-Szuvy. Na uroczystości tej znajdowali się wszyscy katolicy z Dirszlagar; przybył też sam budowniczy i fundator kościółka. Sam kościółek poświęcony jest pod tytułem S. Józefa, i zaprowadzone zostało bractwo mające na celu utrzymanie kościółka i nabożeństwa. Tenże Surzycki z pomocą jednego z kolegów, porobił kopie, niektórych obrazów do

ozdobienia ołtarza i ścian, a ofiary z Polski nadesłane uzupełniły potrzeby zakrystyjne. Co niedziela i święto kościółek bywa otwarty, a w braku kapłana sami wierni odśpiewują religijne pieśni.

Dyecezya Kamieniecka.

W dyecezyi tej jak się dowiadujemy z prywatnego listu; — wszedł do seminaryum jeden pobożny młodzienniec. W Rossyi, jak wiadomo, o każdego seminarzystę nowego trzeba podawać o zatwierdzenie do rządu z dołączeniem metryki i innych papierów. Otóż gdy zobaczono że ten młodzienniec rodzi się z schizmatycki, zaraz kazano mu opuścić seminaryum z zagrożeniem wielkiej kary jeżeli napowrót nie zostanie schizmatykiem.

EUROPA.

ANGLIA.

Kolonia rolnicza w Mount Saint Bernard.

W miesiącu maju roku zeszłego opat Trapistów klasztoru Mount Saint Bernard w hrabstwie Leicester założył kolonie rolnicze dla młodych przestępców katolickich. W więzieniach winowajcy tego rodzaju tracą wiarę i psują się, w zakładach o jakim mowa, wszystko ich do poprawy życia i zmiany usposobień prowadzi. Rząd angielski płaci za każdego przestępcę 1 złp. gr. 28 dziennie, ale wszystkie inne wydatki Trapiści ponoszą. Jest już w zakładzie 150 przestępców, ma być 300 bo tyle dom pomieści. Na zakupienie domu i roli opat się znacznie zadłużył (dług wynosi około 200,000 złp.), zaczém wysłał do Francyi zbierać składki. Inspektor rządowy bardzo przychylny o nowym zakładzie ministrowi spraw wewnętrznych złożył raport.

Szpital katolicki w Londynie.

Szpital katolicki w Londynie o którego założeniu wspomnieliśmy, wznosi się na Great Ormond Street, Queen Square Bloomsbury. Poświęcił go dnia 19 listopada roku zeszłego kardynał Wiseman. Szpital jest pod inwokacyą świętej Elżbiety Węgierskiej. Liczba łóżek na teraz ogranicza się do trzydziestu. Siostry miłosierdzia zarządzają domem, osobny kapelan potrzeby duchowne opatruje i miewa codzień mszę w kapliczce.

Wniosek P. Spooner.

P. Spooner i w tym roku wniósł w parlamencie angielskim o komissyą do rozpoznania praw na mocy których udzielony jest zasiłek rządowy seminarium katolickiemu w Maynooth w Irlandyi. Tą razą wniosek jego większością 167 głosów przeciw 159 usunięty został.

Odczyty publiczne.

Odczyty publiczne (lectures) o przedmiotach zdolnych zająć umysły, są w zwyczaju angielskim; owóż katolicy angielscy używają tego sposobu aby publiczność co do kwestyi katolickich oświecać. W ciągu zimy kardynał Wiseman czytał w Londynie *o konieczności wiary i łaski aby Anglią z ciemnoty tudzież niemoralności wyleczyć.* O. Christie w Liverpool *o zbawiennym wpływie władzy Stolicy Apostolskiej*, P. Capes redaktor pisma katolickiego *The Rambler* w Manchester *o kościele katolickim w Anglii jako źródle wszystkiego co zdrowe i potężne w cywilizacyi angielskiej*, nawrócony z anglikanizmu ks. Anderdon w Dublinie (w uniwersytecie kato-

lickim) *o ruchu oxfordzkim* to jest o puzeizmie tudzież nawróceniach na katolicyzm i t. d. Wszystkie te odczyty zrobiły rzeczywiste wrażenie.

Wybory do parlamentu w Irlandyi.

Z powodu nowych wyborów do parlamentu, prymas Irlandyi Dr. Cullen wydał pod datą 25 marca list pasterski do proboszczy z którego nieco przytoczymy. Na wstępie ks. Cullen żal swój wynurza że agitacya wyborcza przypada na koniec postu, na tydzień passyi i na wielki tydzień, dalej zaleca aby duchowni pamiętali co winni swemu świętemu charakterowi śród rozbudzonych politycznych namiętności. Nie macie powiada usuwać się od udziału w polityce boć to rzecz ważna żeby nasze interesa wieczne i doczesne zależały od ludzi chcących dobrze czynić, pamiętajcie tylko nietracić nigdy z oczu że waszem zadaniem pokój, że jesteście apostołami miłości. „Biorąc, są jego słowa, udział w robotach politycznych, nie uczy„nimy nic coby było niegodnem świętości naszego powołania jeżeli się za„stosujemy do rozporządzeń naszego soboru prowincyonalnego z r. 1853 „i do dekretów przyjętych przez arcybiskupów tudzież biskupów Irlandyi „w r. 1854, dekretów zatwierdzonych przez Ojca św. Nie miały one na „celu zniszczyć godziwego wpływu duchowieństwa, ani utrudnić mu obo„wiązku prowadzenia tudzież ostrzegania wiernych, jeno usunęły nadużycia. „W ten sposób działanie nasze zamknięte w należytych granicach stało się „szanowniejszem a silniejszem.“ Doktor Cullen zaleca duchowieństwu aby strzegło wiernych od przekupstw, gwałtów i pijaństwa w czasie wyborów. „Wszelako, przekłada, nie dość że wierni unikną złego, trzeba jeszcze „aby czynili dobrze. Wezwano ich do sumiennego wypełnienia obowiąz„ku jaki im konstytucya krajowa przepisuje. Nie chcemy wpływać na ich „zdanie, radzimy im przecież by głosy swoje oddawali ludziom poczciwym, „prawym, religijnym, moralnym, dbającym o dobro publiczne i niezdol„nym zejść z drogi honoru dla interesu własnego lub dla interesu stron„nictwa, ludziom nieobojętnym na zaniedbanie duchowe tudzież doczesne „ubogich w domach przytułku, dbałych o los klassy roboczej, gotowych „bronić praw religii od wszelkiej napaści. We wszystkich wyznaniach znaj„dują się ludzie oświeceni a wolnomyślni którzy przyjmą takie warunki „i wypełnią je summiennie. Nie brak protestantów którychby żadne względy „do napaści i pokrzywdzenia religii katolickiej nie skłoniły.“ Macie więc wolny wybór, powiada prymas, z wyjątkiem jednak fakcyi oranżystów. Na oranżystów zawziętych nieprzyjaciół katolicyzmu, stronników zniesienia aktu emancypacyi katolickiej, fanatyków prozelityzmu protestanckiego, głosować nie możecie. Czytajcie ich manifesta, chcą pozamykać klasztory, odebrać wsparcie dawane seminaryum w Maynooth i wychowanie klass ubogich opanować. W dalszym ciągu radzi ks. Cullen aby od kandydatów żądać zobowiązań: że będą się starać o poprawienie losu ubogich, który jak twierdzi jest gorszy w domach roboczych Irlandyi niż los zbrodniarzy, także o zaradzenie biedzie małych dzierżawców w ogromnej liczbie z dziedzicznych dzierżaw wyrzuconych, że nieomieszkają głosować przeciw prawom któreby wpływ rządowy na wychowanie w Irlandyi chciały wzmocnić lub systemat edukacyi mięszanej zgubnej dla religii zaprowadzały. „Nie chcemy przywi„lejów, są słowa ks. Cullen, ale mniemamy że Irlandya ma prawo posia„dać uniwersytet katolicki, kollegia katolickie i szkoły katolickie dla ubo„gich.“ Przytoczymy jeszcze z listu co następuje: „Podczas ostatniej sessyi „parlamentu często mówiono w sposób nieprzyzwoity o zastępcy Jezusa „Chrystusa na ziemi; grożono mu rewolucyą w jego państwach, pozbawieniem „władzy doczesnej tak wielebnej starożytnością swoją, tak silnie opartej na „sprawiedliwości, tak koniecznej dla dobrego zarządu kościołem powsze„chnym. Kiedy mowa o podobnych rzeczach, czyż nienależałoby żeby

„nasi reprezentanci byli gotowi odpierać zbrodnicze zaczepki, zwłaszcza „jeśli te od ministrów pochodzą? Czyż niepowinni oni być echem oburze„nia katolickiej Irlandyi w obec zelżywości miotanych na najwyższego na„czelnika jej kościoła, przedmiot jej czci i uwielbień, tudzież na świętą „religią, dla której Irlandczycy zawsze gotowi życie poświęcić.“ List kończy się wyrazami: „We wszystkich naszych potrzebach największą nadzieję „pokładajmy w modlitwie. To droga pewna, bo wszelkie usiłowania ludzkie omylają.“

Broszura biskupa Ullathorne.

Ks. Ullathorne biskup dyecezyi Birmingham napisał pod tytułem *Notes on the Education question* ważną broszurę o szkółkach katolickich w Anglii. Ksiądz biskup przyznaje że inspektorowie rządowi dozorujący tych szkółek z powodu że rząd daje subsydia, zgoła się w religijne rzeczy nie mięszają. Co ważniejsza, oświadcza się stanowczo za zakonami do prowadzenia szkółek a należy wspomnieć że po większej części są one w rękach zgromadzeń zakonnych.

Missye OO. Jezuitów.

O. Etheridge rektor OO. Jezuitów z Preston odpłynął z dwoma włoskimi Jezuitami do Guyany angielskiej. Kilku Jezuitów angielskich udaje się do ważnej missyi w Indyach wschodnich w Calcutta.

Śmierć O. Pawła Maryi Passyonisty.

Dnia 1 marca umarł w nowo założonym klasztorze Passyonistów blisko Harold's Cross w hrabstwie dublińskiem O. Paweł Marya w świecie znany Karol Reginald Pakenham brat hr. Longford, bliski krewny nieboszczki księżnej Wellington. Zmarły przyszedł na świat w r. 1821, doszedłszy do lat służył w gwardyi i jako kapitan gwardyi towarzyszył królowej do Irlandyi. Nawrócił się na katolicyzm w r. 1850 a w r. 1851 wszedł do Passyonistów. Wyświęcony na księdza w r. 1855 jeździł w następnym roku do Rzymu. Za powrotem został rektorem nowego klasztoru. Wielka łagodność i gorące pragnienie doskonałości cechowały tę piękną duszę. Nawróciły nieboszczyka książka *The spirit of A. Liguori* i rozmowy z kardynałem, ówczesnym biskupem Wiseman. Obrzędowi pogrzebowemu przewodniczył arcybiskup dubliński.

Wojna z Chinami.

Pomimo oppozycyi jaką ministerstwo znalazło w parlamencie, oppozycyi która rozwiązanie izby niższej spowodowała, wojna z Chinami jest nieuchronna. W tej wojnie Francya łączy się z Anglią a niezawodnie chodzi o najrzeczywistsze i najważniejsze interesa oświaty chrześciańskiej. Męczennictwo ks Chapdelaine, prześladowanie Chrześcian, dzika nienawiść jaką niezbyt zresztą odważny Mandaryn przeciw wszystkim cudzoziemcom podnieca, są to symptomata na które należało zwrócić uwagę. Wszyscy katolicy winni życzyć powodzenia wyprawie angielskiej; otworzyć ona może wrota nawróceniu Chin. Krew tylu męczenników chrześciańskich nie na darmo tam popłynęła.

BELGIA.

List Monsignora de Mèrode.

Po śmierci zacnego i pobożnego hr. Felixa de Mèrode otworzono w Belgii subskrypcyę narodową, aby pamięć tego znamienitego obywatela uczcić

wspaniałym pomnikiem. Rzecz uderzająca, za życia hr. de Mèrode prawość jego, szczerość i religijność niezdolna ustąpień światu, drażniła przeciwników, kłopotała ostrożniejszych przyjaciół, teraz wszyscy hołd jego cnocie oddają i sławią właśnie tę prawość i tę nieugiętość. Na czele komissyi subskrypcyjnej postawiono barona de Gerlache pierwszego prezydenta sądu kassacyjnego i autora znanej historyi Belgii; do niego Monsignor Ksawery de Mèrode przyboczny dworzanin papiezki, następujący list z Rzymu pod datą 19 lutego napisał:

„Panie Baronie. Nie będę się silił aby ci wyrazić wzruszenie jakiem „mnie przejęły wszystkie dowody czci śmierci mego ojca towarzyszące. Ojciec moj starał się zawsze życie swoje układać na wzór boskiego przewodnika dusz naszych, Jezusa Chrystusa, który ukochawszy swoich, ukochał „ich aż do śmierci. Radbym mocno żeby koniec jego odznaczony był cechą „uczucia co go ożywiało w całym zawodzie, to jest miłością Boga i bliźniego. „Że więc znajduję w numerze dziennika *Emancipation* który dziś odbieram, „zapowiedź składki na pomnik dla niego, mniemam że nie mogę wejść lepiej „w część spadku odziedziczonego śród tylu łez, jak starając się dopełnić „obowiązków, które ztąd na mnie spływają, zarazem wypłacić się z długu „za tyle i tak licznych, tak głośnych i tak wzruszających manifestacyi. Zaczem upraszam cię panie baronie, użyj wpływu twojego aby pomnikiem „o który chodzi był jaki zakład dobroczynny w Bruxelli. W takim celu oddaję do twego rozporządzenia sto tysięcy franków i nazwę się szczęśliwym „jeśli mój datek przyczyni się do ufundowania instytucyi pożytecznej zarazem „duszom i ciałom.“

Zdaje się z uwag dzienników że nie stanie się całkiem zadość życzeniu Monsignora de Mèrode; pomnik marmurowy postawią Belgowie albo w kościele św. Guduli, albo w kościele Minimów parafii zmarłego, wszelako zapewne i zakład dobroczynny się wzniesie.

Siostry miłosierdzia w fabrykach i stowarzyszenie kredytu dobroczynnego.

Jeden ze znaczniejszych fabrykantów belgijskich uderzony zaniedbaniem religijnem i moralnem robotników fabrycznych tudzież ich rodzin, powziął myśl osadzenia przy fabryce Sióstr miłosierdzia św. Wincentego a Paulo i szczęśliwie jej dokonał. Od pięciu lat istnieje przy jego zakładzie przemysłowym który zatrudnia 2000 robotników, dom Sióstr co najzbawienniejsze przynosi owoce. Siostry pielęgnują chorych, nauczają dzieci a nawet starszych, pocieszają, radzą, Pana Boga w każdej chwili dnia przypominają. Pod ich opieką zawiązało się towarzystwo damskie św. Wincentego, które biedniejszym rodzinom pomoc daje. Pobożny właściciel pilnuje, żeby jego robotnicy mszy co niedziele i święta słuchali, w każdym roku dba o dobro ich duszy o ich oświecenie, a fabryka zgoła na tem nie cierpi. Przykład ten odejmuje wymówkę niedbałym panom.

Doświadczenie szczęśliwie dokonane pobudziło inne pobożne osoby do zawiązania stowarzyszenia *kredytu dobroczynnego* (Societé civile du crédit de la charité) które powstało w Bruxelli w grudniu r. 1855 pod prezydencyą hrabi de Meus. Stowarzyszenie ma na celu zakładanie lub utrzymywanie szkółek katolickich dla dzieci robotników, tudzież przytułków dla starców lub kaleków, głównie w Bruxelli i w okręgach kopalni węgla prowincyi Hainaut tudzież Liège. Jedne i drugie chce powierzać zgromadzeniom zakonnym. W r. 1856 stowarzyszenie wydało około 27000 franków (43200 złp.) na pomoce dla szkółek utrzymywanych przez braci doktryny chrześciańskiej, siostry miłosierdzia i t. d. W ciągu roku bieżącego ma utworzyć przytułek dla starców i kaleków (inwalidów przemysłu jak ich nazywają) w Jemmapes, pod kierunkiem siostrzyczek ubogich (peti-

tes soeurs des pauvres). Starcy uprawiać będą obszerny ogród zakładu. Stowarzyszenie chciałoby we wszystkich okręgach roboczych, a w bliskości wielkich fabryk, pozakładać przytułki siostrzyczek, szkółki braci doktryny chrześciańskiej i sióstr miłosierdzia, ochronki, domy sierot i szpitale, ale musi iść zwolna naprzód. Kapitał stowarzyszenia składać będą akcye założycieli w summie 500,000 franków, akcye biorących udział mające się spłacać, tudzież dary. Akcye drugiej kategoryi przynoszą 20 od sta ale bez dywidendy, akcye pierwszej nic nie przynoszą. Co zostaje po opłaceniu procentu idzie na powiększenie kapitału. Pierwsze zgromadzenie ogólne akcyonaryuszów odbyło się 5go lutego r. b. Ze zdania sprawy dowiadujemy się że kapitał obecny przechodzi pół miliona franków (800,000 złp.) i że król wziął pewną liczbę akcyi. Piękne to przedsiewzięcie chrześciańskie zasługuje na uwielbienie.

Śmierć P. Dumont.

Sławny geolog i rektor uniwersytetu w Liège P. Andrzej Hubert Dumont umarł pierwszych dni marca a umarł jak żył zawsze budująco, po chrześciańsku. Na pogrzebie ks. biskup leodyjski z uczuciem nieboszczyka w pięknej mowie chwalił. W mowie tej przypomniał że lat temu kilka Ojciec św. z wielkiemi oznakami szacunku pana Dumont w Rzymie przyjmował. Pan Dumont był zdania że wszystkie odkrycia nauki zatwierdzają ściśłość podań Mojżesza.

FRANCYA.

Powrót do liturgii rzymskiej.

Ruch kościelny liturgiczny wzmógł się znacznie w ostatnich czasach we Francyi. Biskupi jedni idą za własnym popędem inni podają ucho na zalecenia i przełożenia Ojca św. Wielu z nich spieszy do Rzymu aby osobiście wszelkie trudności z kongregacyami rzymskiemi ułatwić, inni posyłają wikaryuszów jeneralnych, wszyscy pokazują dobrą wolę i posłuszeństwo tem chwalebniejsze, że często przychodzi im z żalem opuszczać liturgie miejscowe do których od dawna nawykli. Ksiądz biskup dyecezyi Nancy i Toul ogłosił pod datą 8 lutego list pasterski oznajmujący, że przyjmuje w zasadzie liturgię rzymską i że zamianuje komissyą do przygotowania zmian potrzebnych. Czytamy tam: „Wiadomo nam, że pobożni nazwyczaili „się do piękności naszego śpiewu i do wspaniałości naszych obrzędów, że „duchowieństwo nasze wysoko ceni porządny rozkład brewiarza dyecezal„nego, uczony wybór w textach Ojców, wierność w powtarzaniu słów pisma „świętego i szczęśliwe przyrównania między starym a nowym testamentem „ksiąg naszych liturgicznych; wszelako nie mogliśmy nie zwrócić pobożnej „uwagi na ten wielki ruch w społeczności chrześciańskiej, aby wszystko „napowrót do jedności przywieść. Zdało nam się, że w lekkomślnym wieku „naszym, w którym wysilenia bezbożności dążą do rozerwania aby zgubić, „wyraźna to łaska Pana Boga, iż dzieci kościoła tem skwapliwiej cisną „się do łona matki swojej, i powzięliśmy przekonanie że ten niesłychany „popęd katolików w obec sekt oderwanych ginących w niełdzie i zamię„szaniu, musi pochodzić od Boga, który jest jednością tudzież ładem. Z tych „powodów przejmowała nas święta radość na widok kościołów francuzkich „wyrzekających się swoich właściwych liturgii, by przyjmować powszechne „formuły i tak powoli urzeczywistniać ową wielką jedność o którą starali „się niegdyś usilnie Karol W. i Grzegorz VII. Zkądinąd nie było nam „obcem, że Stolica Apostolska uważa przepisy ustanowień soboru tryden„ckiego i buli św. Piusa V za obowięzujące, i że choć nie zabrania uży-

„wania mszałów tudzież brewiarzy starszych o 200 lat od bulli, odmawia „dla uniknienia fluktuacyi niebezpiecznych, pozwolenia wprowadzenia zmian „i popraw. Trzeba więc było zastanowić się przed Bogiem i szukać światła „w modlitwie, rozmyślaniu, a radzie ludzi roztropnych. Nie kwapiliśmy „się, nie poszliśmy za pierwszem uniesieniem, pamiętaliśmy na trudność „i ważność zmian w nazwyczajeniach pobożności, ale w końcu przyszedł „czas wzięcia postanowienia.“ Ksiądz biskup z Soissons wydał list pasterski zapowiadający, że z dniem Wielkiejnocy r. b. ma być zaprowadzony ceremoniał rzymski. Ksiądz biskup z Beauvais w okólniku swoim z 2 lutego rozporządził jakich ksiąg do śpiewu rzymskiego używać. Ksiądz biskup z Belley oświadczył publicznie, że myśli o powrocie do liturgii. Ale najbardziej uderzające są szczegóły do powrotu liturgii dyecezyi Besançon. Kardynał Mathieu arcybiskup z Besançon w liście swoim pasterskim z 29 stycznia opowiedział dzieje negocyacyi swoich z Rzymem. Oto w krótkości cały przebieg sprawy. Dnia 15 grudnia 1855 r. kardynał Mathieu przesłał kardynałowi Patrizi jako prefektowi kongregacyi Obrzędów list i dyssertacyą. Powołując się na swoje rozmowy z Ojcem św w epoce ogłoszenia dogmatu Niep. Poczęcia i na przełożenia mu uczynione co do trudności przejścia z obrządku bizontyńskiego na obrządek rzymski wnosi kardynał aby mu pozwolono wrócić do brewiarza i mszału ogłoszonych w r. 1667 i 1673 przez arcybiskupa Antoniego Piotra de Grammont. Bliżej rzeczy biorąc dyssertacya obejmuje historyą liturgii bizontyńskiej (bizuntini ritus) i wykład o starożytności tego obrządku. Kardynał Patrizi odpowiedział między innemi z 28 sierpnia 1856: „Ze wszystkiego coś Wasza Em. świętej kon- „gregacyi Obrzędów przełożyła, jawnie się pokazuje; że w epoce kiedy św. „Pius V konstytucye swoje co do brewiarza i mszału rzymskiego ogłosił, „dyecezya bizontyńska (Besançon) miała już od kilku wieków osobny „swój brewiarz i swój mszał osobny, że zatem służyło jej prawo zastrze- „żone owemi konstytucyami zachowania obu nadal, jakoż je zachowała; „dalej że już po czasach św. Piusa V arcybiskupi bizontyńscy tyle w te „dwie księgi dodatków i rozmaitych zmian wprowadzili, że jedna i druga „zostały zgoła z postępem czasu przerobione. Że zaś reguły postawionej „przez Grzegorza XVI w breve z dnia 6 sierpnia 1842 r. do arcybiskupa „remeńskiego, św. Pius V nie odmiany upoważnił, jeno zatrzymanie bre- „wiarzy i mszałów mających co najmniej lat dwieście istnienia, jasną jest „rzeczą, iż dyecezya bizontyńska wprowadziwszy tyle odmiennych rzeczy, „straciła prawo do wyjątkowego przywileju..... Wasza Eminencya zresztą „nie na prawie się opiera, ale się udaje do łaskawości stolicy apostolskiej.... „Z tem wszystkiem św. kongregacya Obrzędów nie mogła nie spostrzedz „jakieby zaszły niedogodności gdyby w brew ogólnym zasadom, przyznane „zostało Waszej Em. to czego odmawiano dotąd wszystkim biskupom wra- „cającym do liturgii rzymskiej. Zaczem rzeczona św. kongregacya widzi „się zmuszona oświadczyć, że nie może zadość uczynić żądaniu Waszej Eminencyi.“ Pisał jeszcze kardynał Mathieu do Rzymu pod datą 29 września żądając aby mu wolno było zatrzymać śpiew rzymski starannie przez arcybiskupa de Grammont poprawiony. Odpisano mu 27 listopada, że Ojciec św. życzy sobie, aby razem z liturgią rzymską wprowadzony został śpiew gregogoryański. Teraz kardynał Mathieu zapowiada powrót do liturgii rzymskiej, ale epoki nie naznacza. W liście pasterskim żwawo odpiera zarzuty tych co go o opieszałość i nieposłuszeństwo Stolicy Apostolskiej oskarżali. „Jestem przywiązany do liturgii rzymskiej, powiada kardynał, znam ją bom „się jej trzymał w młodości i później będąc biskupem w Langres. Jej „starożytność, jej powaga dają jej niezawodnie pierwszeństwo nad innemi. „Ja ją z całego serca wielbię i kocham. Wszelako postawiony na czele „kościoła bizontyńskiego, który od najdawniejszych czasów posiadał litur-

„gię własną, zgodną w wielkiej mierze z liturgią rzymską, a przyswoił sobie „zwyczaje najdostojniejsze starożytnością, miałem sobie za obowiązek nie „zatrzymać ją moją powagą, ale ją poddać pod ojcowski sąd Stolicy Apo„stolskiej.“ Kardynał w dalszym ciągu powołuje się co do godziwości osobnej liturgii naprzykład św. Karola Boromeusza, który liturgię ambrozyańską przywrócił do czystości i zachował. Mówi też kardynał o swoich pracach pasterskich w dyecezyi a to w następujący sposób: „Wiecie ileśmy „starań podjęli, od czasu jak jesteśmy między wami. W całej naszej dye„cezyi jednego miejsca zamieszkałego niema, choćby było jak najwyżej, „gdziebyśmy nie dotarli, niema ani jednej kapliczki którejbyśmy nie zwie„dzili. Wizyty nasze pasterskie ciągle i ciągle ponawiamy. Zwiedziliśmy „więcej jak ośmset świątyń pańskich a niektóre po dwa i po trzy razy. „Co roku udzielaliśmy bierzmowania w rozmaitych stronach dyecezyi, tak, „że w przeciągu dwudziestu dwóch lat, na 600,000 mieszkańców wybie„rzmowaliśmy blisko 270,000. A wieleż to się kościołów wzniosło lub wyporządziło przy pomocy waszej gorliwości, wiele się naczyń i aparatów „przysporzyło? Niezaniedbaliśmy też miewać kazań i udzielać nauk, nie„zaniedbaliśmy zwiedzać cmentarzy i modlić się tam. Co się was tyczy „najmilsi bracia, co chwila odbieracie dowody naszej troskliwości, każdego „znamy z twarzy, z pisma, z charakteru, z cnót i zasług. W trudnych „czasach nigdy się z pomiędzy was nie oddalamy, ale się staramy cieszyć, „pokrzepiać, przychodzić w pomoc. Wszystko to jednak na niewiele by „się przydało, gdyby roboty nasze działy się po za obrębem jedności kościel„nej i gdybyśmy nie byli przejęci miłością dla Jezusa Chrystusa i Jego ko„ścioła, czcią synowską i gotowością do posłuszeństwa względem Ojca św., „który nas tu z ramienia swego posłał.

Urządzenie wielkiego jałmużnictwa przy dworze.

Podróż księdza Menjaud biskupa z Nancy, pierwszego jałmużnika cesarskiego miała na celu urządzenie wielkiego jałmużnictwa (grande aumonerie). Negocyacya zupełnie się powiodła. Wielki jałmużnik ma mieć juryzdykcyą nad kapitułą w Saint Denis (złożoną po największej części z dawnych biskupów) i nad kapelanami marynarki. Objawiono w Rzymie życzenie, aby i jałmużnictwo armii zostało należycie urządzone.

Smierć księdza Edwarda Duńskiego.

W piątek przed niedzielą kwietnią, 3 kwietnia zszedł z tego świata w Paryżu po długiej i bolesnej chorobie ksiądz Edward Duński. Umarł opatrzony wszystkiemi Sakramentami. W bardzo młodych latach służył ojczyźnie z bronią w ręku, później na wygnaniu należał do najgorętszych i najpoświęceńszych. Nawrócony łaską Bożą do wiary, jeden z pierwszych wszedł do grona towarzyszów ś. p. Bohdana Jańskiego. Nauki teologiczne o ile mu słabe zdrowie pozwoliło w Rzymie odbył. Wyświęcony tam na kapłana na początku roku 1842 przybył do Paryża wraz z O. Heronimem Kajsiewiczem. Należał wtedy do Braci Zmartwychwstania Pańskiego. Kiedy się pojawiła sekta Towiańskiego Andrzeja w pierwszych latach mocno ją walczył, później złudzony nadzieją sprostowania w obec kościoła położenia Towiańszczyków a gorącą miłością nieznacznie w błąd popchnięty im się wyłącznie poświęcił. Wezwany lat temu dziesięć przez spółbraci swoich zmartwychwstańców aby wyszedł z niepewnego i przez to samo niebezpiecznego położenia i wybrał między zakonem a Towiańszczyzną, zakon opuścił. Cóżkolwiekbądź dobre stosunki towarzyskie do końca z dawnemi swemi zachował kolegami. Nigdy ś. p. ksiądz Duński głębiej teologii nie poznał i tu zapewne leży powód omyłki jego. Zresztą był prawego charakteru, pobożny, uczynny, łagodny, wielkiej miłości i dobrej

praktycznej rady. Pogodą oblicza i sposobu dziwnie zawsze pociągał. Ufajmy że Bóg dla cnót jego i dla tych pięknych przymiotów serca, nie będzie go karał za zwichnięcie w pojęciach i za zgorszenie jakie dał ludziom słabszej wiary. Ksiądz Duński mógł mieć czterdzieści sześć lat wieku.

NIEMCY.

AUSTRYA.

Odpust Śgo Leopolda.

Rokrocznie odbywa się 15 listopada w uroczystość świętego Leopolda w Kloster-Neuburg wielki odpust z pielgrzymką, którą Wiedeńczycy odprawiają do tegoż miejsca fundowanego przez świętego księcia. Pielgrzymka tegoroczna wypadła tak uroczyście, jak od dawnych czasów najstarsi ludzie nie pamiętają. W miejscu tym cudownym zachowują jeszcze liczne po błogosławionym fundatorze pamiątki, a mianowicie apparat zrobiony z ubioru szlubnego św. Leopolda i żony jego Agnieszki, ołtarz podróżny jego, psałterz i rękopism pisma świętego. Kanonizacyą św. Leopolda rozpoczął Paweł II na prośbę cesarza Fryderyka III w r. 1468 obecnego w Rzymie, a ogłosił ją Innocenty VIII 6 stycznia 1485.

Sądy małżeńskie.

Czytelnicy nasi wiedzą jak wielkie zajść muszą zmiany w Austryi skutkiem konkordatu. Nie publikowano jeszcze, co uradzili biskupi Austryi na konferencyach we Wiedniu, ale nowe prawo małżeńskie już publikowano; nikomu nie tajno, jak się zmienią stosunki rodzinne przez zwrócenie prawodawstwa tyczącego się małżeństw na zasadę chrześciańską ustaw kościoła katolickiego; episkopat austryacki tymczasem organizuje władze sądowe ku temu potrzebne. Stolica Apostolska potwierdziła dekretem Ojca św. postanowienie biskupów austryackich, którem trybunał metropolitalny Pragski wyniesiono na sąd drugiej instancyi dla archidyecezyi wiedeńskiej i salzburskiej, sąd zaś arcybiskupi w Ołomuńcu na instancyą apelacyjną dla archidyecezyi Pragskiej.

Wprowadzenie w życie konkordatu.

Śmierć biskupa z Raab w Węgrzech daje powód do pierwszego zastosowania artykułu 32 nowo zawartego konkordatu, w mocy którego, dochody wakującego biskupstwa nie będą wpływać do skarbu cesarstwa, ale obrócone być mają na potrzeby kościoła.

Nawrócenie schizmatyków.

W Szemlak w bliskości Aradu w Węgrzech przeszło 1500 Greków na łono kościoła katolickiego.

Dobroczynne zapisy i pobożne fundacye w Austryi.

Między wielu pobożnemi fundacyami, które ostatniemi czasy powstały w cesarstwie austryackiem odznaczają się mianowicie Węgry. I tak w Gyöngyos, wybudowano ogromny, wspaniały szpital, który oddano pod zarząd sióstr miłosierdzia. Takiż sam zakład w Stulweissenburg oddano tymże siostrom w opiekę i datki wspaniałomyślne dlań ciągle się mnożą.

Jk. biskup Emeryk Palugaj buduje w swej rezydencyi w Neutrze ogromny zakład dla sióstr miłosierdzia, na który przeszło 100,000 R. ofiarował.

Jks. biskup Dr. Strossmajor z Diakowar darował na małe seminaryum 30,000 R. na odbudowanie kościoła katedralnego 50,000 na dokończenie rozpoczętego przez swego poprzednika klasztoru dla sióstr miłosierdzia 20,000 a na ich dotacyę 10,000 R.

Niedawno zmarły w Zagrzebie Hr. Draszkowicz legował na różne cele pobożne 35,000 R. W Stulweissenburg jakiś nie chcący się wydać prałat, ofiarował na ręce swojego biskupa 26,000 R. na instytut wychowawczy dla 12 dzieci katolickich. Zmarły niedawno biskup z Raab zapisał na cele pobożne 35,000 R.

Na Szląsku Austr. Arcyksiąże Maxymilian d'Este fundował 3 klasztory w Troppau, Freudenthal i w Laneg dla sióstr tak zwanych Zakonu niemieckiego, które się zajmują pielęgnowaniem chorych i edukacyą.

Rząd austryacki więzienia tak męzkie jak i żeńskie, jedne po drugich oddaje pod zarząd pod względem duchownym i materyalnym rozmaitym zakonom i kongregacyom.

PRUSY.

Zjazd biskupów w Berlinie.

Wielkie wrażenie zrobił zjazd trzech książąt kościoła w Berlinie, nawet i w dziennikarstwie tak krajowem jak zagranicznem wielki z tego powodu powstał rozgłos. Ponieważ cel tego zjazdu urzędownie nigdzie nie został ogłoszonym, pomijamy wszystkie podsuwane temu zdarzeniu powody, zapisujemy przecież fakt ten jako rzeczywiście ważny, nie przecząc, że powody musiały być wielkiego znaczenia a wrażenie i skutki niemałe pozostały nawet dla ożywienia uczucia katolickiego mieszkańców tejże stolicy. Zjechali się zaraz po uroczystości Trzech Króli do Berlina wszyscy trzej biskupi mający jurysdykcyą duchowną w Szląsku a mianowicie Jego Książęca Arcybiskupia Mość książę Fürstenberg z Ołomuńca, Jego Eminencya Książę Arcybiskup Pragski Książę Schwarzenberg i Jego Książęca Biskupia Mość Dr. Förster z Wrocławia. Przyjęcie dignitarzy kościoła u dworu było nadzwyczaj świetne i łaskawe. Król JMć raczył Księcia biskupa Wrocławskiego własnoręcznie dekorować gwiazdą do orderu Orła Czerwonego. W niedzielę 11 stycznia Jego Eminencya Książe Kardynał Schwartzenberg pontyfikalną mszą celebrował w assystencyi licznego duchowieństwa, właśnie podczas izb w Berlinie przebywającego, w obecności tak Księcia Fürstenberga Arcybiskupiej Mości jak Jego Książęcej Mości księdza Biskupa Förstera. Kościół św. Jadwigi był świetnie przybrany, u wspaniałego tronu assystował Jego Eminencyi Delegat biskupi proboszcz Peldram. Podczas mszy rozdawał ksiądz kardynał własnoręcznie kommunią świętą, po ukończonem nabożeństwie odprowadziło duchowieństwo Jego Eminencyą do bram kościelnych, gdzie licznie zgromadzony lud na ulicy klęcząc odebrał od celebransa błogosławieństwo. Wspaniałe to nabożeństwo wielkie na wiernych a nawet na innowiercach widoczne zrobiło wrażenie.

Orthodoxija na polu protestanckiem.

Chociaż się rzadko zajmujemy w kronice religijnej wypadkami na polu wyznań protestanckich nie podobna nam przecież przemilczeć wyraźnej dążności wyznania protestanckiego do obostrzenia karbów tak w wierze jak i w rzeczach karności. Epoka racyonalizmu ze szkoły Bretschneidera, Paulusa już dawno ustąpiła pola pantheizmowi Schleiermachera, Marheineckego, Straussa, Feuerbacha, Bauera, którzy, coraz dalej w nieprzerwanej progressyi potęgując zasadę wolnego poszukiwania i analizy w rzeczach

wiary, doszli do nihilizmu i atheizmu. Rezultaty takie poszukiwań naukowych musiały koniecznie i na życie wpływ wywierać destrukcyjny; nietylko że węzły życia religijnego w gminach protestanckich stawały się coraz lóźniejsze, ale powstawały wyraźnie organizujące się korporacye niewiary mianowicie w północnych Niemczech. W swoim czasie, kiedy symptomata te pojawiać się groźnie zaczęły około roku 1845 donosiliśmy obszernie o nich w artykule o wolnych gminach tworzących się w Królewcu a mianowicie w Magdeburgu pod sterem pastora Uhlicha. I na kościół pojawienia te nie zostały bez wpływu, wystąpienie Rongego i Czerskiego równoczesne nie były bez związku przynajmniej teoretycznego z tym rokoszem przeciw Chrześcijaństwu. Ale kościół zwycięzko odparł herezyą i tem silniej katolicy poczuli się do jedności wiary i życia. A ponieważ destrukcyjne dążności rokoszan w wyznaniu protestanckim oddziaływały widocznie na moralność publiczną, na wyobrażanie polityczne a nawet i stosunki społeczne burzyć poczęły; rządy słusznie aby skutkom zapobiedz sięgnęły do przyczyn, rządy protestanckie mianowicie zwróciły swą uwagę na pole religijne, władze duchowne tychże wyznań wspólnie z rządami zaczęły się krzątać około obostrzenia dogmatu i karności. Nie wchodzimy w to, o ile takie usiłowania zgadzają się z pierwszą zasadą protestantyzmu wolnego w sprawach wiary poszukiwania i wolności wyznań; wystarcza nam zapisać fakt, że wszystkie synody, roki kościelne, konferencye duchowne wyznania protestanckiego dając zwrot kierunkowi umysłów nawracają się od destrukcyi postępowej do konserwacyi dawnych dogmatów, praw i przepisów z wieków upłynionych. Z nowszych czasów zapisujemy uchwały trzech zjazdów religijnych w trzech państwach niemieckich, rezultaty te twierdzenie nasze dość dobitnie stwierdzają.

Pismo *Allgemeines Kirchenblatt* ogłasza w Nrach 35, 36, 37 protokuły posiedzeń konferencyi deputowanych rządów kościelnych Saxonii, Bawaryi, Hannoweru, Würtembergii i obu Meklemburgów. Konferencye te odbywały się w Dreźnie od 19 — 28 maja roku zeszłego pod prezydencyą ministra saskiego Falkensteina i noszą na sobie tak wyraźny charakter dążności orthodoxyjnych, że dość będzie przytoczyć uchwałę co do tak nazwanej pokuty, aby się o prawdzie naszych twierdzeń przekonać. Forma pokuty stanowczo ma być następnie zdefiniowaną: „Po zwyczajnych nieszporach sobotnich przywołuje pastor konfitentów do ołtarza, przemawia do nich w ogóle o pokucie i napomina ich i wzywa przy końcu, aby każdy z osobna do niego przybył do konfessyonału. Pastor tutaj rozpoczyna od tego, że wezwie konfitenta do wyznania spowiedzi. Po tej pastor rozpoczyna rozmowę o spowiedzi. W tejże ma się pastor przekonać, czy penitent ma należyte rozpoznanie nauki chrześciańskiej, potrzebny żal i skruchę, wiarę, mocne postanowienie poprawy, daje mu napomnienie za grzechy popełnione albo za bliską do grzechu okazyą, podaje mu sposobność zapytania względem wątpliwości i sumienia, naucza pociesza i radzi gdzie tego potrzeba. Z tej rozmowy przekona się wreszcie, czy penitentowi może dać absolucyą. W takim razie po zebraniu w krótkich słowach całej rozmowy, pyta penitenta: „Czyli wierzysz, że absolucya, którą ci daję, jest ważna i skuteczna w niebie i w obec Boga?“ — a po wyznaniu tej wiary, wkłada ręce na penitenta i mówi: „Wszechmogący Bóg zmiłował się nad tobą i na mocy rozkazu Pana naszego Jezusa Chrystusa ja jako jego sługa, rozgrzeszam cię, uwalniam cię i gładzę wszystkie twe grzechy w Imie Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen. Idź w pokoju Amen. — Takie wyraźne zaprowadzenie niepraktykowanych i o ile nam się zdaje nie protestanckich zasad powodowało deputowanych Würtemberga Dra von Grüneisen i Saxonii Dra Liebnera do oświadczenia protokolarnego, iż ich zdaniem wystarcza 1) aby tym członkom gminy którzy dobrowolnie spowiadać się

zechcą podawać do tego sposobność i polecać im często spowiedź; 2) aby osoby niedostatecznie oświecone, niepewne w zasadach religijnych, wiodące życie gorszące powoływać wyraźnie do spowiedzi prywatnej, pozostawiając w takich tylko przypadkach duchownym udzielenie albo odmówienie absolucyi.

W *Bawaryi* konsystorz naczelny monachijski rozporządził i polecił pastorom pilnie przestrzegać utrzymanie i zaprowadzenie prywatnej spowiedzi konferencyami drezdeńskiemi określonej a nadto 1) aby bluźnierców i ludzi kościołowi niewiernych nie przypuszczać na rodziców chrzestnych; 2) aby nowożeńcom skażonym (defloratis) odmawiać wszelkich honorów niewinnym przy ślubach dozwalanych; 3) aby bluźniercom i niewiernym wzgardzicielom kościoła odmawiać przy pogrzebach odprowadzenia do grobu kościelnego i benedykcyi grobu. — Rozporządzenia te wywołały liczne ze strony gmin protestanckich protestacye, także dotąd niewiadomo, czy to rozporządzenie generalne da się w praktyce przeprowadzić.

W *Berlinie* odbywały się w końcu roku zeszłego aż do 6 stycznia r. b. konferencye ewangielickie, który pięć ostatnich posiedzeń poświęciły rozstrzygnięciu kwestyi o rozwodach a mianowicie pytaniu, jak się mają brać pastorowie w obec rozwodów udzielanych stronom małżeństw rozwiedzionych przez władzę sądów świeckich. Na to pytanie przyjęto w odpowiedzi następne trzy uchwały: 1) Stósownie do dawniejszej i godniejszej praktyki kościoła ewangielickiego mają się tylko uważać za słuszne powody rozwodu przez kościół uznanego cudzołóztwo i dezercya; 2) o pozwoleniu albo wzbronieniu powtórnego małżeństwa kościelnego dla małżonków przez władze świeckie rozwiedzionych tylko władze kościelne (konsystorze) rozstrzygać mogą; 3) stronie rozwiedzionej uznanej za winną za życia drugiej strony małżeńskiej niewolno udzielać błogosławieństwa nowego szlubu małżeńskiego.

Te trzy urzędowe uchwały i rozporządzenia w trzech znacznych państwach niemieckich jasno wskazują kierunek dzisiaj popierany. — Czy dążności te cel pożądany osiągną? Któżby to pytanie dzisiaj rozstrzygnąć potrafił. My mamy wiarę, że przyszłość podzieli jak świat cały tak i Niemcy ostatecznie pomiędzy kościół i niewiarę.

Dnia 14 maja 1857 r.

GŁÓWNIEJSZE POMYŁKI I SPROSTOWANIA.

W poszycie II^{gim} jest jeszcze do sprostowania:

Str. 149. wiersz 24, 25, 26, zamiast tych trzech wierszy, trzeba położyć następujące, bo tak się znajdują w poprawnym autora manuskrypcie:

„Takżéście to okrutni dotrzymali wiary!
„Pij tę krew, sroga ziemio! którąś się oblała,
„Skąpiesz się wkrótce w swojej, bo zemsta dojrzała."

- 238. - 4, od dołu. Ostrzeżenie iż paragraf ostatni na tej str. ma być rozdzielony na dwa, dane wyrazem „a linea" włączono do tekstu. Trzeba więc ten wyraz linea wymazać, a oddzielny perjod pocznie się od słów: To co poprzedza i t. d.

Czcionkami N. Kamieńskiego i Spółki w Poznaniu ul. Berlińska Nr. 32.